TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU
LITERATÓW
POLSKICH

U. I. C. C.
APR 24 1970
LIBRARY

6

VI

ZERWIEC · 1950 ROK

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
No. 7,9, 11-12 1950

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/tworczosc_1950-06_6_6

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VI ZESZYT 6

WARSZAWA CZERWIEC 1950

Okładkę projektował Stefan Bernaciński
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 763 nakład 9.500, 3.V. 1950 r. B-111809

K O M U N I K A T Y

Pisarze w obronie pokoju

Zebrani na posiedzeniu plenarnym dnia 13 kwietnia br. członkowie Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich — po wysłuchaniu sprawozdań prezesa Leona Kruczkowskiego ze sztokholmskiej sesji Światowego Komitetu Obrońców Pokoju oraz wiceprezesa Jarosława Iwaszkiewicza z jego podróży do Rzymu i Paryża — wyrazili całkowitą solidarność z kampanią pokojową Komitetu i jednogłośnie uchwalili złożyć podpisy pod apelem sztokholmskiej sesji Komitetu w sprawie zakazu używania bomby atomowej.

W Warszawskim Klubie Pisarzy odbyło się otwarte zebranie literatów, poświęcone świętu Pierwszego Maja i akcji pokojowej. Jarosław Iwaszkiewicz, członek delegacji Światowego Komitetu Obrońców Pokoju do Parlamentu francuskiego i włoskiego, opowiedział pisarzom warszawskim o przyjęciu, jakiego doznała delegacja obrońców pokoju od społeczeństwa Francji i Włoch. Mówca stwierdził, że ruch w obronie pokoju jest na zachodzie Europy potężną siłą, jednoczącą w szerokim froncie wszystkich uczciwych ludzi bez względu na przynależność partyjną, przekonania polityczne lub różnice religijne. Na zebraniu wystąpił z referatem członek Komitetu Wykonawczego Polskiego Krajowego Komitetu Pokoju, red. Ostap Dłuski. Mówca zdał sprawę zebranym o przebiegu i znaczeniu sztokholmskiej sesji Światowego Komitetu Pokoju i przyjętych tam uchwał w sprawie zakazu broni atomowej. W szczególności mówca podkreślił rolę i zadania pisarzy polskich w tworzeniu szerokiego ogólnonarodowego polskiego frontu walki w obronie pokoju.

Zebrani literaci uchwalili jednomyślnie rezolucję następującej treści:

„Pisarze polscy — nawiązując do uchwały plenarnego zebrania Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich z dnia 13 kwietnia br. — składają swe podpisy pod apelem Stałego Komitetu Obrońców Pokoju, domagającym się bezwarunkowego zakazu używania broni atomowej oraz uznania tego rządu, który by pierwszy użył broni atomowej przeciw jakiemukolwiek krajowi, za zbrodniarza wojennego."

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

W obronie Nazima Hikmeta

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich powziął na posiedzeniu plenarnym w dniu 13 b.m. następującą uchwałę:

Nazim Hikmet, wielki poeta turecki, nieugięty bojownik o postęp i wyzwolenie swego narodu, przebywa od dwunastu lat w celi więziennej. Rząd turecki, nie zdoławszy zagłuszyć dźwięków pieśni poety, postanowił zabić człowieka. W roku 1938 wytoczono Hikmetowi proces za to, że uczniowie szkoły oficerskiej czytali jego wiersze. Pisarz został skazany na 28 lat i 4 miesiące więzienia za to, że w swojej poezji dał wyraz tragedii i dążeniom swoich współbraci do wolnego i sprawiedliwego życia. Umiłowanie prostego człowieka i wiara w jego wyzwolenie — oto zbrodnia Nazima Hikmeta.

Nazim Hikmet ma pozostawać w więzieniu jeszcze 15 lat — do roku 1965. Uwięziony w 37 roku życia ma opuścić celę jako 64-letni starzec. Nazim Hikmet jest ciężko chory na serce. Nie dożyje swojego zwolnienia. Cały świat postępu gorąco protestuje dziś przeciw bezprzykładnemu pastwieniu się nad bezbronnym pisarzem. Na całej kuli ziemskiej rozlegają się głosy oburzenia, które domagają się uwolnienia poety. Pisarze polscy z całą stanowczością piętnują barbarzyńskie postępowanie rządu tureckiego i domagają się sprawiedliwości dla Nazima Hikmeta. Rząd turecki musi usłyszeć głos milionów ludzi, którzy bez względu na narodowość, rasę i przekonania polityczne stanęli w obronie poety.

Żądamy uwolnienia Nazima Hikmeta!

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich wysłał do Prezydenta Turcji depeszę domagającą się zwolnienia Nazima Hikmeta.

Do Prezydium Zjazdu pisarzy brazylijskich

W imieniu pisarzy polskich przesyłamy Wam serdeczne pozdrowienia wraz z życzeniami pomyślnych owocnych obrad.

Pisarze Waszego kraju wraz z pisarzami bratnich Wam narodów Ameryki Południowej należą do czołowych bojowników światowego frontu walki o pokój i postęp. Nazwiska Amado, Nerudy i Vareli, prześladowanych przez reakcyjne rządy swoich krajów za to jedynie, że wierni ideałom demokracji i humanizmu, przeciwstawiają się propagatorom atomowego ludobójstwa, nazwiska te cieszą się u nas miłością i szacunkiem. Nie może być inaczej w kraju, który szczególnie dotkliwie doznał na sobie skutków współczesnej wojny imperialistycznej. Ci tułacze i więźniowie reprezentują dla nas prawdziwe uczucia i wolę swych narodów, reprezentują również ducha walczącej literatury, jej ludowy optymizm, jej wiarę w przeobrażenie życia, w wyższość twórczej pracy ludzkiej nad destrukcyjnym egoizmem klasowym oligarchii kapitalistycznej.

Oddzieleni od Was oceanem, którego piękną nazwą przyozdabia się dziś ciemne pakty i spiski imperialistów, widzimy w Was towarzyszy i kombatantów wspólnej walki, stojących w pierwszej linii światowego frontu pokoju, na pozycjach najbardziej wysuniętych ku pozycjom wroga ludzkości. Życzymy Wam wytrwałości w tej walce, życzymy Wam pełnego zwycięstwa wolności i demokracji w Waszym kraju. Zapewniamy Was, że naród polski z klasą robotniczą na czele, codziennym swoim trudem i wielką pracą budownictwa socjalistycznego z roku na rok i z miesiąca na miesiąc wzmacnia potęgę pokojowych sił ludowych na wszystkich kontynentach.

Wasze wiersze i Wasze książki będą drogowskazem zwycięstwa dla Waszego narodu, natchnieniem i podnietą — dla wszystkich narodów świata.

PREZES ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH
Leon Kruczkowski

Do Prezydenta Republiki Argentyńskiej

Kilka miesięcy temu Związek Literatów Polskich zwrócił się do Pana, Panie Prezydencie, z prośbą o uwolnienie z więzienia wybitnego pisarza argentyńskiego, niezmordowanego bojownika o wolność i pokój — Alfreda Vareli.

Ponieważ dowiadujemy się, że Alfredo Varela w dalszym ciągu cierpi bez winy w murach więziennych, zwracamy się do Pana, Panie Prezydencie, z ponownym apelem w powyższej sprawie.

Imię Alfreda Vareli, wielkiego intelektualisty argentyńskiego, znane szeroko na całym świecie, bliskie jest polskim intelektualistom, polskim pisarzom. Wiadomość o uwięzieniu Vareli wywołała wśród nich głębokie oburzenie.

W imię obrony kultury, której Varela jest wybitnym przedstawicielem, w imię obrony pokoju, którego Varela jest płomiennym bojownikiem, w imię dobrego imienia Republiki Argentyńskiej, prosimy ponownie o uwolnienie wielkiego syna Argentyny Alfreda Vareli.

Wierzymy, że nasz głos, głos pisarzy narodu, który poniósł tak straszne ofiary w ostatniej wojnie, zostanie wysłuchany.

ZARZĄD GŁÓWNY
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Przejęcie miesięcznika „Twórczość“ przez Związek Literatów Polskich

Odbudowana Warszawa normalnym trybem rzeczy stała się na powrót największym skupieniem życia literackiego w kraju. Miesięcznik „Twórczość“, założony po wyzwoleniu kraju, z tymczasową siedzibą w Krakowie,

został obecnie przejęty przez Zarząd Główny Związku Literatów Polskich i przeniesiony do Warszawy. Uwzględniając tę okoliczność, że przeniesienie Redakcji uniemożliwia Dr. Kazimierzowi Wyce, jako profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dalsze prowadzenie miesięcznika, Zarząd ZLP składa Kazimierzowi Wyce serdeczne koleżeńskie podziękowanie za paroletni trud włożony w redagowanie miesięcznika „Twórczość" i wyraża nadzieję, że Redakcja będzie nadal mogła korzystać z jego cennych rad i wskazówek. Z dniem przeniesienia „Twórczości" do Warszawy Zarząd ZLP desygnuje na redaktora naczelnego — Adama Ważyka, na przedstawiciela Redakcji w Krakowie — Kazimierza Wykę, na przedstawiciela Redakcji we Wrocławiu — Jana Kotta.

ZA ZARZĄD Z. L. P.
PREZES
Leon Kruczkowski

MIECZYSŁAW JASTRUN

LIST DO PRZYJACIÓŁ

A jednak mimo skarg niewczesnych i narzekań,
Mimo różnic i sporów, przyjaciele,
Czyż moglibyśmy przy innych wiekach
Stać jak przy stołach, i przy innym dziele?

Czy moglibyśmy zawrócić wstecz
Lub zamilknąć na wzór rzek pustynnych?
Spójrzcie, jak jasno Waga i Miecz
Nocami świecą nam z ogromów niegościnnych!

Ja nie przyszedłem tu, by łatwym rymem sławić.
Znam życia trud, podstępy marzenia i sztuki.
A jednak lepiej niż gorliwców gawiedź
Kocham mój czas, czas walki i nauki.

To prawda, przerósł nas ten wielki wiek.
Nie my — to do gwiazd go wynieśli
Poskromiciele klimatów i rzek,
Przemieniacze historii — współcześni!

Zmienili smak owoców, pracy i miłości,
W żarliwych młynach myśli zmełli nas jak ziarno
Materii tajemnicę wydarli z wnętrzności,
Potężniejsi niż Dante i Bajron.

Oni w laboratoriach młodsi od swych ksiąg,
Z bijącym sercem i źrenicą tkliwą,
Oni, twardsi niż stal, organizują żywioł
Miliarda mózgów i rąk.

Organizują także naszą wyobraźnię,
Ujeżdżają to zwierzę niepokorne.
Piec martenowski z myśli i z woli żelaznej
Wypala nam nową formę.

Dmijcie w to palenisko ile siły w płucach!
Niech się pali na wietrze wyobraźni przędza.
Niech świat stary umiera wśród targów i zbrodni.
Wiedzcie
To ona — rewolucja
Wyprzedza nasze kroki, serca nam popędza
I czas daje nam w ręce, jak sztandar przechodni.

W RUINACH ZAMKU DZIEWIN

Gdzie Morawa do Dunaju
Wody ospałe wlewa,
W szeroko otwartym kraju
Skały i łąki, i drzewa.
W dole rybak w małej łódce
Zapuszcza sieć w senną wodę.
Na świecącej fali łusce
Południa gorący oddech.
Cóż? podania dawnych wieków
Jak dym ot tam na dorzeczu.
Ziemia i głaz — po człowieku,
Cień — po kądzieli i mieczu.
Może nie wart naszych badań,
Starzy Rzymianie, powiedzcie!
Dźwięk starty z ulotnym śladem.
O, czasie, surowy prefekcie!
W zbocze góry z ruin czaszką
Robotnicy ze wsi okolicznych

Wmurowują w skałę słowiańską
Amfiteatr socjalistyczny.
To po Rzymianach czy Hunnach
Odpowiedź tobie, Dziewinie!
Tutaj gdzie z Morawą Dunaj
Za dal widnokręgu płynie.

STARY CHŁOP

O widok tej ziemi w zimie,
O jej wielkie równiny pod śniegiem,
O jej góry, granitowe smoki w uprzęży z lodu,
O jej chaty, drzewa, ruiny
Opiera się człowiek prawie że stuletni.

I wszędzie tu widzi się jedną twarz,
Jedną twarz o wielu rysach.
Mowa
W ustach wielu miażdżona jak w żarnach
Przemienia się w uszach słuchającego,
Słuchającego w przeciągach stulecia.
Ale kto słuch ma tak wielki,
By usłyszeć przemienienie słowa?
Czy ten stary chłop, ten uparty górnik, ten kolejowy palacz?

On słucha, jak wali się dąb pod siekierą drwala,
Jak grudy padają z łoskotem na deski trumienne,
On przestawia tory pociągów,
Zapala czerwone światło,
Żywi lokomotywę i koniom sypie owies do żłobów.

Teraz twarz jego spada na twarz wnuka,
Jak proporzec, jak ptak osiwiały —
I łagodnieje w młodych rysach.

Stary chłop przeciera załzawione oczy,
które widziały już niejedno pokolenie,
I myśli:
„Rzeka także była kiedyś młoda...“
Zdjął czapkę, patrzy
Na pierwszy traktor orzący zagon czarnoziemu,
Na smoka z pieśni, którego ujeżdża śmiały wnuk.

PAMIĘCI WALENTYNY CHOCIMSKIEJ

W tym życiu mniej jest tajemnic,
Niż nam się dawniej zdawało.
Zawcześnie, zawcześnie do śmierci
Twe młode serce dojrzało.
Tylko ta jedna podróż
W zimową noc, Walentyno,
Jeszcze cię w kołdrę ze śniegu
Na trudną drogę owiną.
Możesz być teraz obecna
Przy drzwiach zamkniętych w mym domu.
No cóż? Chusteczka obeschła,
I nie ma płakać komu.
W tym życiu mniej jest tajemnic,
Niż nam się dawniej zdawało.
Uderza serce goręcej,
Chociaż w twej piersi ustało.
Życie do małej gwiazdy
W ogromach śmierci skurczone.
Reszta — to liczby i nazwy
Mgławic cmentarnych i komet.
Teatr tej małej planety:
Nasz dzień, nasz sen, nasze serce.
My dostajemy bilety
Na jeden seans, nie więcej.
Lecz widowisko to godne,
By się zmieniały obrazy
Miłości, kary i zbrodni
Miliardy miliardów razy.
Nie umrzeć silnej i czułej
Młodości. Stworzenia piękno
Na pożegnanie całuje
Czoło umarłej jutrzenką.

STANISŁAW PIĘTAK

DO SYNA

To z głodu były myśli, mój Mały.
Pragnąłem w śnie już nie męczyć się, nie szukać chleba,
nie chwytać złaknionymi wargami usychających traw.
Litościwe przestrzenie omamieniem
chorą moją głowę kołysały...
Widziałem, że z workiem żywności na plecach,
stąpając w świetlistej ciszy nieba
pod łukiem opadających gwiazd,
idzie matka moja nie pomna praw ciężkości
po wzburzonej rzece jak przez zamarzły staw...

Chyba ty nie czujesz bólu, udręki, z jakimi mówię te słowa!
Jeszcze dziś leżałem krzyżem pod tamtymi zjawiskami,
jak liść brzeziny opadała głowa.
Ty w morderczych wizjach zabobonu i głodu, w opętaniu jak ja,
nie przepędzisz już dzieciństwa dni,
lecz uzbrojony w cyrkiel, mikroskop i chwałę cyfr,
przekształcać będziesz ów świat,
który ojca w męce, jak jeńca wlókł za sobą i przerażał.
I płowym wierzbom nad strumieniem
zaszczepisz rumiane owoce,
w ziemi i pod niebem pociągom tętniącym wzniesiesz szlak,
wybudujesz wreszcie olbrzymi amfiteatr w polu,
gdzie jeszcze przed laty w pustce widniał
czerwony jak krew piach...

Może i dożyję chwili,
że z tobą usiadłszy tam za stołem,
do tysiącznych rzesz Młodych powiem słowo,
jak żyzny kłos schylone od ludzkich spraw.

HYMN O POKOJU

By chłop, Polak, Chińczyk czy Murzyn jadł spokojnie posiłek i patrząc w wiosenny zmierzch, miał czas na pieśń, na gawędę, na żarty...

By robotnik unosząc kilof, z zastygłym sercem nie wyczekiwał ryku syren, nie biegł majacząc przez ulice znowu, nie wyciągał spod dymiących gruzów twarzy ukochanej matki lub żony...

By twórca, który dokonał dzieła, nie bał się paść bez trwogi na łąkę, mógł sycić światłem powietrza, urodą ziemi powstającą w czujnych oczach znowu myśl...

By matka nie jęczała przez sen, nie walczyła z dymem, nie łykała zamiast wody bryłek kurzu i krwi u spalonych rodzinnych bram.

By dziecko szukało kwiatów i wiernych zwierząt w śnie, a nie matki z odciętą nogą, leżącej pod zwaloną kolumną domu...

By ludzie nie wstydzili się swoich myśli, swoich niedoszłych czynów, jak niegdyś w Buchenwaldzie, w Oświęcimiu.

By wzdęte tułowia młodych żołnierzy nie pokrywały jak kupki gnoju rdzawych pól Europy i Azji...

Przysięgam: będę walczył o pokój,
będę walczył o pokój:
Niech ten mój głos, przekleństwo dla wrogów i ruch fal wiatru utrwali.

ROMAN HUSSARSKI

RZEKA

Grudniowy dzień, grudniowa noc,
krok nadchodzącej w mroku zmiany,
wiślany nurt, zerwany most
i miasta kadłub rozstrzelany.

Niedawno to, koledzy, było,
gdy rzeka zamarzniętą żyłą
o filar uderzała tętnem —
i nie rozgrzewał prędki wiatr
dłoni do młota przymarzniętej.

A potem noc: pod niebem pełni
płynęła księżycowa kra,
w baraku ktoś na skrzypkach grał
umilkł — na zmianę ruszył pewnie.

A potem świt: dudniły młoty
i tajał w ogniu śnieg, a potem
pięść dźwigu stromo podniesiona,
w blasku palników czarne słońce —
i w jedno wtedy nas połączył
trawers niesiony na ramionach.

Tak stanął most — zjednoczył brzegi,
a miasta gruzy przesłoniła
zieleni odrodzona gałąź.
Spłynęły kry, stopniały śniegi —
i cóż z tych czasów pozostało?

Pozostał rzeki ciemny plusk,
wiatr uwięziony w kratownicy
i śpiew — podany z ust do ust
wzdłuż tyraliery robotniczej.

WIERSZ O TRZECH MOSTACH

Most pierwszy — to struna ze stali i betonu,
tramwaje po nim suną, latarnie nad nim płoną.

Drugi most — to strzała żelazna i czerwona,
Błyskają na nim w słońcu rozpędzone wagony.

Most trzeci — skrzydło ptaka wygięte ponad wodą
szumią, szumią jak pióra opony samochodów.

Pociągi pędzą ze wschodu, pociągi jadą na wschód,
grają filary mostów żelaznym kołom do taktu.

Huczą pociągi z zachodu, na zachód stalą dzwonią
drżą wiązania kratownic, jak palce złączonych dłoni.

Z północy chmury i stamtąd leniwie statki płyną
pozdrawiają trzy mosty pochylonym kominem.

Z południa po mieliznach toczy się nurt wiślany
obejmuje trzy mosty różowymi wodami.

W nocy dwa mosty świecą, w głębinie zanurzają
Most trzeci — naszyjnik muszli, most pierwszy — sznur korali.

Drugi milczy. W mroku pływa po wartkiej głębi,
czasem ocknie się, błyśnie, tętentem kół zatętni

błyskawicą rozjarzy, buchnie czerwonym blaskiem,
żeby mogły bezpiecznie świecić — tamte mosty warszawskie.

HALINA BURTAN

ELEMENTARZ

Najpierw były dęby
i zwierząt kosmate cienie,
potem przyszedł człowiek:
pszenicy uczyła się ziemia,
las — poręby
koła — obrotów.

Otwieram elementarz, jak oczy szeroko,
z obrazków górnicy i tkacze
pytają,
kto z nas dorówna im w pracy?

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

PO KONCERCIE

fragmenty powieści

VIII

Dosia Wiewiórska była muzykalna z natury, osłuchała się zresztą przez tyle lat spędzonych w garderobie Filharmonii, że odróżniała z daleka, z dołu wszystkie perypetie koncertowe. Kiedy zabrzmiał po tragicznym minorze wspaniały major finału Piątej Symfonii wstrząsnęła się, odrzuciła z siebie drzemkę czy zamyślenie, w którym była pogrążona od pół godziny, i przygotowała się do kampanii. Rzuciła okiem na szereg płaszczy i futer, wiszących gęstą masą na wieszakach, popatrzyła na kapelusze przemieszane, męskie i damskie, uważając czy wszystko w porządku, i zgadując, od której sztuki przyjdzie jej zacząć. Zauważyła wówczas, że w obszernym hallu, wśród osób, które przyszły tutaj po koncertowych słuchaczy, było kilku znajomych. Naprzeciw jej bariery, naprzeciw jej „królestwa", jak to sobie nazywała, chodzi tam i z powrotem, statecznie, jak mu to jego tusza nakazywała, pan Franciszek Gołąbek. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

— Dzień dobry, a raczej dobry wieczór panu dyrektorowi — powiedziała Dosia — widziałam, widziałam, żona dzisiaj z synami przyszła. Takie już duże chłopaki!

Gołąbek zapytał:

— A czy to się prędko skończy, nie wie pani?

— Musi zaraz się skończyć, już trąby grają — zawołała Dosia — zaraz się skończy.

— Moja żona u pani się rozbierała?

— Nie, pani dyrektorowa to zawsze tam głębiej, u pani Weroniki. Ale niech pan tam nie idzie, tam zawsze taki tłok.

W triumfie fanfar na górze dało się zauważyć pewne ożywienie, woźni w czerwonych kurtkach zjawili się na schodach, szoferzy, którzy grzali się w hallu, wyszli na ulicę. Paru słuchaczy zeszło już ze schodów, ubrało się prędko i opuściło Filharmonię. Widać było, że koncert już się kończy.

Nagle chodzące w obie strony na zawiasach szklane drzwi hallu otworzyły się szybko i młoda wysoka dziewczyna wpadła wprost prawie na Gołąbka. Odsunęła się gwałtownie i chociaż twarz miała zafrasowaną, uśmiechnęła się mimowoli. Ukłoniła się.

— O mało nie wpadłam na pana dyrektora — powiedziała — przepraszam. Ale ja bardzo spieszę się do cioci. — Podeszła do barierki. się trochę zirytowała.

— Jadźka — powiedziała — jak ty łazisz! A na pogawędkę to mogłaś przyjść wcześniej. Koncert się już kończy.

Jadzia czyli „żermena" podeszła do kratki i tak jakoś dziwnie patrzyła na Dosię, że ta się zaniepokoiła.

— Co się stało? Zgłupiałaś czy co? — spytała w zniecierpliwieniu. „żermena" powiedziała bardzo zwyczajnie:

— Wujka aresztowali dzisiaj po południu. Teraz u nas jest rewizja.

— W imię ojca i syna — szepnęła Dosia blednąc — a co się stało?

— Czy ja wiem? Przyszedł jeden i powiedział. A teraz stróżka nie wpuściła mnie na górę, powiada: przyszli żandarmi i rewizja.

— Jacy tam żandarmi, teraz nie ma żandarmów.

— Nie znam się na tym. Dość że przyszli...

— O mój Boże... — Dosia załamała ręce — cóż ta Zosia teraz zrobi?

— Właśnie... — szepnęła żermena — co teraz robić?

Gołąbek zainteresował się ich minami. Podszedł do kratki.

— Co się stało? — spytał — macie takie miny.

— Nic, nic — odparła szybko Wiewiórska i mrugnęła cichcem na Jadźkę, żeby nie mówić.

W tej chwili huknęła burza oklasków w górze i zaraz spłynęła fala publiczności wąskimi marmurowymi schodami. Lecieli jakby ich kto gonił i wszyscy panowie na wzniesionym w górę palcu mieli miedziane blaszki kontramarkarni. Hall zalała nagle powódź ludzi, ale w górze jeszcze huczały klaskania. Przy kratkach powstał tłok, nawet się trochę popychano.

Dosi, kiedy odbierała pierwsze numerki, ręce latały i nie mogła trafić na właściwe okrycia. Publiczność się niecierpliwiła.

— Prędzej, pani kochana, prędzej — wołano.

— Już, już, już — mówiła Wiewiórska i oddawała palta w niewłaściwe ręce.

— Tutaj, pani, tutaj — gniewali się goście.

„Żermena" odstąpiła tylko krok od kratki i znosiła cierpliwie tłok, jaki koło niej powstał. Ludzie irytowali się na nią.

— Dlaczego panienka tu stoi? Tu i tak ciasno! — spytał wysoki, chudy pan.

— Widać, jak stoję, to potrzebuję — odpaliła — voilà!

Pan obejrzał się na nią ze zdziwieniem.

Chłopcy Gołąbkowie zlecieli ze schodów dość późno, ale za to naprawdę jak huragan. Ola powiedziała do męża:

— Zostań z dziećmi, ja odbiorę palta.

Andrzej schwycił ojca za rękę i przez chwilę nic nie mówił, miał tyle rzeczy do opowiedzenia, i wszystko mu się tłoczyło razem do ust, aż zamilkł. Antek go uprzedził:

— Panna Elżunia śpiewała jak anioł — powiedział — i pan Hube był.

— Ale Huberta nie przyprowadził — wypalił wreszcie Andrzej — i jeszcze powiedział, że Hubert poszedł do kolegi. A to przecież nieprawda. Dlaczego pan Hube kłamie?

— Bo on się boi Złotego — mruknął Antoni.

— Chłopcy, nie gadajcie głupstw — powiedział uśmiechając się pan Gołąbek.

— Kiedy to nie głupstwo, tatusiu — Andrzej ciągnął go za rękę, odzyskał już całkowicie panowanie nad sobą i nie dawał dojść Antkowi do słowa — to prawda, najprawdziwsza prawda. A wodę sodową to sprzedawała taka panna, co uczesana jest jak ciocia Michasia.

Ciocia Michasia nie pozwalała chłopcom nazywać się babcią.

— Tylko miała jasne włosy — powiedział poważnie Antek i zarumienił się znowu, tak jak to on potrafił.

Ola nadeszła z płaszczami.

— Jakże tam było? — spytał pan Franciszek.

— Prześlicznie — powiedziała Ola i nagle łzy zakręciły się jej w oczach. Stała trochę bezradnie z paltocikami chłopców na ręku. Pan Franciszek udał, że nie widzi jej wzruszenia.

— No, dajże, to ci pomogę — powiedział tylko, nie patrząc na nią ani na chłopców.

Ola odczuwała zawsze pewne niezadowolenie męża, gdy zabierała chłopców do teatru; teraz, kiedy wzięła ich po raz pierwszy do Filharmonii, niezadowolenie pana Franciszka było jeszcze większe. Oczywiście rozumiał to jak odsuwanie się od niego w dziedzinę, która była dla niego zupełnie obca. Muzyka była czymś niedostępnym dla niego i irytowało go, że żona znajduje w niej takie upodobanie. Ola zrozumiała to i chciała jakoś pocieszyć męża.

— Szkoda, że nie byłeś z nami, spotkaliśmy tylu znajomych. Hube pytał się o ciebie...

— I Złoty także — wstawił z ironią Antek — mówił, że zna tatusia.

— A jakże, zna — powiedział Gołąbek — ja go też znam jak łysego konia.

Janusz z Zosią pożegnali się w pokoju artystycznym z przyjaciółmi i schodzili w milczeniu schodami do garderoby. Dopędziła ich Bilińska.

— Nie idziecie do Meyerów? — spytała.

— Nie, Zosia bardzo zmęczona — powiedział Janusz.

— No, to zajdźcie przed snem do nas, na herbatę.

Zosia wiedziała, iż ta „herbata" ma znaczenie zbyt dosłowne i ze smutkiem popatrzyła na Janusza.

— Ależ oczywiście — powiedział on — zajdziemy — a nachylając się do Zosi dodał przyciszonym głosem:

— Panna Tekla nam na pewno da coś na kolację.

Na dole wpadli na Szuszkiewiczów. Ona chwyciła Janusza za ramię. Od czasu późnego zamążpójścia stała się bardzo romantyczna i wszędzie węszyła miłość.

— Quelle femme charmante que cette madame Rubinstein — powiedziała — c'etait votre béguin d'Odessa, n'est-ce pas?

Stary Szuszkiewicz chrząknął i przykrył białe wąsy dłonią. Zosia go nie znosiła, przypominał jej zawsze sprzedaż Komorowa.

— O, to zupełnie nowa dla mnie wiadomość — zaśmiała się do Janusza. Ten wzruszył ramionami.

Tu z wielkim trzaskiem podskoczył Adaś Łęcki i całował po rękach „ciocię" Szuszkiewiczową i „panią hrabinę", Zosię. Miał nieznośną manierę głośnego wykrzykiwania tytułów.

— Chciałem w tych dniach pomówić z panem hrabią — wołał do Janusza.

Janusz po swojej rozmowie w garderobie artystów nie bardzo się interesował sprawami, jakie mu mógł przedstawić Adaś. Zapewne była to

znowu propozycja jakiegoś dość mętnego interesu, jaki mu siostrzeniec Szuszkiewicza przedkładał systematycznie, nie zrażony stałymi odmowami.

— To w sprawie mego szwagra Goldberga — dodał Łęcki.

Stary Szuszkiewicz zmarszczył się z niesmakiem.

— Tutaj mówić o interesach, mój Adasiu! — zrobił uwagę Łęckiemu.

— Cóż robić, pan hrabia taki nieuchwytny — odmeldował się „Przebija“ - Łęcki znowu z ogromnym hałasem.

Pani Dosia nie podawała im przez chwilę palta, z numerkiem w ręku zatrzymała się i patrzyła z wahaniem na Janusza. Nie wiedziała, czy ma mu powiedzieć. „żermena“ zbliżyła się o krok i dotknęła łokcia Januszowego. Zosia spojrzała niespokojnie na męża.

— Czy pan wie? — szepnęła Dosia — Janek aresztowany.

Janusz nie rozumiał.

— Jak to, dlaczego? — spytał zdumiony.

Zosia zza pleców męża wyjrzała na „żermenę“. Stała wysoka, smukła, ze ściągniętymi brwiami i ze spuszczonymi powiekami. Mimo że nie widać było jej oczu, cała postawa miała coś wyzywającego.

— Co za pytanie, Janusz! — szepnęła, i zwracając się do Dosi spytała:

— Czy możemy coś pomóc?

— Może księżna — szepnęła Dosia prawie niedosłyszalnie, wydawało się jej zapewne, że powinna ukrywać to, że prosi kogoś o protekcję — ale to pewnie Stanisław powie.

— Biedny stary — westchnął Janusz.

Już gros publiczności opuściło hall. Ola z mężem, który prowadził Andrzeja za rękę, dawno już wyszła, ale jeszcze przy kratkach szatni stało sporo osób, zaczęły się one niecierpliwić długą rozmową Dosi z Januszem i Zosią.

— Pani Wiewiórska — ostro powiedział stojący obok Hube — rozmowy to na potem.

Dosia przelotnie spojrzała na siwego fabrykanta i skoczyła swoim prawdziwie wiewiórczym ruchem po szuby Myszyńskich. Jadzia otarła się o Hubego. Za nimi stali Złoci.

— Panie dyrektorze — z pewnego rodzaju nadwiślańską kpiną, właściwą jej głosowi, powiedziała Jadzia — wujka aresztowali.

Złoty na dźwięk tego zdania odwrócił się ku niej gwałtownie.

— Co ty tutaj takie rzeczy mówisz? — żachnął się.

— A gdzie mam mówić — głośno powiedziała „żermena“ — w komisariacie?

— Co się stało? — zawołał głuchawy pan Hube, odbierając od pani Dosi swoje piękne futro na fokach. — Kogo aresztowali?

— Wiewiórskiego — powiedział Złoty ze smutkiem i zgorszeniem.

— Jakiego Wiewiórskiego? — pytał znowu głośno Hube nie mogąc trafić do rękawa.

— No, tego, Janka, co teraz musiał zastąpić w „Spłonce“ niemieckich majstrów.

Hube wdział wreszcie palto.

— Jakto, mojego robotnika aresztowano? A za co? — Hube zdziwił się, że coś podobnego mogło go spotkać — to przecież nasz najlepszy robotnik.

— Ale on komunista. — Złoty nachylił się nad uchem Hubego i starał się sprowadzić rozmowę do innego registru — na pewno należy do partii.

Hube zdziwił się jeszcze bardziej.

— Komunista? Niemożliwe. Jemu się zupełnie dobrze działo. Zupełnie przyzwoicie zarabiał.

„żermena“ zaśmiała się szeroko. Dosia zatrzymała się z futrem pani Złotej w ręku i zmierzyła dziewczynę od głowy do stopy poważnym i gniewnym wzrokiem.

— Idź stąd — powiedziała — nie masz tu nic do roboty.

Jadzia powściągnęła swój śmiech, zawróciła na pięcie i nie mówiąc ani słowa do pani Dosi ani do nikogo, ruszyła ku wejściu. W ruchomych drzwiach otarła się o Myszyńskich. Odwróciła się, minąwszy ich, ku Januszowi i nie bez satysfakcji powiedziała:

— Pan hrabia to wujkowi jeszcze w Paryżu przepowiadał.

Na dźwięk tego głosu Zosia przytuliła się mocniej do ramienia Janusza.

— To okropna dziewczyna! — powiedziała z drżeniem w głosie.

X

Janusz i Zosia mieli parę kroków od Filharmonii do mieszkania Bilińskiej na Brackiej. Przeszli Jasną i Zgoda do pałacyku, trzymając się pod ręce i nie mówiąc ani słowa. Na Janusza zrobiła duże wrażenie wiadomość o aresztowaniu Wiewiórskiego, Zosia spostrzegła to dobrze

i chciała odwrócić jego myśli na inne tory. Ale jakoś nie wiedziała o czym mówić. Miała jeszcze w uszach głos Elżbietki i tony wzbierającej jak rzeka orkiestry, ale po tym, co Janusz mówił w pokoju artystów, nie poruszała tej sprawy. Było jej przykro, że nie podzielał entuzjazmu, który poruszał jej serce.

Gdy zadzwonili na Brackiej otworzyła im panna Tekla i powiedziała, że księżna z Alem już wróciła i czeka na nich w małym salonie na górze. Zosia zdejmując przed wielkim lustrem włóczkową czapeczkę, którą miała na głowie, westchnęła ciężko. Janusz stał tuż za nią i przeglądał się w matowej, zestarzałej szybie zwierciadła. Poklepał żonę po ramieniu.

— Du courage — powiedział — herbata nie będzie trwała długo.

Zosia uśmiechnęła się do jego odbicia w lustrze.

— Popatrz na nas — dodał Janusz — czy nie jesteśmy ładną parą?

Odbicie ich w lustrze przyćmione mgłą zużycia nie było bardzo wyraźne. Chudzi i mizerni wydawali się płynąć w zielonawej wodzie jak dwa wydłużone wodorosty. Zosia wzdrygnęła się.

— Wyglądamy jak topielcy — powiedziała i odwróciła się w stronę przedpokoju — no, chodźmy! — dodała weselej, i wziąwszy Janusza za rękę wbiegła z nim na górę. Janusz się zasapał.

— Zosia — śmiał się — dajże spokój! Też masz pomysły!

— Du courage, mon ami, du courage — odwzajemniła mu się Zosia i zupełnie swobodnie wpadła do salonu.

Maria podniosła się ze swojego wielkiego fotela stojącego przy białym fortepianie i z pewnym zdziwieniem spojrzała na wchodzących. Alo oparty o fortepian i zarumieniony, szczęśliwym wzrokiem spotkał wuja i wujenkę.

— Jesteście nareszcie — niskim głosem powiedziała Bilińska — Alo się nie mógł doczekać. A on musi już iść spać.

Zosia z wdzięcznością popatrzyła na Ala, lecz nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Alo też jak gdyby chciał wyrzec jakieś słowo, nie mógł się jednak na nie zdobyć, chrząknął tylko głęboko. Myszyńscy siedli na fotelach i księżna zadzwoniła na służącego.

Kiedy Stanisław wniósł herbatę, Janusz i Zosia wymienili znaczące spojrzenia. Po minie Stanisława znać było, iż wie już o zamknięciu syna, nie była to zresztą mina zbolała czy dramatyczna. Widać było, że Stanisław jest wściekły. Zosia uśmiechnęła się do siebie samej, tak się ta mina Stanisława wydała jej nieoczekiwana.

Bilińska, podając filiżanki z gorącą herbatą i ustawiając na stole ta-

lerzyki z suchymi ciasteczkami i grzankami z czarnego chleba (specjalność tego domu!), próbowała bawić brata i bratową rozmową towarzyską. Zadawała im pytania:

— Jakże się wam podobała Szyllerówna? Prawda, co to za zły gust wpinać sobie do fryzury wysokie białe pióro? Wyglądała jak „dzika", jak ta Murzynka paryska.... jakże ona się nazywa? Jak Josephina Baker...

Zosia uśmiechnęła się otwarcie.

— Jestem taka prowincjałka — powiedziała — mnie toaleta Elżbietki wydała się zachwycająca...

— Kokietujesz wszystkich swoją parafiańszczyzną — powiedział Janusz, niecierpliwie mieszając herbatę łyżeczką.

Zosia poczerwieniała aż do nasady włosów.

— Widzisz, tutaj nie mam kogo kokietować — mruknęła.

I wtedy mimowoli spojrzała na Ala. Siedział jak na szpilkach i był równie czerwony jak i ona. Jego duże niebieskie oczy wydawały się zrobione z sinej porcelany w kontraście do purpury policzków. Zrobiło się jej nieprzyjemnie.

— Janusz ma dzisiaj swój zły dzień — zwróciła się do szwagierki. — Nagadał Edgarowi za kulisami takich rzeczy, że nie wiedziałam, co mam z sobą robić.

— On to potrafi — uśmiechnęła się z pewną satysfakcją Bilińska — a czy się nie podobały tobie pieśni Szyllera?

Janusz popatrzył z wyrzutem na Zosię.

— Czy mam wszystko na nowo powtarzać? — zapytał — już tłumaczyłem, że mi się pieśni Edgara bardzo podobają, ale że chodzi mi o inne rzeczy....

Bilińska machnęła ręką.

— Nie lubię twojej teorii sztuki — powiedziała.

Janusz ze złością siorbnął herbatę. Przez chwilę panowało milczenie. Nagle odezwał się Alo, głosem lekko zachrypniętym czy zahamowanym z emocji.

— Wuju, a co jest teraz w oranżeriach w Komorowie?

— Tuberozy — lakonicznie odparł Myszyński.

— Nie masz pojęcia, jaki cudowny zapach w oranżerii — zwróciła się Zosia bezpośrednio do Ala — dusi kompletnie, gdy się do niej wejdzie. Podobno tak pachną kwiaty tropikalne. — Potem powiedziała do księżnej: Puść, Marysiu, kiedy Ala do nas. Zobaczy kwiaty w oranżerii, popoluje trochę. U nas w tym roku bardzo dużo jest kuropatw.

— Bardzo nie lubię, kiedy Alo strzela — bezapelacyjnie stwierdziła Bilińska.

Janusz popatrzył na nią uważnie:

— Obawiam się, że będzie musiał dużo nastrzelać się w życiu — warknął.

— Cóż za okropne przepowiednie — zaśmiała się Maria i, aby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie sprawiło powiedzenie Janusza, spytała — napijesz się jeszcze herbaty?

— Dziękuję — powiedział Janusz — musimy już iść spać. Zosia jeszcze niedobrze się czuje, a jutro trzeba jechać wcześnie do Komorowa. No, Alek — dodał, kiedy przyjedziesz na kuropatwy?

Alek popatrzył w milczeniu na matkę.

— Na kuropatwy, nie na kuropatwy — ale przyjedź — powiedział serdecznie wuj i ucałował go w głowę.

Kiedy byli już u siebie, w dawnym pokoju Janusza na drugim piętrze, zaszła jeszcze do nich panna Tekla, przynosząc całą kolację: kurczęta i sałatę, i kompot z jabłek, i ciastka...

Oczywiście natychmiast rozpoczęła rozmowę o aresztowaniu Jasia. Stanisław dowiedział się o tym zaraz po południu i ku zdziwieniu wszystkich nie zmartwił się, tylko rozzłościł. Powiedział podobno: „Zawsze mu mówiłem, że te jego bunty tak się skończą". Panna Tekla dodała opowiadając o tym:

— Nawet nie myślałam, że ten Stanisław taki rozsądny człowiek. Zawsze mi się wydawało, że nienawidzi nas wszystkich a jednak okazało się, że jest oddany.

Panna Tekla cieszyła się — tak przynajmniej wyglądały pozory, że ktoś wraz z nią podziela to oddanie się domowi Bilińskich bez reszty. Całe swoje istnienie umieściła w cieniu ich „wielkiego" życia i z całego serca pragnęła, aby to życie było naprawdę „wielkie", to znaczy zewnętrznie błyszczące. I dlatego cierniem dokuczliwym wydawało się jej małżeństwo i odosobnione, szare, zwyczajne życie Janusza. Zosię uważała za przyczynę odsunięcia się Janusza od „świata" i zlewała na jej głowę wszystkie swoje żale. Tym razem jednak nie długo rozmawiała z młodymi, po chwili zjawił się Stanisław i poprosił o wydanie obrusu i serwet na jutro, wysunęła się więc zaraz za nim, cichutko stąpając na swoich filcowych, futerkiem obramionych trzewikach.

Janusz i Zosia zostali sami. Zosia poczęła się rozbierać, Janusz usiadł w fotelu i palił papierosa. Myślał o czasach, kiedy jeszcze jako kawaler zajmował ten pokój i ucząc się marzył o wyjeździe do Paryża. Przez

krótką chwilę przypomniała mu się Ariadna i jej po męsku, po parysku ostrzyżona głowa. Tymczasem Zosia narzuciwszy na siebie wyjęty z szafy różowy „warszawski“ szlafrok usiadła na łóżku i również zamyśliła się.

— Pomyśl sobie — powiedziała nagle — tutaj życie idzie swoją koleją: koncert, herbata, czyste obrusy, serwety, a tam człowiek poszedł do więzienia. Kamień wpadł w wodę, a żaby rechoczą i trzciny szumią... dlaczego?

Janusz puszczał krążki dymu dość nieumiejętnie, niedawno nauczył się palić od swojego ogrodnika. Milczał przez chwilę i potem powiedział obojętnie:

— Tak zawsze było!

— Nieprawda — gorąco powiedziała Zosia — nieprawda. Było tylko wtedy, kiedy była walka.

— Walka jest zawsze — mruknął Janusz sennie.

— Walka! Ale o co? — w dalszym ciągu z zapałem mówiła Zosia — a ty zawsze jednakowy. „Walka! Walka!“ a właściwie mówiąc już śpisz na tym fotelu, puszczając kłęby dymu. Po coś się tego palenia nauczył? — dodała zgryźliwie.

— Moja droga — powiedział Janusz — czy jeżeli ja będę krzyczał i podnosił głos, i machał rękami jak Malski, to coś się od tego zmieni? Ani mój los, ani los Jasia się od tego nie zmieni.

— Ale i od twojego gadania się nie zmieni.

— Ja nie mówię, to prawda — powiedział Janusz — i w ogóle nie mówię dużo, nie tylko w tej chwili. I od tego, czy będę mówił czy nie będę mówił — nie tylko losy nasze się nie zmienią, ale w ogóle nic się nie zmieni.

— Pytanie, czy trzeba, aby się zmieniło.

— Nie, to pytanie niepotrzebne. Musi się zmienić. Ale nie od tego, co będę mówił, tylko od tego, co będę robił.

— Nic nie robisz — szepnęła Zosia.

— A nic — powiedział Janusz.

Znowu wypuścił kilka kółek dymu i śledził je uważnie. Zosia ściślej ogarnęła się szlafrokiem. Milczeli przez kilka dobrych chwil.

— Zimno tu jakoś — powiedziała Zosia — nie chcę mi się iść do łazienki.

A potem załamała ręce.

— Jak ja nie lubię tutaj nocować — zawołała patetycznie — tu zawsze tak strasznie nieprzyjemnie. I myśli takie jakieś nieprzyjemne.

— A w Komorowie myśli przyjemne? — spytał Janusz.

— Ciągle mi stoi przed oczami ten Jasio — ciągnęła Zosia, nie zwracając uwagi na pytanie Janusza — i ten kpiący wyraz tej dziewuchy, kiedy patrzyła na nas w szatni. Dlaczego ona na nas patrzała takimi zmrużonymi oczami? Wstrętna ta cała „żermena".

— Wiesz, ja jej się nie dziwię, że ona na nas patrzyła zmrużonymi oczami. Przypuszczam, że zupełnie nie rozumiała, dlaczego się tam znajdujemy.

— Przecież ona chyba rozumie, co to jest koncert?

— Co to jest koncert, pewnie rozumie. Ale co to jest koncert w dniu aresztowania jej wuja i opiekuna, tego na pewno nie rozumie. Tego może i my byśmy nie rozumieli.

Zosia poruszyła się na łóżku, ale zamiast wstać położyła się na wierzchu i odchylając róg kołdry przykryła nim sobie nogi. Zamyśliła się przez chwilę.

— Więc wszystko to, co było takie piękne, Elżbietka Szyllerówna i te pieśni Edgara, i ta muzyka taka... łaskocząca, nie, nawet nie łaskocząca, porywająca, no, i chociażby ten Beethoven, którego nie słuchaliśmy, to wszystko nie ma żadnego znaczenia, dlatego tylko, że Jasio Wiewiórski siedzi w ciupie?

Janusz uśmiechnął się, przechylił się w krześle i położył swą dłoń na ręce Zosi, zwisającej ku ziemi.

— Nie, to wszystko ma znaczenie — ale ma i n n e znaczenie.

— Jakie? — zaniepokoiła się Zosia.

— Nie takie, jakie nadawaliśmy koncertowi słuchając go, i nie takie, jakie Edgar nadawał swoim pieśniom, komponując je i słuchając ich potem ze łzami w oczach. Widziałem go w loży... Oni wciąż myślą, że ocalenie ludzkości leży w sztuce. To chciałem powiedzieć po koncercie, ale mnie nikt nie zrozumiał, i ty także mnie nie zrozumiałaś.

— Boś mnie nie przygotował do tego. Nigdy mi nie mówisz, co myślisz.

Janusz znowu siedział spokojnie i patrzył na dymek z papierosa.

— Ja dotychczas tak nie myślałem. Ale właśnie w czasie koncertu przyszły mi te wszystkie myśli do głowy, i potem.... i dlatego ci nigdy o tym nie mówiłem. Zresztą w ogóle nie mówię o takich rzeczach, wydaje mi się to za patetyczne, za wielkie, zwłaszcza tam na wsi, gdzie grzebią w nawozie i hodują primule. Widzisz — dodał — ja w przeciwieństwie do ciebie lubię nocować „na Brackiej". To mi przypomina

moje kawalerskie czasy i wszystko, co tutaj przeżyłem. To było zresztą bardzo niewiele. Ja właściwie już wszystko przeżyłem tam, w Mańkówce. We wczesnej młodości i samotności ze zdziwaczałym ojcem; jego granie na pianoli nie miało naprawdę żadnego znaczenia.

— Bo ty się doszukujesz znaczeń metafizycznych we wszystkich drobiazgach życia, we wszystkim, co nas otacza.

— Nie znasz mnie, Zosiu — z pewną goryczą powiedział Janusz — skoro przypisujesz mi popędy metafizyczne.

Zosia zerwała się z łóżka, usiadła przed lustrem i poczęła się czesać na noc. Gdy wygładziła upięte włosy, twarz jej wydawała się jeszcze mizerniejsza, a oczy bardziej zapadły. Gniewał ją ten wyraz choroby i smucił przypomnieniem niedawnego nieszczęścia.

— A skąd ja mam ciebie znać? — powiedziała szarpiąc grzebieniem warkocz — skąd? nigdy cię nie poznam, siedzisz jak mruk i za każdym razem mówisz co innego. Za każdym razem, kiedy mamy dłuższą rozmowę, to wydajesz mi się inny — ale co gorsza nie nowy! Twoje odmiany są krążeniem wokół tego samego kołka, do którego jesteś przywiązany niewidzialnym, ale bardzo mocnym sznureczkiem.

Janusz spojrzał na nią uważnie i zapalił drugiego papierosa.

— Nadymisz — powiedziała Zosia.

— Otworzymy na noc okienko — bronił się Janusz.

— Zawsze zamknięty jesteś na cztery spusty.

— Ty tak samo — Janusz przesiadł się na inne krzesło, aby lepiej widzieć Zosię, lubił patrzeć, jak się czesała, ruchy jej były zręczne, choć nerwowe.

— We mnie nic nie ma — uśmiechnęła się — pusty gliniany dzban.

— Na piękne polne kwiaty.

— Ty nie lubisz polnych kwiatów — Zosia zwróciła się do Janusza, okręcając się na toaletowym taburecie i nareszcie uśmiechnęła się do niego jasno i po prostu.

— A ty mnie jednak znasz — przekornie powiedział Janusz — to powiedzenie o przywiązaniu do kołka świadczy o tym wyraźnie. Znasz mnie może lepiej niż ci się samej zdaje.

— To wszystko są raczej jakieś domysły. Ale wracając do koncertu — powiedziała, dość bezradnie rozkładając ręce — czy ty naprawdę nie możesz mi tego wytłumaczyć? Jakie to ma znaczenie?

Janusz uśmiechnął się.

— Uparta jesteś — powiedział — spytaj o to Jasia, jak go wypuszczą z więzienia.

— A on wie? — zdziwiła się Zosia.

— Na pewno! — Janusz wstał i zrzucił marynarkę — On wie na pewno! — A potem dodał:

— Wiesz, i ja bym tak chciał raz w życiu coś wiedzieć na pewno! I pocałował żonę w czoło.

Jarosław Iwaszkiewicz

JERZY BOREJSZA

GALINA

Fragmenty z książki „Na progu" — („Ludzie pierwszego frontu")

7 września 1939 r.

Warszawskie budynki otrzymały pierwsze bolesne rany. Rozpryskane szyby piaskiem szkliły bruki. O siódmej wieczór, po skończonym alarmie, z bramy Krakowskiego Przedmieścia grupa nasza szybko zaczęła posuwać się w dół.

Z mostu Kierbedzia rzuciliśmy ostatnie, pożegnalne spojrzenie Wiśle. Tylko Wisła nie była ranna ani odpryskami pocisków zenitek, ani ogniem bomb, które omywając i studząc grzebała ze spokojem na dnie. W owych dniach wrześniowych trzydziestego dziewiątego roku dziwnie z wiatrem rozmawiały topole i wierzby nadwiślańskie, spokojnym szeptem listowia odpowiadały na porykiwania latających smoków.

Minąwszy most szliśmy wzdłuż jakiegoś parkanu, potem ścieżkami wzdłuż szosy. Sunącą wężem grupą sterowały bielejące w ciemności plecy Ireny. Ociężale i ospale szła szosą piechota golędzinowska; dopiero gdzieś na rozstaju nasze drogi się rozeszły.

8 września 1939 r.

Ledwo świt — jednolita ciemność rozsypała się w mnóstwo postaci na drodze, aż wreszcie czerń nocy wypluła z siebie żółtą kurzawę i szare twarze ludzkie. Opodal w rowie zastygły trup kobiety i żywe, małe, może roczne dziecko, rączkami chwytające pierś matczyną. Jakaś staruszka pochyliła się, by łagodnie oderwać dziecko od ciała matki.

Nad tłumami odpływającej ludności ukazały się pierwsze samoloty ze swastyką. Skąpo rzucając bomby, raczej ostrzeliwały z karabinów maszynowych, których kule gryzły ziemię. Zmęczeni całonocnym marszem przykucnęliśmy na skrzyżowaniu szosy i szerokiej polnej drogi, przyglądając się zamglonymi oczyma wyszarzałym twarzom współtowarzyszy. Szosą ciągnął nieprzerwanie potok ludzki: zgarbione, pochylone postaci, tobołki i plecaki, dzieci na ręku lub starsze, czepiające się spodni ojca czy sukni matki. Raz po raz sygnał samochodowy i spóźnione auto dygnitarskie przecinało tłum, pokrywając go tumanami kurzu.

Ktoś z naszej gromady odezwał się pierwszy:

— A może te radiowe nawoływania do opuszczenia miasta — to była jeszcze jedna prowokacja?

— Może wracać? — odezwała się Irena.

— Do Garwolina niedaleko, tam się rozejrzymy... Trzeba zboczyć na ten gościniec polny, będzie mniej kurzu i mniej ludzi... Ale, ale, patrzcie na tę kobietę; co to wojna potrafi z człowieka wydobyć... I uwierzyć, że coś takiego...

Wzrok nasz skierował się w stronę, wskazaną przez Krystynę.

Przed nami szła młoda kobieta w czarnej, powłóczystej sukni z rozwichrzonymi włosami. Na smyczy prowadziła psa dobbermana, wolną ręką przyciskając do piersi szkatułkę. Niesamowity obraz uzupełniała dziesięcioletnia dziewczynka, ledwo powłócząca nogami. Młoda kobieta raz po raz oglądała się wokoło błędnym wzrokiem.

Grupka nasza oderwała się od ziemi, i Krystyna prowadząc z kolei ruszyła naprzód. Minęliśmy kobietę ze szkatułką i dobbermanem. Spojrzenie wielkich zielonych oczu kobiety skrzyżowało się z naszym.

Krystyna pierwsza przerwała milczenie:

— Szkatułkę zabrała! Mąż zapomniał ją chyba, uciekając autem! Cóż ona tam niesie? Biżuterię rodzinną, a może fotografie? Może jakie inne rzeczy, które wkrótce wymieni na mleko dla dobbermana, no i dla córki...

Irena ciężko dyszała, zaciskała usta i jak zwykle zmęczenie i niepokój wyjaskrawiły jej patetyczny głos.

— Daj jej spokój, nie należy tak kpić z tej nieszczęśliwej dygnitarzycy...

Na to Krystyna:

— A właśnie, że będę kpić i to sama z siebie... Mnie dzisiaj było strasznie żal mego gabinetu, który tak miłośnie i tyle lat upiększałam, a szczególnie — śmiać się będziecie — kolekcji porcelany. Idee? W moim środowisku zarosły one tłuszczem. Czepialiśmy się kurczowo rzeczy —

wiem, wiem, zaraz rzucisz epitet, etykietkę nalepisz: filisterstwo, drobnomieszczaństwo. Zgoda, zdaję sobie nawet sprawę, jak te wszystkie wygody filisterskie nas omotały, zyskały nad nami władzę. Staliśmy się powoli niewolnikami tych przedmiotów... Czepialiśmy się ich... Kto wie, może w tym moim wyjściu z Warszawy, w tym zniszczeniu mego domu kryje się wyzwolenie...

Na to Irena:

— Może dla ciebie, kochanie, to jest wyzwolenie, ale poza paroma niewolnikami szkatułek — są jeszcze ludzie...

Krystyna umilkła. Zmęczenie, trwoga o Warszawę, kazały przerwać rozmowę.

Z dala widać już było płonące budynki Garwolina.

* *
*

13 lipca 1941 r.

Auto z Kijowa mknęło na wschód. Zboże tego roku było tak wysokie, że człowiek w nim ginął. Dawno, już dawno, takiego urodzaju ziemia ukraińska nie widziała. Między Połtawą a Mirgorodem szeroki gościniec biegł przez wsie, świetnie zagospodarowane, z nowymi budynkami, klubami, szkołami. Oto wioska, gdzie mieszka stary, znany kobziarz ukraiński, oślepły Kusznirow.

W tej wiosce — odpoczynek. Młodzież wsi powitała gromadę zmobilizowanych pisarzy pieśnią, i wypadło mi przełożyć z polskiego na ukraiński: „Tyle prawdy, co jest w pieśni....“

Wieczorem przed gmachem szkoły zebrała się młodzież, grała harmonia, rozbrzmiewała pieśń szeroka jak stepy ukraińskie, cicha jak w skwarze słonecznym jej pola, a nagle skoczna jak stukot kopyt końskich, a czasem rozlewna jak wody Dniepru.

Młody, wysoki pisarz ukraiński Ołeksa, ucieleśnienie radości życia, upatrzył wśród dziewcząt ogorzałą komsomołkę Galinę, której głowa w niebieskiej chustce migała jak chaber na wietrze; szepnął jej na ucho kilka słów, modre oczy śniadej jak cyganka dziewczyny zaśmiały się doń przyjaźnie.

Po chwili rzucił harmoniście: „Ech, dawaj błękitną chustkę.“

I zaraz harmonia wyciągnęła:

„Skromniutka, błękitna chustka...“

Ołeksa porwał Galinę do tańca. Spoglądała na niego z szacunkiem, gdy ją jednak zbyt czule przytulił w tańcu — z nieufnością, przygryzając wargi. Kiedy harmonista przestał grać i Ołeksa ścisnął jej dłoń, powiedziała:

— Jestem sekretarzem komsomolskiej organizacji, roboty huk, z rana ewakuacja... Idę do przewodniczącego kołchozu, Kiriczenki...

— Ale wrócicie?

— Chyba nie wrócę — moc roboty...

Odeszła wyprostowana, z podniesioną głową. Oddalała się szybko. Stojący obok mnie chłopak odezwał się:

— Nasza Galina — to uparty i twardy charakter, z nią to żartów nie ma, nawet chłopcy się jej boją...

Po dłuższej przerwie jednak wróciła. Spostrzegłem ją, jak stojąc za drzewem ostrożnie wysuwała głowę, szukając wzrokiem Ołeksy. Gdy zauważyła go w tańcu z jakąś dziewczyną, zasznurowała usta i za chwilę usłyszałem jej głos wśród grupy młodzieży:

— No, towarzysze, dziś ostatnia nasza potańcówka — jutro rozpoczynamy ewakuację. Najpierw kobiety, dzieci, maszyny — potem Kiriczenko ze mną i z grupą wydzieloną...

Ołeksa znalazł się obok Galiny. Znowu tańczyli razem, po czym siedli na ławce, przed szkołą, Ołeksa ujął jej dłoń. Przechodząc usłyszałem jej słowa, wypowiedziane hardo:

— Nie śpiesz się, wojna się jeszcze nie kończy...

14 lipca 1941 r.

Z rana Ołeksa przetarł oczy i odezwał się:

— Ale zadziorna dziewczyna... z charakterem, bez sentymentów...

Roześmiałem się:

— Może tam jakieś sentymenty ma, ale potrafi ukryć — to wielka mądrość...

Od rana rozpoczęła się ewakuacja wsi — grupa młodzieży pod wodzą Kiriczenki i Galiny zaprzęgła do pracy również i naszą grupę. Zebrane zboże wywożono, resztę palono na pniu.

Podczas przerwy Galina parokrotnie wpadała do szkoły i zwracała się do kierownika naszej grupy, Ołeksy, rzecz jasna zawsze w sprawach dotyczących ewakuacji.

O godzinie piątej po południu mieliśmy wyruszyć. Galina wpadła raz jeszcze na pożegnanie i powiedziała: „A my z bydłem ruszamy o siódmej.

Traktory wysłałam już: krowy za nimi nie nadążą. Może — jak wam guma nawali — spotkamy się jeszcze.“

Powoli sunęło nasze auto na wschód, torując sobie drogę między wozami, załadowanymi kobietami, dziećmi, dobytkiem, i między gromadami bydła. Wszystko spowite było bezustanną kurzawą, jak gdyby chmury na ziemię zeszły i po niej na czworakach pełzły. Owce tłoczyły się, wybiegając naprzód przed leniwe krowy, które zadzierały głowy do góry.

Gdzieś na dziesiątym kilometrze od wioski zatrzymaliśmy auto pod drzewem. Patrzyliśmy na ten obraz sunący z zachodu. Dzień kończył się — było daleko po siódmej.

Żółtawo-czerwone promienie słońca zawieruszyły się w siwym tumanie, kurzawa unosiła się jak ceglasta, zakrwawiona glina, sczerwieniona zachodzącym słońcem, które zamgloną tarczą staczało się w dół, aby spotkać się z linią ziemi.

Ołeksa niespokojnie spoglądał na drogę, którą przechodziło jedno stado po drugim. Wreszcie z daleka, na szarym koniu ukazał się Kiriczenko.

Z ust Ołeksy wyrwał się okrzyk: „To oni, Galina.“ W ślad za Kiriczenką pełzła ceglasta chmura. Nagle z tej chmury przedarła się jak rosnąca kropka chabrowa głowa Galiny, jadącej na koniu.

Galina zauważyła naszą grupę, odnalazła wzrokiem Ołeksę — koń jej zrównał się z koniem Kiriczenki. Zwróciła się w stronę Kiriczenki, żywo gestykulując ręką, po czym nagle ściągnęła cugle, dłonią wzniesioną pożegnała nas i postać jej znikła w kurzawie.

Ołeksa drgnął. Czekaliśmy, póki zbliży się Kiriczenko.

— Czemu Galina wróciła? — zapytał ze złością Ołeksa.

— A ty czego chcesz od naszej dziewczyny? Wróciła, bo dwa traktory pozostały na wsi, trzeba je zniszczyć, i stodoły z sianem nie podpalili... Taka nasza młodzież...

Ołeksa zagryzł wargę:

— A jeżeli nie zdąży wrócić?

— Hitlery tuż przy wiosce — czy wróci nie wiem, a bydło mi się rozpełznie. Każdy odpowiada za swoje...

Czekaliśmy pół godziny, godzinę. Ściemniło się. Dalej czekać było niebezpiecznie. Wróg deptał po piętach. Ruszyliśmy. Ołeksa usiadł w tyle auta, aby patrzeć za siebie, na drogę.

* *
*

9 listopada 1941 r.

Ołeksa? Rozstaliśmy się gdzieś w Charkowie, skąd wrócił do osaczonego Kijowa, potem podobno pojechał do domu. Zginął, jak mówią, złapany przez hitlerowców...

Galina? Przypadkowo napotkani czerwonoarmiści, którzy byli w jej stronach, opowiadali, że hitlerowcy postrzelili gdzieś w polu dziewczynę w błękitnej chustce, kiedy podpalała stosy zboża.

Idąc ulicami Woroneża spotykam zarośniętego kołchoźnika w łapciach, obdartego, obszarpanego. Przystaje i uśmiecha się. Dziwak jakiś czy pomylony? Chciałem szybko minąć go, gdy nagle rozległ się znajomy głos: „Co to, nie poznajesz mnie?" — „Ach, to ty, Ołeksa!"

Poszliśmy do domu.

Ogolił się, wykąpał, przebrał. Zauważyłem, że wychudł, oczy miał podkrążone. Dostał gdzieś pół litra wódki, wypiliśmy i jego humor powoli wracał. Wróciła mu też jego dziwna bezpośredniość w obcowaniu z ludźmi. Wsiedliśmy do tramwaju.

Są miasta „ciepłe" i „chłodne", gościnne i nieprzytulne. Woroneż ma w sobie wiele ciepła i swojskości.

Siedzi naprzeciw nas młoda kobieta, ma nowe wełniane rękawice. Ołeksa odzywa się: „Dziewczyno, takie same rękawice zgubiłem niedawno."

Wysiadamy z tramwaju. Ołeksa sięga po zapałki do kieszeni kożucha i zdziwiony wyciąga stamtąd parę rękawic.

Wieczorem wyjechałem na północ, Ołeksa na południe. Podobno Ołeksa znalazł się powtórnie na tyłach wroga. Podobno zaginął.

* *
*

22 listopada 1942 r.

Noc księżycowa — pod kołami ciężarówki skrzypi śnieg, przed nami rozściela się zadziwiająca, oślepiająca biel. Na platformie chłopcy okryli się kocami, derkami, kożuchami. Między nimi major Wasiljew.

Szofer ciężarówki nie śpi już trzecią noc; siedzę przy nim w budce, aby nieustanną rozmową nie dać mu usnąć. Z dala, na rozstaju dróg, widnieje biała postać, „biały łabędź" obok budki. Z reflektorów pada snop światła, rozlega się krzyk kobiecy:

— Stać! Stać! Zatrzymać auto.

Na rozstaju dróg, jak krzyż przydrożny, po środku stała postać „regulirowki":

— Stać! Stać!

Kierowca szarpnął, auto stanęło. Wyskoczyłem z budki. Na platformie ciężarówki spod koców, kożuchów, derek wyjrzały głowy. Najwyżej wysunęła się głowa majora Wasiljewa:

— Dziewczyno, czego się drzesz, co się stało?

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!

— Gdzie zwycięstwo?

— Przed piętnastu minutami osobową maszyną jechał generał. Kazał mi zatrzymywać wszystkie auta i powtarzać: zwycięstwo! Pod Stalingradem przerwano front na północo-zachodzie na długości 30 kilometrów, na południu długości 25 kilometrów. Posunęliśmy się 80 kilometrów naprzód.

Cała platforma zahuczała, o śnie nie było mowy. Zaświeciłem w twarz dziewczynie latarką, ale szybko wyrwała mi ją z ręki i odwróciła snop światła w moją stronę.

— To ty?

— Galina! Skąd ty tutaj?

— Od czasu kiedyśmy się widzieli ostatnio, kiedy wylazłam z partyzantki pięć miesięcy temu — życie moje jakoś inaczej poszło... Nie wróciłam do partyzantki, jak to było podczas ostatniej rozmowy postanowione, bo po powrocie jakoś brykałam i pułkownik, żeby mnie do dyscypliny doprowadzić — dał mnie do regulacji ruchu...

— Masz żal?...

— Nie, pułkownik ze mną, jak z człowiekiem partii postąpił. Do partii się żalu nie ma. Czy to prawda, że Ołeksa nie żyje?

— Podobno prawda. Po wojnie wyjaśnimy. Chcesz do oddziału, do nas?

Major Wasiljew przysłuchiwał się rozmowie. Zapytał krótko:

— Imię, nazwisko? Obecny przydział?

— Galina Gerasimenko, gospodarstwo autotransportu pułkownika Kijatkina...

Wasiljew uścisnął jej dłoń i powiedział:

— Od nas wszystkich: „Urra!“ za zwycięstwo!

Chłopcy na platformie ruszającego auta krzyknęli: „Urra!“

* * *

11 stycznia 1943 r.
Wielkie Łuki, stacja kolejowa.

Nareszcie!

Po raz pierwszy od dwóch tygodni można było, z trudem co prawda, pomagając sobie nawzajem, ściągnąć buty, odwinąć a raczej odlepić

onuce od nóg i wypocząć. Działo się to na stacji Wielkie Łuki, w jednym z nielicznych ocalałych wagonów.

Stacja Wielkie Łuki nie istniała — pozostały kościotrupy okolicznych domów i pociągów. Szukaliśmy miejsca, gdzie udałoby się spokojnie zmienić bieliznę, przespać się.

Dziewczęta oddziału, pod kierownictwem małej Niny wybrały pohitlerowski wagon, wyrzuciły zeń moc butelek po winie z markami z całej Europy, wymiotły starannie. Dwie szyby wybite zastąpiono deskami. Po oficerach hitlerowskich pozostał piecyk, w którym napalono. W ten sposób otrzymaliśmy na jeden dzień legowisko odpoczynkowe.

Galina wraz z dziewczętami wlazła na górną półkę, na „balkon", jak to nazwała. Na dolnych półkach, czyli na parterze, rozlokowali się pułkownik Ignatczuk, major Wasiljew, porucznik Baratow i autor tej opowieści.

Szurając nogami i poganiając inne dziewczęta, krzątała się na „balkonie" wagonu Galina, która w ciągu kilku tygodni stała się wodzirejem dziewcząt. — Wasiljew zaś w ciągu tych kilku tygodni, oprócz udziału w bitwie o Wielkie Łuki, dość czynnie uczuciowo atakował Galinę. Stąd między „parterem" a „balkonem" potoczyła się następująca rozmowa:

— Galina, jak tam u ciebie puls bije?

— Żeby tak twój dobrze i mocno bił jak mój, majorze.... A ty, majorze, sądzisz, że pułkownik Ignatczuk, czy ten polski kapitan, nie rozumieją, o co tobie chodzi! Ja prosta chłopka, Ukrainka, to ci po naszemu odpowiem: musimy zaczekać z odpowiedzią, nie śpieszyć się, wojna się jeszcze nie kończy...

Parter i balkon odpowiedziały zgodnie śmiechem. A Galina na to surowo:

— Ja nie o tym myślę, plecy bolą od rzemiennego pasa, którego tyle czasu nie zdejmowałam, a myślę teraz o tym, że Darwin się też pomylił...

Wasiljew dotknięty do żywego hardością dziewczyny, odciął się:

— Jak ty mówisz, żeś prosta chłopka, to cóż ty o Darwinie wiesz?

Na to z góry, z „balkonu" wagonowego posypały się żwirem złości słowa:

— Szkołę radziecką u nas na wsi kończyłam, a co Darwin mówił, nie gorzej wiem od ciebie, chociaż tyś był dyrektorem szkoły. Do partii dopiero na froncie sześć miesięcy temu wstąpiłeś. Ja już od dzieciństwa

w komsomole byłam, a do partii ostatecznie w partyzantce z kandydata zostałam przyjęta...

Pułkownik Ignatczuk uniósł głowę i basem ostro przerwał:

— Dość, Galina i Anton, to przekomarzanie odłóżcie na potem. A teraz Galina, powiedz, coś ty tak nagle z tym Darwinem wyskoczyła?

Na chwilę zaległa cisza, po czym Galina cedząc każde słowo, snać rozmyślając, aby dobrze sformułować, powiedziała:

— Uczono nas, jeśli dobrze zrozumiałam, jakoby Darwin udowodnił, że człowiek pochodzi od małpy... Może to i nie bardzo naukowo, ale to przecież na to wychodzi; ja Darwinowi nie mam za złe, on podczas ostatnich bitew nie był, nie wiedział, że to te oficery faszystowskie, oni to podobno kiedyś też byli ludźmi, a teraz to co? Najgorsze, najohydniejsze małpy, bo się w nich dziki zwierz obudził! Tyś widział tego ich pułkownika Fonzaca, czy jak się on nazywa? Toć to taki mały rdzawo-brunatny orangutang, jakiego widziałam w zwierzyńcu w Kijowie, kiedy z wycieczką byliśmy...

Na „balkonie" zaległa cisza — z „parteru" odezwał się major Wasiljew, który jeszcze wciąż się nie mitygował:

— I po coś ty, Galina, w to wszystko Darwina wplątała. Po prostu, my mówimy, że faszyści to świnie, a ty, że małpy człekokształtne.

Na to Galina:

— Ty się tylko rugasz, jak przekupka najgorsza, a ja poważnie mówię... Bo to ludzkość się zupełnie rozbiła: faszyści jak gdyby w sobie wszystkie cechy zwierzęce odrodzili, a nasi radzieccy ludzie, a nade wszystko komuniści, resztę tamtego świata kapitału w sobie zniszczyli albo zniszczą i powstanie zupełnie coś nowego.

Zaległa cisza, którą znów przerwał major:

— No, dobrze, Galinka, przyrodnicy naprawdę tej walki klas i tego wszystkiego, co mówisz, nie przewidzieli i tej naszej wojny: a któż ja według ciebie jestem?

— Ty, majorze, jesteś człowiekiem na progu... W tobie także toczy się jeszcze walka klas, która istnieje nie tylko poza nami. Podczas bitwy zachowałeś się na dziewięćdziesiąt procent jak radziecki człowiek, odważnie szedłeś, nie bałeś się śmierci... A teraz, po bitwie, co się w głowie majora dzieje? Nie wiem, ale może myślisz o tym, jakie ordery dostaniesz, jak będziesz teraz awansował? W tym wypadku może na dnie gdzieś zostało z dziesięć procent komunisty, a 90 procent — jakiś maleńki drobnomieszczuch. Bo to nie tylko ty, ale my

wszyscy przeszliśmy wielką bitwę ze sobą. Niektórzy już zwyciężyli, ale dopiero młodsi od nas będą mieli utorowaną drogę.

— Patrzcie no na tą starowinę — odezwał się Ignatczuk.

Parter odpowiedział wybuchem śmiechu — balkon zawtórował, a Wasiljew ostro warknął:

— Gadasz, jak byś w męskich butach chodziła. A ja wcale nie myślę o awansach i orderach...

Na to Galina cicho i łagodnie odparła:

— Jeśli tak, to bym tobie coś powiedziała, ale wojna się jeszcze nie kończy...

* *
*

6 maja 1945 r.

Zieleniło się wszystko na ruinach Warszawy, nawet drzewa zranione, okaleczałe, o zwisających ramionach, pokryte były przedziwną zielonością. Sosny, topole i wierzby szumiały nad modrooką Wisłą a wiatr Mazowsza kołysał listki i gałązki...

Z Berlina wracali do ojczyzny ludzie pierwszego frontu. Tego dnia podpułkownik Anton Wasiljew odszukał w Warszawie swego frontowego przyjaciela i willisem, mijając drewniany saperski most na Wiśle, ruszyli wybrzeżem w górę.

Cisza zaległa w aucie: nie wiedziałem, jak zapytać o Galinę, a nie zapytać.... W końcu nabrałem odwagi:

— A Galina?

— Ach, Galina... Mówię ci...

— A co się stało?

— Po prostu, kiedy byliśmy razem, to ona jakoś ciągle odrzucała od siebie wszelkie uczucia: zawadiaka w spódnicy... Jakeśmy w płonącym przedmieściu Berlina do ataku szli, z jakiegoś domu rozległ się krzyk o ratunek, a ona, zapominając o wszystkim wlazła do domu... Jak wychodziła, to ją cegły przygniotły, bo dom się zawalił...

— I co, zabita...

— Nie, żebra dwa złamało, ciężko chorowała, jeszcze do siebie nie przyszła, wysłałem ją do nas, do domu... Jest w Moskwie, pod opieką mojej matki... A zgody nie dała jeszcze, mówiła, że wojna się jeszcze nie skończyła. Teraz się skończyła, może zgodzi się...

Zmieniłem temat:

— Jak tam Niemcy, jaki to naród?

— Naród? — odparł Wasiljew — to dwa narody, a ludzie to nieźli, zależy od tego, kto nimi rządzić będzie...

Nagle doszedł nas głos śpiewający po rosyjsku:

Daremnie staruszka syna w domu czeka,
Powiedzą jej, a ona zapłacze,
A fale od śruby za rufą biegną,
biegną i znikają w oddali...

Poszliśmy w kierunku śpiewających. Zza drzew wyłoniły się postaci dwóch saperów-marynarzy, siedzących przy grobie. Jeden z nich mówił głośno:

— Wasia, myśmy z tobą zwyciężyli...

A drugi saper odezwał się:

— Wasia, zanim do swoich matek pojedziemy — do twojej pójdziemy i powiemy, jak zwyciężyliśmy razem. Staruszki nasze nie zapłaczą, bo wiedzą, że ludzie pierwszego frontu nie umierają — zwyciężają...

Anton wyszedł naprzód, zbliżył się do śpiewających. Dwaj chłopcy zerwali się, uspokoił ich:

— Czyj grób jest tutaj?

— Towarzyszu pułkowniku, tu leży saper jak my, Wasia, razem most budowaliśmy — przejście przed ofensywą na Warszawę — i w przededniu zwycięstwa kula wroga trafiła go. Wracamy z Berlina, odwiedziliśmy go, tabliczka jest i Polacy zasadzili tam kwiaty.

— W aucie mam wino, wypiję z wami za pamięć Wasi kielicha i za wszystkich naszych Wasiów! Oni z nami zwyciężyli... I za tego Janka, o którym mówił ten Polak... I za Ołeksę... zwyciężyli razem...

Szeleszcząc zakołysały się gałęzie i listowie topól, wierzb i sosen nadwiślańskich, i ostatnie słowa zagarnął wiatr mazowiecki.

Jerzy Borejsza

TADEUSZ BOROWSKI

MUZYKA W HERZENBURGU

Profesorowi Wiktorowi Klemperer
na pamiątkę rozmowy o pokoju

I

Muszę się przyznać, że do Herzenburga jechałem z pewną niechęcią, zmieszaną z zaciekawieniem. Czegóż mogłem się dowiedzieć w małym miasteczku z renesansu, ukrytym wśród żyznych wzgórz, zajmującym się sadownictwem i ogrodnictwem? W którym młodzież albo sadzi jabłonie i buraki, albo — uprawia muzykę? Bez wielkiego przemysłu, nie ruszone przez wojnę, żyjące sadzonkami i Bachem? I jeszcze ta granica stref! Sięgnąć ręką — i jest się w Niemczech Zachodnich. Zachodnich — to znaczy sfaszyzowanych. „Zobaczysz — mówił do mnie mój przyjaciel z berlińskiej grupy młodzieży, który znał robotę młodzieżową w Herzenburgu — że przeżyjesz emocje. Chcesz wiedzieć, jak się walczy o Niemcy? O nowe, demokratyczne Niemcy? Jak się wyplenia hitleryzm? Jedź do małych miasteczek, słuchaj ludzi. Zaglądaj na wieś, patrz, jak osiedleńcy budują nowe domy, notuj, co mówią, nie bój się skarg. Ciężko im, jak hybrydom Miczurina, nie zaaklimatyzowali się jeszcze w demokracji. A mały Herzenburg! No, cóż! Elementu robotniczego niewiele, emeryci, biurokraci, w najlepszym razie ogrodnicy, słowem — inteligencja muzykalna. Wśród ludności większość przesiedleńców zza Odry i Nysy. Wciąż wmawiają im z Zachodu, że lada dzień wrócą do siebie i będą używać Polaków jako parobków. Jedni nie wierzą, wzięli się do roboty i sadzą

drzewa, żenią się, dorabiają się, żyją, drudzy siedzą koło walizek, grają wieczorami na klarnetach i czekają na wojnę. Z muzyką, bracie, u nas źle."

„Zwłaszcza z Chopinem — ciągnął dalej. — Bo Chopin, uważasz, był Polakiem. A wiesz, jaką propagandę prowadzi strefa angielska? Ale mogę cię pocieszyć: mówią, że ten konkurs im się naprawdę udał. Słyszałem nawet, że do Herzenburga ma przyjechać profesor Heinrich Q. Wygłasza teraz cykl odczytów o pokoju po całej Saksonii. Nigdy nie słyszałeś o profesorze Heinrichu Q?"

II

„Musisz poznać profesora! To wielki filolog niemiecki, żyd z pochodzenia. Mówię żyd nie dlatego, że dziwię się, iż wśród hitlerowców dożył do końca wojny. Widzisz, profesor Heinrich Q. pochodzi ze starej rodziny niemieckiej, odgrywał pewną rolę w partii liberalnej za Wilhelma II. Dopiero hitlerowcy uświadomili go, że jest żydem. Przejął się tym głęboko. Gdybyś przeczytał jego pamiętnik z tych czasów! (Wstał zza biurka, sięgnął do szafy i wydobywszy oprawioną w karton książkę wsunął mi ją w ręce ze słowami: Weź na drogę, nie pożałujesz.) To jedno z najciekawszych studiów o hitleryzmie. Jak wszyscy filologowie miał on wyostrzony zmysł spostrzegawczości na wszelkie zmiany językowe, reagował na życie języka, jak inni na pogodę. I nie fakty polityczne, nie bojówki hitlerowskie, nie marsz z pochodniami przez Bramę Brandenburską, lecz wynaturzenie języka zwróciło jego uwagę na niebezpieczeństwo faszyzmu i nauczyło go patrzeć na świat oczyma polityka. Pozbawiony katedry, obrabowany z rękopisów i notatek, bojkotowany przez kolegów i wydawców, zaczął jeszcze w roku 1933 prowadzić katalog wyrażeń faszystowskich, w którym notował postępy zatrucia umysłu narodu plugawym i niedorzecznym bełkotem hitlerowskim. Była to jedyna dostępna mu forma pracy naukowej. Nie chciał przeżyć tych lat bezpłodnie. Wiesz, żydom nie wolno było czytać książek ani gazet aryjskich. żydowskie — co innego. Tych nie wolno było czytać aryjczykom. Zabawne, gdyż żona profesora była rodowitą Niemką, nordycką aryjką. Wolno mu było dzielić z nią łóżko, ale nie lekturę. Udało mu się jednak ocalić część swego księgozbioru. Nakleił na grzbietach książek kartki z pełnymi imionami klasyków niemieckich. O Heinem gestapowcy wiedzieli, że jest żydem, Lessing ocalał bez zabiegów, imię Ephraim brzmiało dostatecznie po żydowsku, to samo z Mosesem Mendelsohnem. Ale już pod monografią Gundolfa o Szekspirze musiał

dopisać „Israel Rudolf Gundolf"; dzięki doczepionemu imieniu Israel ocalał piękny portret pędzla Maxa Liebermanna. Aryjska żona dostarczała mu książek z czytelni i wypożyczalni. Rzecz zrozumiała, jedynie literaturę hitlerowską. Profesor ją pochłaniał, kontynuując studia. Nie było to zupełnie bezpieczne: podczas jednej z rewizji znaleziono u niego Rosenberga „Mit XX wieku" i rozbito mu tę książkę na głowie. „Jak Żyd ośmiela się czytać takie dzieło!" oburzał się SS-Mann. „Tak, jakby Judasz czytał Ewangelię!" Z tej lektury profesor Heinrich Q. gromadził notatki, uzupełniając je rozmowami w fabryce, słuchając radia, czytając ukradkiem gazety. Pracował w wytwórni torebek jako klejarz, przysłuchiwał się pogawędkom „aryjczyków", robotników i majstrów, śledząc u nich stopień zadżumienia gwarą hitlerowską. Z kostycznym humorem dostrzegał to samo u swych przyjaciół Żydów. Czy możesz sobie wyobrazić, że dla niego klęska pod Stalingradem stała się rzeczywistością dopiero wtedy, gdy odbiła się w pieśni SS? Przed Stalingradem osławiony szlagier trupich czaszek głosił, że:

dziś do nas należą Niemcy,
a jutro cały świat!

Po Stalingradzie profesor przechodząc ulicami Drezna (Żydom nie wolno było jeździć tramwajami) usłyszał, jak maszerująca kompania SS śpiewa:

I dzisiaj nas słyszą Niemcy,
a jutro cały świat!

„Wojna chyli się ku końcowi", powiedział, wróciwszy do domu. „Ciekawym, czy przeżyjemy?"

„Nasze rodziny bardzo się przyjaźniły, ale rozumiesz, za hitleryzmu mój ojciec nie bardzo chętnie wspominał Heinricha Q. Chociaż niejeden kufel piwa wypili razem w uniwersyteckiej restauracji. Ostatni raz podczas wojny widziałem profesora, gdy szedł do fabryki. Był zgarbiony, miał gwiazdę naszytą na marynarce. Jako męża aryjki, nie wywieziono go ani do Teresinstadtu, ani do Auschwitz. Mieszkał z grupką „mieszańców" w specjalnym domu, pół więzieniu, pół obozie. Chciałem podejść do niego na ulicy, gdy nagle zza zakrętu wyjechało auto, pełne Hitlerjugend. Jeden z nich wychylił się i krzyknął coś w stronę profesora. Ten skulił się i zakrył twarz rękoma. Stanął pod murem

i dopiero, gdy auto znikło między domami, powoli poszedł dalej. Widzisz, w aucie siedział mój przyjaciel, Heinz Lohner."

„To także cała historia! Znaliśmy się od dziecka, razem bawiliśmy się w Indian w ogrodzie profesora, potem byłem z nim razem w jednej kompanii na froncie wschodnim. Tyle tylko, że ja byłem szeregowcem, on zaś — porucznikiem. Ja w lipcu 41 r. przeszedłem linię frontu i służyłem potem w Armii Czerwonej, on zapewne był posłuszny do końca. Prawdziwy junkier z tradycjami. Syn pastora, który był synem oficera, który był synem pastora — i tak przez parę pokoleń. Mówiło się w naszej rodzinie, że jego matka była postępowa. Miała wielki sklep kolonialny w śródmieściu, ale sympatyzowała z socjaldemokratami. Czytała wolnomyślne książki, syna zaś wychowywała na patriotę jak ojciec — pastor i jak dziadek — oficer. Skończyliśmy z nim gimnazjum w 1939 i jesienią ja poszedłem do służby budowlanej, a jego matka posłała na ochotnika do wojska. Heinz był wściekły, kiedy mi opowiadał o tym wszystkim. Wyobraź sobie, że przedtem poszła się poradzić starego profesora. Był wieczór, kiedy zameldowawszy się portierowi, weszła na ciemne schody i zadzwoniła. Otworzył jej sam profesor, gdyż żona już spała. „Profesorze", powiedziała tamta, „mój syn idzie do wojska. Jestem dłużna pamięci jego ojca. On nie ma powołania duchownego. On — jest nowego ducha."

„Wiem", odpowiedział profesor, „i życzę mu, żeby w tym duchu nie zwyciężył. A pani wie, co będzie, jeśli nie zwycięży?" Odwrócił się do starej kobiety i popatrzył na nią ironicznymi, mądrymi oczyma. „Polegnie. I to mówię ja, przyjaciel waszego domu." „Jak pan śmie — żydzie!" krzyknęła pani Lohner i z płaczem wybiegła z mieszkania profesora. Profesor zamknął za nią drzwi, podszedł do okna, za którym jaśniały światła pięknego Drezna, bieliły się ściany pałaców, czarne drzewa, oświetlone żółtymi lampami, wznosiły się ku niebu. Tramwaje sunęły cicho po jezdni i krzyżowały się reflektory aut. W parku miejskim kręciły się diabelskie młyny i karuzele, migocąc kolorowymi lampkami. Przez otwarte okno dochodził przyciszony odgłos muzyki. „Czego właściwie ona chciała?" spytała go żona. „Ubezpieczyć się. Każdy Niemiec ma swego żyda. Jak Hitler kaputt, a ja przeżyję, to mam świadczyć na jej korzyść. że oddała Heinza pod przymusem na ochotnika." Roześmiał się i wychylił przez okno. Piękne miasto! — pomyślał. — Stare, mądre kamienie! Przeżyją one nas wszystkich i nie będą potrzebowały naszych świadectw!

Jak wiesz, nie przeżyły. 13 lutego 1945 roku Drezno zniszczyły samo-

loty amerykańskie. Był to nalot, że tak powiem, polityczny. Armia Radziecka stała kilkadziesiąt kilometrów od przedmieść. Chciała wziąć miasto niezniszczone, skorzystać z mostów i dróg. Faszyści wiedzieli, że go nie obronią, gdyż w mieście kwaterował milion uchodźców z całych Niemiec. Ale pozostawała trzecia możliwość i tę wykorzystali Amerykanie. Godzina bombardowania uczyniła z miasta pogorzelisko, a z uchodźców stos dymiącego mięsa. Kto siedział w schronie, ten piekł się żywcem. Kto uciekał na brzeg rzeki lub do parków miejskich, tego siekły samoloty, jeżdżąc po czubach drzew. Po nalocie kolumny SS oblewały stosy trupów benzyną i paliły, wysadzały w powietrze fabryki i mosty. Wrogowie się pogodzili: obaj wiedzieli, że obrady w Jałcie przyznały Drezno radzieckiej strefie okupacji."

„Co jednym przyniosło śmierć, drugim dało wolność. W przeddzień nalotu Gestapo zawiadomiło profesora Heinricha Q., że ma się wieczorem następnego dnia stawić u nich z rzeczami. Razem ze wszystkimi Żydami, żyjącymi jeszcze w Dreźnie. Ale wieczorem następnego dnia nie było już Żydów ani Gestapo, ani Drezna. Po bombardowaniu profesor uciekł wraz z żoną z miasta i udając rodowitego Niemca, przechował się do końca wojny w małym miasteczku u aptekarza, śpiąc w saloniku akurat pod portretem Hitlera. Nie wiedział, co się dzieje na świecie, czy sprzymierzeni idą naprzód, jak zapewniali optymiści, czy też wojna jeszcze będzie trwała lata, jak prorokowali pesymiści, wierząc w cudowne bronie Goebbelsa. Pewnego dnia wyszedł ukradkiem na podwórze. Przed budką ustępową leżał podarty dyplom aptekarza, świadczący czerwonymi literami gotyckimi, że właściciel apteki przysięgał w Norymberdze na wierność Wodzowi. Wtedy profesor Heinrich Q. zrozumiał, że wojna naprawdę się kończy. Istotnie, nazajutrz weszli do miasteczka Amerykanie, aptekarz mianował się burmistrzem i życie szybko się unormowało.

Profesor Heinrich Q. wrócił do Drezna i na odbudowanym uniwersytecie objął katedrę filologii germańskiej. Ale stary liberał nie ograniczył się do działalności naukowej. Zgięty reumatyzmem, połamany kijami przez gestapo, z astmą i sercem — jeździ niezmordowanie po wsiach i miasteczkach Saksonii. Był aktywistą w SED, Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, działał w Związku Kultury. Jest tym działaczem kultury, który ją upolitycznia. Namawiali go, by wszedł do władz centralnych, odmówił. „Muszę jeździć po ludziach, wychowywać", mówił. I mogę powiedzieć, że nie mielibyśmy takiej młodzieży, tak bojowej, tak rewolucyjnej, gdyby nie ludzie pokroju profesora Heinricha Q.

Pozdrów go ode mnie. Tyle się czasu wybierałem do niego. Ale czy człowiek ma kiedy ruszyć się zza biurka?“

Jeszcze tego samego dnia wyjechałem z Berlina. Cieszyłem się szczerze z przyszłej rozmowy z profesorem. Ale nie spodziewałem się, jadąc do spokojnego miasteczka Herzenburg, że będę świadkiem spotkania profesora Heinricha Q. z oficerem Heinzem Lohnerem.

III

Herzenburg, małe miasteczko saksońskie, zachowane żywcem z epoki renesansu, powitało nas flagami, sypkimi liśćmi, szeleszczącymi pod nogami, jesiennym, łagodnym słońcem i kolorowymi domkami, rozłożonymi na zboczach wzgórz u podnóża feudalnego, na poły zrujnowanego zamku. Krętą, wykładaną płaskimi kamieniami uliczką dotarliśmy do bramy zamkowej i weszliśmy w podziemia, gdzie leżeli pierwsi cesarze niemieccy. Przewodnik mówił o nich z zawodowym szacunkiem, tłumił uroczo głos i przezornie nie wspominał, że kości ich wygrzebano przypadkiem za hitleryzmu i pochowano po raz drugi z wielką pompą, jako że wojowali na wschodzie, przeciw Słowianom. Od marmurów grobowca ciągnęło chłodem, wąziutkie okna nie przepuszczały słońca. Wyszliśmy z krypty szybko i przeciągnęliśmy się u progu. Zato z podwórca zamkowego, gdzie sprytny restaurator rozstawił stoliki i częstował gości koniakiem i kanapkami bez kartek (ugadawszy go, można było dostać nawet szynkę na lewo! i tu wkradł się czarny rynek, do zamku feudałów!) — za to z podwórca roztaczał się piękny, niezapomniany widok. U stóp zamku falowało na wzgórzach morze stromych dachów, nad którymi unosiły się delikatne pasma niebieskiego dymu i łączyły się z ciężkimi, łagodnymi chmurami, pełznącymi leniwie po niebie. W maleńkich okienkach domostw świeciły się w południowym słońcu białe firaneczki, po drewnianych ścianach piął się bluszcz. Słowem, miasteczko jak ze starej pocztówki: „historyczne“, kolorowe, przyjemne, gdyby nie to, że za domami wznosiły się kupy gnoju, a pod zamkiem płynęła śmierdząca, płytka, zapuszczona rzeczułka. Niżej, wśród domów i krętych uliczek rosły kępy soczystych drzew, złoto-zielonych, nieruchomych, poważnych. W głębi miasteczka koło rynku błyszczącego białymi kamieniami, wznosiły się gotyckie wieże katedry, a na stokach pagórków, okalających miasto, dymiły kominy rozrzuconych małych fabryczek i stały samotnie kopulaste jabłonie przy szosie. Obejrzawszy pa-

noramę miasteczka, wypiłem dwa koniaki, zagryzając je szynką, zapłaciłem słony rachunek i zwiedziwszy w komnatach zamku wystawę Goethego (każde miasteczko urządzało tej jesieni wystawę pamiątek po Goethem), zaszedłem do katedry świętego Bazylego przy rynku. Kościół był goły i zimny, wytarte ławy stały puste, przez otwarte drzwi dobiegał świecki szum wiatru. Cóż tu oglądać, gdy nie ma ludzi! Baedeckery mówią, że należy deptać wokół zabytków i wycierać schody muzeów i katedr. Wolę żywych ludzi; nic ich nie zastąpi, nawet muzea i kościoły. Trafić na konflikt, na żywą żyłę ludzką, wyczuć pulsującą w niej krew, to tak! Wtedy nawet pusty kościół ożywa.

W katedrze świętego Bazylego pod czarnymi tablicami z marmuru leżały wieńce świeżych kwiatów i paliły się małe, pogrzebowe świeczki. Kamieniarz wykuł na tablicach nazwiska parafian świętego Bazylego, którzy padli w pierwszej wojnie światowej. Każda bogatsza rodzina miała swoją tablicę, jedna większa od drugiej. Z samej tylko rodziny Grasshof, widać bardzo dzietnej, padli podówczas: jeden kapitan, dwu poruczników, kupiec, inżynier, dwu dziedziców, jeden profesor i jeden leśniczy. Tablic z drugiej wojny światowej nie zdążono jeszcze wyrżnąć z marmuru. Były z drzewa, stały oparte o ścianę przy bocznym ołtarzu. Miały być pamiątką po zmarłych, a stały się lekcją historii. Bo wystarczyło przyjrzeć się tablicom i policzyć nazwiska na palcach, a prawda historii zaczynała mówić niewołana. W Polsce, głosiły tablice, padło czterech parafian świętego Bazylego, we Francji zostało ich tylko dwóch, na polach Związku Radzieckiego pochowano ich ponad stu. Długim, smutnym, złoconym szeregiem ciągnęły się nazwiska, imiona, szarże, daty śmierci, którym towarzyszył krótki i wymowny nekrolog: „Im Osten“, na froncie wschodnim.

Napisy te nie sczerniały jeszcze, a wieńce, które leżały pod tablicami, były zupełnie świeże i lśniły kropelkami wody, którą odświeżyła je troskliwa dłoń.

IV

Zapadał zmierzch, kiedy zwiedziwszy miasteczko i — jak to się określa — pogadawszy z ludźmi, poszliśmy do szkoły muzycznej, w której miano rozdać nagrody wyróżnionym w konkursie chopinowskim uczniom i wysłuchać koncertu laureata. Był nim siedemnastoletni chłopiec, przesiedleniec ze Śląska Opolskiego. Dyrektor konserwatorium twier-

dził, że chłopiec instynktownie rozumie muzykę Chopina. „Krew, proszę pana, krew! — mówił z uniesieniem. — Niech oni co chcą piszą, ale jednak pokrewieństwo rasowe decyduje. Szczególnie w sztuce!“ I na moje pytające spojrzenie dodał z triumfem: „Jego matka była Polką“. „Ale ojciec Chopina był Francuzem!“ „Nie twierdzę, że Francuzi nie rozumieją Chopina“, odparł urażony dyrektor. Po czym mówiliśmy o warunkach życia artysty po wojnie, o staraniach zarządu prowincji, aby zaopatrzyć profesorów i uczniów w żywność i stypendia, o braku instrumentów i nut. Dyrektor nie szczędził słów uznania dla rządu i dla Kulturbundu, wspomniał również o profesorze Heinrichu Q. „Obawiamy się trochę jego wystąpienia. Ludziom trzeba perswadować ostrożnie, humanistycznie. On zaś nie ma taktu. Nie jest kulturalny. Na pewno się nie zna na muzyce; człowiek, który kocha Bacha, nie będzie wygłaszał mów politycznych.“

Ogród szkolny, w którym wiedliśmy tę rozmowę, zrazu pełen zaproszonych gości, z wolna pustoszał. Przeszliśmy wraz z nimi przez westybul do auli. W ogromnej sali, typowo niemieckiej auli szkolnej, której sufit i ściany nieznany szerzej i zapoznany malarz ozdobił mitologicznymi i ojczystymi krajobrazami, gromadziła się powoli publiczność. Pożegnawszy dyrektora, przecisnąłem się do dalszych rzędów, usiadłem koło starszej pani z robótką na kolanach, powiedziałem uprzejmie „Przepraszam“ i zacząłem rozglądać się po twarzach. Aulę zapełniali przeważnie mieszczanie, miłośnicy czystej muzyki. Ona jedna nie zmieniła się od czasów Wilhelma II; słuchając jej, wracali do krainy młodości. Znaczną część sali zapełniali byli jeńcy wojenni, którzy zatrzymali się w przejeździe w Herzenburgu. Rozjeżdżali się do swych rodzin w okolicy, lub przeprawiali się na zachód szukać zamiast pracy szczęścia w legii cudzoziemskiej albo w niemieckiej policji przemysłowej. Nieufnie błyskały młode oczy, nie wiadomo swój czy wróg, skoro odziany w resztki munduru, w przefarbowane bluzy, w cerowane spodnie żołnierskie, w białe ochronne bluzy zimowe. Pobity zbrojnie militaryzm niemiecki nie chciał się dodrzeć: sukno i skórę dał dobrą. Sam nosiłem przez trzy lata z okładem buty pancerniaków, nabite gęsto gwoździami. Nie trzeba było zelować, aż wyrzuciłem.

Tymczasem przed estradą ustawiono mały stół, za którym zasiadł dyrektor konserwatorium, członkowie jury i delegaci rady miejskiej. W pierwszym rzędzie zajęło miejsca czworo nagrodzonych muzyków: smagły chłopiec o kruczych, lśniących włosach, które nerwowo odrzucał w tył i trzy ciche dziewczynki. Chłopiec dostał od dyrektora dy-

plom i obietnicę stypendium na studia w Berlinie; trzy wyróżnione dziewczynki otrzymały czeki pieniężne. Dyrektor wzruszony uścisnął swych wychowanków i wygłosił króciutkie przemówienie o pięknie muzyki niemieckiej. Aula klaskała; potem, gdy słynne trio Trescha z Halle odegrało opus 8 g-moll Chopina, ucichła, zasłuchana ze znawstwem. Wtem na salę wsunął się bocznymi drzwiami zgięty, mały człowieczek, który kulejąc, przepchał się pod ścianą do pierwszego rzędu, wywołując niecierpliwe sykania i usiadł na skrzypiącym krześle. Dyrektor zmarszczył brwi. Pomyślałem: „Oho! Profesor Heinrich Q.!".

„Co to za polityk?" zapytała kobieta koło mnie. Przez cały koncert słuchała nabożnie, nie odrywała oczu od tria, śledziła każde poruszenie smyczka skrzypiec, łowiła każdy motyw, ale palce jej poruszały się i druty migały niezmordowanie w powietrzu. Robiła sweter na drutach i nic nie mogło jej od tego powstrzymać.

„Przysłali, żeby agitował", odrzekł jej sąsiad. Widać, że znał się na muzyce; uśmiechał się błogo, jakby był niemowlęciem. „I mówi się, że Hitler był zły: był za dobry, skoro tacy jeszcze żyją."

Kiedy umilkły oklaski, profesor Heinrich Q. podniósł się z krzesła i kulejąc wszedł na estradę. Zatrzymał się przed mównicą, otarł chusteczką czoło, czekając, aż się uciszy gwar i spoglądał zmęczonymi oczyma na salę. Ucichło; aula patrzyła na starą, zoraną twarz profesora, w której oczy błyszczały jak ogniki.

„Słuchałem razem z wami muzyki", powiedział profesor. „Jestem wielkim wielbicielem muzyki. W mojej bibliotece stały piękne wydania Beethovena, Mozarta, Wagnera. Nie potrafiłem ich ocalić; zniszczyli mi je gestapowcy. Feliksowi Bartholdy dodałem imię „Israel", to samo imię dałem Giacomo Meyerbeerowi. Mnie, żydowi, wolno było słuchać tylko muzyki żydowskiej; myślałem, że przechowam kilku klasyków niemieckich. Ale dzieła ich spaliły się, gdy bombardowano Drezno. Nie żałuję tamtych nut; żałuję domu, w którym mieszkałem, miasta, w którym się urodziłem, kraju, który jest i moją ojczyzną. I dlatego, gdy słucham muzyki, zawsze myślę o polityce. Ale dziś, patrząc na was młodzi przyjaciele, którzy odbieracie nagrody za muzykę chopinowską, pomyślałem, jak szczęśliwi jesteście, tworząc tylko muzykę. Zapomniałem o wszystkim: o mojej starości, o moich połamanych kościach, o strasznych latach faszyzmu, o przyjaciołach, których nawet nie chowałem w ziemi: wyjeżdżali na transport, do komór gazowych. Lecz nie wolno nam zapominać! Wybaczcie mi, młodzi przyjaciele, że wam psuję uroczystość. Do was się przede wszystkim zwracam! Nie sama muzyka

rządzi światem! Światem rządzi polityka. Grając Chopina, będziecie musieli walczyć o niego. Jak naród, który go wydał."

„Po co on to wszystko gada?" zapytała kobieta ze swetrem.

Siedzący przed nami młody człowiek w kubraku odwrócił się i powiedział:

„On chce panią nauczyć polityki."

„Polityka! A nasi jeńcy wciąż orzą w Polsce zamiast koni!" powiedział z gniewem starszy pan, który przedtem słuchał muzyki z zamkniętymi oczyma.

„Rzeczywiście?" spytał obojętnie młody człowiek w kubraku. Z tylnych rzędów rozległ się chichot, zaskrzypiały i zaszurały krzesła, podniósł się śmiech i gwar. Zaczynało być duszno jak na dworcu.

„Czytałem w prasie" odrzekł sucho starszy pan. „A pan może nie wierzy? Za mało pan jeszcze widział."

„Rzeczywiście?" powtórzył obojętnie młody człowiek w szarym kubraku. Był krótko ostrzyżony, miał energiczną, zaciętą, wychudzoną twarz.

„Ja przed nimi uciekałem od samego Rostowa. Ach, jaki to bogaty kraj! I dla kogo? Dla tych bandytów, którzy mordowali nam żony i dzieci, strzelali do nas na każdym zakręcie? Mógłbym ci, młody człowieku, dużo opowiedzieć."

„Sam widziałem", odrzekł obojętnie młody człowiek w kubraku.

„A przepraszam. Nie wiedziałem, że pan jest jeńcem wojennym", rzekł z uszanowaniem starszy pan.

„Nic nie szkodzi", powiedział młody człowiek i przerwał rozmowę.

Profesor Heinrich Q. patrzył w milczeniu na salę. Otarł znowu chusteczką czoło i zaczął mówić z wysiłkiem. Widać było, że się bardzo męczył.

„Pamiętajcie, że muzyka jest polityką. Tak samo jak literatura, jak nauka i sztuka. Jak sadzenie drzew i rodzenie dzieci. Nie uchronisz drzewa, nie uchronisz dziecka przed zniszczeniem i śmiercią, jeśli nie zajmiesz się polityką, nie będziesz walczył przeciw wojnie. Drzewo zrąbią na opał, dziecko zginie w okopie, spali się w kołysce. I muzyka nie uchroni siebie od zniszczenia, choć nam wydaje się wieczna. Fosfór ją spali, but gestapowca rozdepce, komora gazowa otruje artystę, kolba rozbije instrument. Dlatego wiedzcie, że grając Chopina, czy chcecie czy nie — bronicie pokoju. Pragnąłbym, abyście bronili go świadomie. Abyście, słuchając muzyki Szostakowicza i Arnolda Schönberga, bronili pokoju na świecie przed zbrodniarzami wojennymi. Przed imperia-

listami, którzy chcieliby z nas uczynić mięso armatnie, a z kultury pornografię i jazz."

Gruby bas z auli zanucił nagle melodię samby, nadawaną co dzień przez amerykańskie radio. Samba był to taniec, w którym partnerzy kiwali się to naprzód to w tył, jak sjamska wańka-wstańka.

„Niech nam lepiej powiedzą, co zrobili z naszymi jeńcami", rzekła kobieta ze swetrem.

„Jest tu kilku na sali, mogliby przemówić", powiedział starszy pan i utkwił nieprzyjazne spojrzenie w młodym człowieku.

„Powinieneś powiedzieć trochę od nas, wiesz, jak to potrafisz", rzekł do mężczyzny w kubraku, siedzący obok chłopiec w długim, danym mu na wyrost płaszczu. Był szczupły i mały; na punkcie przejściowym widocznie nie umiano dobrać dla niego ubrania cywilnego.

„Rzeczywiście?" spytał obojętnie młody człowiek w szarym kubraku. Patrzył zmrużonymi oczyma na profesora Q. i uśmiechał się lekko. Uśmiech ten trącił dobrotliwą ironią i pobłażaniem.

„Oddaj, żydzie, naszych jeńców wojennych!" krzyknął na sali jakiś histeryczny głos. — „A wtedy pogadamy!"

Profesor zatrzymał się wpół zdania.

„Jeżeli zechcesz przemówić, możesz to uczynić po mnie", powiedział niespodziewanie twardo. „Nie pozwolę sobie przerywać. I powiem to wszystko, co miałem wam powiedzieć!"

„To naprawdę stary żyd!" powiedziała półgłosem kobieta ze swetrem. „Nauczyłam się ich rozpoznawać podczas wojny w Sudetach. Wszyscy mają taki swój chód. Tego się w Niemczech nie widziało. Ostjude."

„Spokój! To nie wiec faszystowski!" zaczęli krzyczeć chłopcy z kąta sali. Było tam kilku uczniów z konserwatorium i szkoły ogrodniczej, należeli do FDJ, wolnej młodzieży niemieckiej. Laureaci z pierwszego rzędu przerażeni rozglądali się po sali. Na chwilę aula ucichła i profesor mówił dalej:

„Tylko walcząc z imperialistami, tylko przeciwstawiając się byłym hitlerowcom, którzy znowu sięgają po władzę w Zachodnich Niemczech, tylko żądając zjednoczenia ojczyzny, ukarania zbrodniarzy wojennych, zlikwidowania karteli i monopolów — tylko wtedy zdepczemy do reszty faszyzm, spętamy imperializm, zapewnimy trwały pokój. I wtedy — muzyka w Herzenburgu będzie brzmiała zupełnie inaczej niż dzisiaj: piękniej, swobodniej, po ludzku!"

„Niechże pan odpowie temu staremu żydowi“, powiedziała niecierpliwie kobieta ze swetrem. „że mu nie rozkwaszono tego tłustego brzucha!“

Młody jeniec żachnął się, jakby go ugryzła znienacka.

„Rzeczywiście, trzeba odpowiedzieć“, powiedział obojętnie i przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Ktoś poklepał go po ramieniu, inny wsunął mu w dłoń paczkę papierosów. Jeniec położył ją na pustym krzesełku obok siebie i nie powiedział nic. Sala zaś bawiła się znakomicie. Widzowie z bliższych rzędów siedzieli z poważnymi minami i patrzyli nieruchomym wzrokiem na profesora. Ręce położyli na kolanach, które podnosiły się rytmicznie. Tupotali; z podłogi wzbił się kurz i powoli podnosił się pod sufit, przesłaniając blask kandelabrów.

Profesor Heinrich Q. powiedzał z mocą:

„Myślicie, że was nie wychowamy? Mylicie się: wychowamy was.“ I zszedł powoli z trybuny.

Dyrektor konserwatorium blady jak ściana, trzymając w drżących dłoniach program uroczystości podniósł się i zaczął przemawiać do sali. Ale słaby jego głos zginął w gwarze i tupocie. Za jego plecami, nad estradą, lampy rzucały żółtawy blask na zielone lasy i wzgórza, wśród których przepływał kręty potok. Pod freskiem, na szerokiej, drewnianej ramie złocił się woskowymi literami gotycki napis:

Potoku, któryś nam czyny przyszłe pozwalał przeczuć,
O, słodki dzieciństwa śnie, wróć do nas jeszcze raz!

O, słodki dzieciństwa śnie! Nagle na sali ucichło. Były jeniec wojenny w szarym kubraku podniósł się w milczeniu i zaczął przeciskać się do estrady. Ustępowano mu skwapliwie miejsca. Stanął przed mównicą, rozpiął nie spiesząc się kubrak i powiedział do profesora, który stał zgięty pod ścianą:

„Profesorze, pan przeżył wojnę jako więzień. Mieszkał pan w Dreźnie w domu żydowskim. Pracował pan w fabryce, nosił pan żółtą łatę, ludzie strzegli się pana jak zarazy. Co więc pan wie o wojnie?“ Przerwał, powiódł wzrokiem po sali i ciągnął z ironicznym błyskiem w oczach:

„Ja chyba lepiej wiem, co to jest wojna. Ja i moi koledzy, którzy wrócili tylko co z niewoli. Robiliśmy wojnę na froncie wschodnim. Ja wiem, co to jest bombardowanie. Nie nasze, ale ich, kiedy ziemia chodziła nad schronem. Faszyzm? Zagazowałby pana, gdyby nie żona aryjka i nie przypadek. A myśmy robili faszyzm — na froncie. Wiemy le-

piej, jak wygląda. No, i my wszyscy jesteśmy niewinni, bardzo cierpieliśmy, bardzo, po bohatersku!"

Sala milczała. Jeniec w kubraku mówił dalej:

„Ale co pan wie o komunizmie? Czy przeżył go pan na własnej skórze? Ja go przeżyłem, ja i moi towarzysze. Poznaliśmy społeczeństwo komunistyczne. My, profesorze Heinrich Q. — wracamy z niewoli.

Cztery lata byłem w niewoli radzieckiej! Myśli pan, że to była lekka niewola? Wyście tu narzekali, że nie macie dwu jajek na śniadanie i swojej gazety, biadoliliście, że musicie chodzić do cegły. A tam ludzie nieraz suchy chleb jedli. A cegły... Myślicie, że cegła rosyjska jest lżejsza od niemieckiej? że mniej rani palce? Rani tak samo, wszystkich jednakowo. Pracowaliśmy dużo. Poszliśmy do odbudowy miast rosyjskich, które zniszczyliśmy podczas wojny. Mówili nam: ponieważ spaliliście nasze domy, to teraz się weźcie za uprzątanie gruzu. Zobaczcie sami, jak to ciężko. Czy kto z was, tu na sali, budował kiedy dom? Nosił wapno? Niech wie, że to ciężej niż tupać na koncercie. Zwłaszcza dla oficera zawodowego. Wielu moich kolegów chorowało, wielu nie chciało pracować."

„Wiemy, wiemy, gazety zachodnie pisały o tym", zaczęto wołać z sali. „Dosyć tego! Przerwać koncert! To prowokacja!" krzyczeli chłopcy z FDJ.

Jeniec w kubraku pochylił się na trybunie, oparł łokcie o pulpit i zacisnął pięści:

„Ja też chcę opowiedzieć, co czuję, słuchając muzyki. Siedziałem na koncercie koło kobiety, która żałowała, że profesora Heinricha Q. nie rozdeptano. Profesorze, pamięta pan nasze ostatnie spotkanie?"

„Heinz, nie warto o tym mówić", rzekł cicho profesor.

„Myśli pan? A gdyby ta kobieta była moją matką? Pamięta pan? Byłem wtedy w Hitlerjungend, matka postanowiła oddać mnie na ochotnika do wojska. Po służbie miałem iść do Ordensburga, na mniejszego wodza prowincjonalnego, ale wybuchła wojna na wschodzie. Ja tego dnia nie zapomnę; długo o nim myślałem w niewoli. Była jesień, jechaliśmy wtedy łazikiem przez Drezno. Pan, profesorze, podlazł prawie pod koła na zakręcie. Poznałem pana po chodzie. Zawsze poznawałem pana na ulicy już z daleka. Zahamowałem auto i krzyknąłem do pana: „Stara świnio żydowska, jeszcze żyjesz? Powinienem rozgnieść ci twój tłusty brzuch!" I pojechałem dalej. Aż na front wschodni. A potem aż za Ural."

Powiódł wzrokiem po milczącej i zasłuchanej sali.

„Prawda, ciekawi jesteśmy, co było dalej? Dalej było niewiele: latem 1944 roku wojowałem na froncie rumuńskim. Odstępowaliśmy od Dniepru, ledwo unikając okrążenia. Pod Korsuniem dostaliśmy wielkie baty, przerwaliśmy się z worka raz, potem wędrowaliśmy w innym worku jak kot, który łapiąc swój ogon, tańczy po całym pokoju. Zostawialiśmy kraj spalony i spustoszony. Wysadzaliśmy każdy most, paliliśmy każdy dom, niszczyliśmy wszystko, co nam wpadło pod rękę. Raz moja kompania miała wysadzić w pewnym lesie obóz koncentracyjny. Powiedziano nam, że siedzieli tam żydzi. Ale w nim nikt długo nie siedział. Na polanie stało kilka baraków, ogrodzonych drutem kolczastym. Za drutami wznosił się wysoki, murowany budynek z wielkim kominem. Do obozu wiodła zamaskowana bocznica kolejowa, na torach stały spalone wagony towarowe. Po raz pierwszy w życiu byłem w krematorium, w którym paliliśmy żywych ludzi, i we własne ręce brałem popiół ludzki. Nie zdążyliśmy wysadzić tego przeklętego miejsca w powietrze, gdyż uderzyli na nas partyzanci. Uciekliśmy z lasu, porzucając dynamit i broń maszynową. Czego mogliśmy się spodziewać, wpadłszy w ręce wroga tuż koło krematorium? Może odpowie mi ten, kto mi dał paczkę papierosów, żebym przemawiał?"

Nikt nie odezwał się z sali. Oficer Heinz Lohner skrzywił się pogardliwie i ciągnął dalej swoje opowiadanie:

„Wreszcie osiedliśmy za Prutem i zbudowaliśmy linię obronną. Nikt nie wierzył, że Rosjanie zdołają się przeprawić. Nastały piękne, słoneczne, ciche dni na froncie rumuńskim. Żołnierz siedział w okopach, przechodził szkolenie nacjonalistyczne i łapał wszy. Kiedy Rosjanie przerwali front, wszystko rzuciło się na łeb na szyję na zachód. Sztaby, szpitale, piechota, tabory mieszały się jak gulasz; czołgi radzieckie zagarniały je w kotły i wylewały do niewoli. Myśmy mieli szczęście. Rozbici przez czołgi, przyłączyliśmy się do konnych taborów, które bocznymi drogami uciekały dzień i noc bez wytchnienia do granicy niemieckiej. Otaczał nas wrogi naród, gotów poderżnąć gardło maruderowi, więc trzymaliśmy się kupy. Kto został, kto opadł z sił, dostał biegunki lub okulał — po tego już nie wracano. Ale i to nie pomogło. Co znaczą nogi przeciw czołgom! Pewnej księżycowej nocy, gdy tabor rozłożył się na łące pod lasem, zagarnęły nas znienacka czołgi radzieckie. My, piechociarze, próbowaliśmy stawiać opór, wiedliśmy ogień z karabinów maszynowych, rzucaliśmy granaty. No, cóż! Ani jeden wóz i ani jeden koń z taboru nie ocalał. Ludzi też niewiele. Jasne, nie?"

„Kiedyś chciałem panu rozgnieść brzuch, profesorze. Teraz omal mi tego nie zrobiły czołgi. Lecz miałem znowu szczęście. Rano ściągnąłem ciepłą bluzę z zabitego czołgisty niemieckiego, który się cofał wraz z nami i poszedłem z niedobitkami mojej kompanii do niewoli. Szliśmy na wschód rankami i wieczorami, letnie noce przesypialiśmy na surowej ziemi. Drogami przewalały się tabory radzieckie, potem drogi opustoszały i tylko daleko grzmiały pociągi, które wiozły na zachód broń, artylerię, piechotę. W otwartych drzwiach wagonów siedzieli żołnierze i śpiewali pieśni. A myśmy w milczeniu szli i szli. Najpierw na wschód i wtedy mówiono w kolumnie, że nasze czołgi przerwały się od zachodu i że nas lada chwila oswobodzą. Potem skręciliśmy na północ i myśleliśmy, że nasi gonią z południa. A potem puchły nam nogi i już tylko myśleliśmy o jedzeniu."

„Hańba!" zawołał z sali kobiecy głos. Zerwał się krótki gwar i z nagła ucichł.

„Zaraz skończę i wtedy będziecie mówić, co sami zechcecie", powiedział były jeniec. Uśmiechnął się kpiąco, gdyż na sali zerwały się nieśmiałe oklaski i mówił dalej:

„Wreszcie po długim marszu doszliśmy do znajomych jakby okolic. Wydawało mi się, że już tu byłem. Drewniane baraki, rozrzucone w rzadkim brzozowym lesie. Naokoło — druty kolczaste. Przy drutach — murowany budynek z wysokim kominem. Nasyp, po którym musiał kiedyś iść tor kolejowy. Zrozumiałem wszystko: to tamten obóz, którego nie zdążyliśmy wysadzić w powietrze. Komory gazowe, krematorium. Ale czego oczekiwałem? Że mi podziękują za wojnę? Że wypłacą gratyfikację za każdego trupa? Ścisnąłem zęby i powiedziałem do przyjaciół: „Szykujcie się dobrze umierać. Tylko się nie zbłaźnić". Najpierw dano nam obiad, gdyż człowiek syty mniej rozpacza niż głodny; potem dla oszukania nas przyprowadzili lekarzy, którzy nas zbadali. Chorych odłączono na bok; pierwszych pięćdziesięciu zdrowych wywołano do kąpieli. Poszedłem od razu, nie chcąc patrzeć na mękę innych, którzy czekali. W przedsionku kazano nam się rozebrać, złożyć starannie ubranie, które miało iść do dezynfekcji. Potem kazano nam nagim wchodzić do komory. Nie broniliśmy się, było nam wszystko jedno. Zrozumiałem wtedy, dlaczego nie bronili się żydzi, gdy ich wpychano do gazu. Nigdy tego nie zrozumiecie. Kiedy zamknięto za nami drzwi, zaczęliśmy się żegnać z życiem. Jedni obejmowali się i płakali, nie wstydząc się strachu. Inni żegnali się po męsku, całując się w nieogolone policzki. Inni milcząc zaciskali usta i tylko oczy paliły im się gorączkowo. Patrzyliśmy na

pobielone ściany bez okien, na drzwi, które się ciasno za nami zawarły, na betonową podłogę, w której chytrze i niepotrzebnie zrobiono korytka dla odprowadzenia wody i położono na nią drewnianą kratę; na lśniące, metalowe prysznice, z których za chwilę zacznie syczeć gaz. Ostatecznie, pomyślałem wtedy gorzko, mordowaliśmy inne narody, czemu więc mają nas oszczędzać? Ale one miały za co umierać: walczyły za wolność. A ty, człowieku, za co umierasz? Za faszyzm? Wtedy zapłakałem pierwszy raz w życiu. Wtem prysznice syknęły. W łaźni podniósł się nagle straszny krzyk i równie nagle umilkł. Raptem syk ustał i z pryszniców spadła na nas ciepła, roześmiana, pieniąca się woda."

„Z jaką radością chwytaliśmy ją w dłonie! Jak odzyskane życie! I wtedy zrozumiałem, jaka jest różnica między faszyzmem a komunizmem. A potem zrozumiałem więcej. Wiecie, że byłem przodownikiem w murarce? Wiecie, że radzieccy murarze uczyli mnie swoich metod? Nauczyłem się pracować i nauczyłem się rozumieć świat. A wyście co? Myśleli, że wiecznie będziecie wygodnie żyć? że za was będą pracować? że innym będą się tworzyły pęcherze na rękach? Tęsknicie do faszyzmu? Macie rację, profesorze: wychowamy ich! Będziemy jeden drugiemu przekazywać doświadczenia socjalizmu."

Umilkł i długo patrzył na salę. Nagle murarz Heinz Lohner uśmiechnął się i mrużąc oczy dodał:

„Widzę, że ofiarowane mi papierosy zniknęły z krzesełka. Zapomniałem powiedzieć mojemu sąsiadowi: nie jestem palaczem."

Na sali gruchnął śmiech i zerwały się oklaski. Oficer Heinz Lohner zeskoczył z estrady i podszedł do profesora. Ujął go mocno za bary i ucałował.

„Chodźmy, profesorze", powiedział, „mamy dużo roboty."

„Zostańmy", rzekł profesor. „Posłuchamy muzyki. Pięknej, ludzkiej muzyki w Herzenburgu."

Dyrektor konserwatorium podniósł się zza stolika i przyzwał laureata. Chciał przemówić, chwilę się zastanawiał, kręcąc guzik tużurka. Wreszcie machnął dłonią.

„Teraz, powiedział jąkając się, odegrana zostanie sonata h-moll op. 58 Fryderyka Chopina, napisana w roku 1845 i dedykowana hrabinie de Perthuis. Idź, chłopcze, do fortepianu."

Chłopięcy laureat wszedł na estradę, ukłonił się słuchaczom, a kiedy przebrzmiały oklaski, usiadł przy fortepianie, odrzucił w tył długie, lśniące włosy i położył dłonie na klawiszach.

V

Tej nocy długo rozmawiali ze sobą stary filolog profesor Heinrich Q. i były oficer armii hitlerowskiej, Heinz Lohner, przodownik murarski.

Rankiem powróciłem do Berlina, przywożąc z Herzenburga na pamiątkę kolorowe pocztówki z widokiem zamku i katedry oraz barwną panoramę miasteczka.

Oczywiście, nowe Niemcy nie zaczynają się i nie kończą na Herzenburgu. W wielkich fabrykach, w dziesiątkach tysięcy szkół, na stacjach traktorowych, na rozparcelowanych majątkach junkrów odżywają rewolucyjne tradycje proletariatu niemieckiego, wychowuje się nowy naród, buduje się niemiecka demokracja ludowa. Wiele w Niemczech widziałem, przerzuciłem stosy drukowanego papieru, niejedną noc przegadałem z ludźmi. Pamiętam obłupaną pociskami Bramę Brandenburską, dzielącą Berlin na dwa światy: socjalistyczny i burżuazyjny, na wpół wykończone hale stalowni w Gröditz, odbudowanej przez robotników, murowane domki przesiedleńców, wzniesione przez państwo; pamiętam miasta, ludzi i zdarzenia. Polubiłem głęboko naszego przyjaciela zza Odry i Nysy. I zawsze, kiedy o nim myślę, widzę przed sobą płomienne oczy profesora Heinricha Q., twardą, zaciętą, wychudzoną twarz murarza Heinza Lohnera i słyszę pierwsze takty sonaty h-moll.

STANISŁAW WYGODZKI

ABY ŻYĆ

Od kilku tygodni ganiam z zebrania na zebranie; jest właśnie najgorętszy okres wyborczy i ledwo skończę z jednym zakładem pracy, już mi dzielnica wyznacza następny. Uczestniczyłem do tej pory w kilkunastu zebraniach wyborczych, ale do najciekawszych należy to, w którym brałem udział wczoraj. Jest to duża fabryka metalowa. Partia ma tam sześć organizacji oddziałowych, z których każda liczy od 60 do 100 członków. Mam kolejno obsłużyć wszystkie koła. Robota na cały tydzień. Po tygodniu pójdę do innego zakładu pracy.

Mogę o sobie powiedzieć, że mam dość poważne doświadczenie w robocie partyjnej. Wydaje mi się, że chwytam w lot zagadnienia, odnajduję dość szybko specyfikę terenu, a mimo to popełniłem dużo błędów, o których opowiem przy innej sposobności. W niniejszej notatce będzie mowa tylko o jednym. Dziś natknąłem się na bardzo ciekawy wypadek samokrytycznej oceny pracy jednego z pracowników fabryki, o której wspomniałem na wstępie. Nie powiedziałbym, żeby samokrytyka towarzysza, o którym piszę, wypłynęła samorzutnie. Wiedziałem o nim coś niecoś, ponieważ ustępująca egzekutywa podała mi garść szczegółów dotyczących jego osoby, a to przy sposobności omawiania kandydatur do władz, które organizacja oddziałowa miała właśnie wybierać.

Do tej pory nie należał do władz partyjnych, natomiast należał do władz koła związkowego i jego sprawa wypłynęła na tym terenie. Ujrzałem go dopiero w czasie zebrania. Po czterogodzinnej dyskusji na temat działalności ustępującej egzekutywy, dyskusji zażartej i gorącej, w toku której poznałem, jaki jest właściwy stan organizacji, zebrani rozpo-

częli wybory. Spośród dziewięciu zgłoszonych kandydatur zebrani mieli wybrać, drogą tajnego głosowania, siedmiu członków przyszłej egzekutywy. Z sali padły trzy dalsze nazwiska, na czarnej tablicy sekretarz organizacji wypisał kredą dwanaście nazwisk.

Towarzysz, o którym opowiem, był czwarty z kolei. Wystąpił po upływie dalszych dwóch godzin obrad, kiedy już towarzysze, widniejący na trzech poprzedzających go miejscach, złożyli wyczerpujące życiorysy i drogą milczącej aprobaty zebranych znaleźli się niejako, choć nieoficjalnie jeszcze i bez formalnego głosowania, w przyszłej egzekutywie.

Pytania stawiane trzem pierwszym towarzyszom były liczne, ale — powiedziałbym — stereotypowe (znacie je zresztą z własnego doświadczenia), a więc dotyczące pochodzenia społecznego, przynależności partyjnej w okresie przedwojennym oraz w czasie okupacji, pracy w czasie okupacji i tym podobne. Przyznam wam się, że ten typ pytań nie zadowala mnie. Nie chodzi mi o zaskoczenie jakimś pytaniem, przepraszam — nie chodzi nam o zaskoczenie, wydaje mi się jedynie, że w tym ustalonym szablonie kryje się jakieś niebezpieczeństwo. W szablonie pytań mieści się szablon inny — szablon odpowiedzi, równie groźny jak ten, który cechuje pytania, o jakich wspomniałem przed chwilą.

Poprosiłem o głos, zanim przemówił czwarty z kolei mówca, i jako przedstawiciel dzielnicy wyjaśniłem, że kandydaci do przyszłej egzekutywy powinni opowiadać nie tylko swój życiorys, ale również samokrytycznie ocenić swoją dotychczasową działalność partyjną. Przemawiając nie wiedziałem, jak zebrani przyjmą moją wypowiedź, ale moje posunięcie wydawało mi się słuszne, ponieważ — powtarzam — życiorys nie zawsze wyjaśnia wszystko, zaś pytania zebranych, przynajmniej te, które słyszałem do tej pory, bynajmniej nie prowadziły do wyświetlenia spraw. Sprawy te dla mnie, obcego, były ciemne zarówno wskutek nieznajomości ludzi, jak i terenu, ale czy były dostatecznie jasne dla członków zespołu, pozostających ze sobą w stałym, wiele lat liczącym kontakcie? Nie chcę przez to powiedzieć, że między tymi ludźmi istniało coś, co by się dało podciągnąć pod pojęcie zmowy; jestem bardzo od tego daleki. W fabryce, o której opowiadam, pracuje wielu naszych starych, wypróbowanych w bojach towarzyszy, którzy strzegą czystości życia partyjnego, bowiem partia jest dla nich wszystkim. Jednakże to, o czym za chwilę opowiem, niewątpliwie świadczy, że nasi towarzysze dali się podejść. Inny na moim miejscu powiedziałby, że zebrani dali się wykiwać, ale to nie to. Towarzysz, ten czwarty z kolei, nie wykiwał nikogo, grał jak wytrawny gracz polityczny i byłby może wygrał, to

znaczy znalazłby się najpewniej we władzach organizacji podstawowej, gdyby nie to, że po jednym odniesionym sukcesie zamierzał osiągnąć następny. Pragnął kryć innego człowieka, który miał wszelkie szanse wejścia do egzekutywy, lecz gdy pośpieszył mu z pomocą, ujawniło się jego własne oblicze.

Był wysoki, szczupły, o nieco zapadniętych policzkach, ale ubrany starannie i dość swobodny w wypowiedzi: inteligent. Co mnie uderzyło w sposób ujmujący, to fakt, że zaczął właśnie od samokrytyki, której brakowało w wypowiedziach wygłaszanych do tej pory.

Wspomniałem już, że ustępująca egzekutywa przedstawiła mi jego sprawę. Obecnie wypłynęła ona ponownie i to w relacji nie odbiegającej od tej, jaką mi zdała egzekutywa. Była zgodna, zaś samokrytyczna ocena wyczerpująca i słuszna, powiedziałbym — dojrzała. Wszystko to sprawiło, że pozyskał zaufanie nie tylko członków organizacji, lecz również i moje. Miało to swoje konsekwencje i od razu powiem jakie. Po złożeniu samokrytyki zebrani przyjęli jego oświadczenie oklaskami, ja również go oklaskiwałem, wszyscy widzieli, jak tymi oklaskami zaaprobowałem niejako jego kandydaturę, po czym towarzysz ów wrócił na swoje miejsce. Wrócił nie opowiedziawszy życiorysu. Nie tylko członkowie koła tego nie spostrzegli. Nie spostrzegłem tego również i ja, i to jest ów błąd, jaki popełniłem. Pytacie o źródło tego błędu? Otóż zebrani dali się przekonać, że ów towarzysz zrozumiał błędy swego postępowania oraz, że żałuje tego, co zrobił, ja zaś dałem się wciągnąć w ogólny aplauz, nie spostrzegłszy, że gorący ton przemawiającego i atmosfera ciepła i ufności wywołana przez niego przesłoniła bardzo ważny moment — moment opowiedzenia życiorysu.

Byliście zapewne uczestnikami takich zebrań, w czasie których samokrytyka, uderzająca w rzeczy powszechnie znane, przesłania inne, te mniej widoczne, a wszak niejednokrotnie najistotniejsze, najważniejsze. Duda — tak nazywał się ten człowiek — postąpił właśnie w ten sposób. Mówił o sprawie powszechnie znanej, o swojej sprawie, tak jakby samokrytyka dotyczyła tylko spraw danego człowieka, a nie spraw powszechnych w oświetleniu jednostki, oceniającej siebie poprzez sprawy ogólne.

Źle powiedziałem twierdząc, że Duda nie opowiedział życiorysu. Właściwie opowiedział go, ale bardzo lapidarnie, w jakimś olbrzymim skrócie, w jednym zdaniu niemal. Powiedział, że jest synem sezonowego murarza, i natychmiast przeszedł do samokrytyki.

Twierdził, że źle postąpił na terenie koła związkowego i żałuje, że tak postąpił, bo to było niesłuszne i lekkomyślne. Któregoś dnia zgłosił re-

zygnację z pracy w kole związkowym. Te zajęcia — twierdził w liście zwróconym do władz koła związkowego — zabierają mu zbyt wiele czasu, nie może więc dorabiać i dlatego ustępuje z pracy w związku. Obecnie oceniał ten krok jako niesłuszny.

— Nie doceniałem w pełni roli związku zawodowego, bo związek jest fundamentem naszej pracy dla klasy robotniczej. Dam wam przykład i powiem, że jeżeli partia jest ojcem klasy robotniczej, to związek jest matką, ale wiecie, że ojciec jest po to, aby rozkazywał i uczył, a ja zapomniałem nauki ojca, to jest partii, która mnie przecież wydelegowała do związku. Nie doceniałem tego, że przecież ja w związku reprezentowałem nie tylko kolegów i pracowników umysłowych, ale również i naszych towarzyszy partyjnych. Ja tam dysponowałem budżetem socjalnym, który się powiększa z miesiąca na miesiąc i daje pracownikom naszej fabryki konkretne, codzienne korzyści i w takiej właśnie chwili, gdy klasa robotnicza walczy o socjalizm, o pokój, o poprawę bytu i podniesienie produkcji oraz o podwyższenie stopy życiowej szerokich mas, chciałem rzucić robotę w związku. Żałuję tego, cofnąłem swoją rezygnację i potem, gdy pojąłem swój błąd, z tym większym zapałem zabrałem się do pracy. Teraz wiem, że jak partia kogoś gdzieś postawi, to musi tam wytrwać tak długo, dopóki nie wykona wyznaczonego mu zadania.

Na sali panowała cisza. Odwróciłem się od stołu obrad, Duda stał za mną zwrócony twarzą ku zebranym i przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę. Duda ciągnął dalej:

— A teraz krytyka. Ja mam dużo do powiedzenia pod adresem ustępującej egzekutywy, jednakże poruszę kilka spraw tylko. Towarzysze pamiętają nasze zebranie w lutym, które skończyło się po północy? Otóż wtedy właśnie, gdy mróz trzaskał na dworze, dlaczego towarzysze z egzekutywy nie pamiętali o transporcie potrzebnym po zebraniu, aby odwieźć ludzi do domu? Przecież wiemy, że o północy nie ma już ani tramwajów, ani trolejbusów, dlaczego więc nie zatroszczono się zawczasu, aby były nasze ciężarowe samochody, które by odwiozły ludzi do domu?

— Towarzysze z egzekutywy rozeszli się do domów i nie pamiętali o tym, że ludzie mieszkają na krańcach miasta i to uważam za błąd. Wtedy to, tej nocy, towarzyszka Witkowska, chora kobieta, która korzysta z funduszu socjalnego, szła pieszo do domu, przeziębiła się i potem trzy dni chorowała i nie przychodziła do pracy, a potem ją bijemy za to, że nie wyrobiła normy. A teraz pytam — podnosił głos — z czyjej

winy? Z winy egzekutywy, proszę towarzyszy, i obecnie zapytam o to samo — spojrzał na zegarek — jest już pierwsza po północy — czy egzekutywa pamiętała o transporcie?

Spojrzałem w stronę pierwszego sekretarza Romana, ale ten wytrzymał mój wzrok. Zwracając się do Dudy powiedział głośno, aby zebrani słyszeli:

— Transport na dziś zapewniony, samochody czekają, aż się zebranie skończy.

— To pójdę dalej: nasz związek nie ma na terenie fabryki swojego stałego lokalu, nasz związek jest sublokatorem. Towarzysze ze związku urzędują do drugiej, kątem, w jednym z pomieszczeń biurowych, ale przed drugą, przy zmianie, gdy jedni jeszcze nie wyszli z pracy, a drudzy dopiero przychodzą, nasi towarzysze ze związku nie mają nawet swojego stołu, a wtedy właśnie jest największy ruch, bo ci, co kończą pracę, chcą załatwić swoje sprawy jednocześnie z tymi, którzy mają do pracy przystąpić. I teraz znów zapytam: z czyjej winy jest ten bałagan? Z winy egzekutywy.

Nagle wstał stary Roman, który do tej pory coś skrzętnie notował i przerywając Dudzie krzyknął:

— Towarzyszu Duda, przecież tu przez cztery godziny toczyła się dyskusja na temat działalności ustępującej egzekutywy, czemuście wtedy nie zabrali głosu, aby nas skrytykować, tylko teraz, kiedy mamy wybierać nowe władze? Co, wy myślicie, że my się damy zbić z tropu? O sobie mówcie krytycznie.

Towarzysz Roman miał niewątpliwie rację. Krytyka egzekutywy powinna się była odbyć podczas składania sprawozdania z jej działalności. Wystąpienie Dudy wprowadzało element nietyle niepotrzebny, ile kierujący tok wyborów na inne tory. Niemniej uważałem, że należy mu pozwolić wypowiedzieć się do końca. Spóźnioną krytykę egzekutywy tłumaczyłem sobie tym, że Duda po prostu nie zorientował się, kiedy ma krytykować, a kiedy wypowiadać się na temat wyborów, które się już odbywały od jakichś trzech godzin. Zwróciwszy mu uwagę na niewłaściwość postępowania, wyraziłem jednak pogląd, że skoro towarzysz Duda zapomniał o krytyce w odpowiednim czasie, może to uczynić teraz, mimo że na porządku obrad mamy obecnie wybory nowej egzekutywy. Przewodniczący zgodził się na moją propozycję, i Duda ciągnął dalej:

— To teraz powiem o szkoleniu. Ono nie jest postawione należycie. Pracownicy biurowi jeszcze sobie radzą jako tako, ale o pracownikach

fizycznych to się zupełnie zapomina, toteż nic dziwnego, że jednemu i drugiemu dobremu towarzyszowi, niejednokrotnie przodownikowi pracy i racjonalizatorowi, jeżeli nie zna dobrze statutu partii, to mu się od razu stawia kropkę i tylko patrzeć, aby z członka stałego spadł do kandydatów, i teraz znów zapytam: czyja w tym wina? Egzekutywy.

Członkowie egzekutywy zebrani przy stole nie usiłowali nawet odpierać zarzutów. Milczeli.

Duda wracał na swoje miejsce odprowadzany hucznymi oklaskami, wśród których nie zabrakło i moich. Widoczne było, że pozyskał sympatię sali, a i w mojej ocenie był to człowiek zasługujący w pełni na to, aby zasiąść wśród przyszłych władz organizacji podstawowej. Wiodłem za nim wzrokiem. Duda odchodził od stołu dumny, przekonany, że jego samokrytyczna ocena wypadła dobrze. Wyrównał swój rachunek z organizacją, zniwelował krzywdę, jaką wyrządził towarzyszom, związkowi, sobie. Ja także byłem zadowolony: z niego i z siebie. Z niego, że dobrze pojął, o co mi chodziło, gdy wzywałem przemawiających do samokrytycznej oceny. Z siebie, że nie zapomniałem skierować toku wypowiadanych biografii na właściwe tory. Spojrzałem na tablicę umieszczoną na ścianie: Duda był czwarty z kolei, pod jego nazwiskiem widniało osiem dalszych. Była godzina pierwsza po północy. Pomyślałem, że jeżeli omawianie kandydatur pójdzie nadal tak składnie, jeżeli pozostałe życiorysy będą takie jak poprzednie, wybory zakończymy około trzeciej nad ranem. Mogłem zarządzić przerwę, ale atmosfera była tak nagrzana, że wolałem wyborów nie odraczać.

Piątego kandydata, Bardowskiego, znam od dawna. To stary KPP-owiec, tramwajarz, tęgi, barczysty chłop o jasnym spojrzeniu i otwartej twarzy. Wyczytasz z niej wszystko; mnie zaś było szczególnie łatwo czytać z tej twarzy. Część życia przemierzyłem z nim razem; byliśmy razem na masówkach pod remizami w latach 1936-37, biliśmy się z pepesowcami i frakami w związkach zawodowych w 1937, pod koniec wzięli nas razem z jednego podpunktu. Bardowski miał za sobą kilka lat więzienia. Obecnie kieruje spawalnią w fabryce, do której wydelegowała mnie dzielnica.

Życiorys przez niego opowiedziany był typowo robociarski. Ojciec Bardowskiego był tokarzem, on ukończył szkołę powszechną, uczęszczał na kursy wieczorowe i gdzieś w 1916 roku zetknął się z ruchem rewolucyjnym, z ludźmi z SDKPiL. Pracował w warsztatach tramwajowych, organizował tam związek klasowy, utrzymywał kontakty z robociarzami i inteligentami, późniejszymi członkami KPP. Opowiadał

obszernie o tym, jak tracił pracę, jak głodował, jak go skazywano na więzienie. Wiedziałem, że mówił prawdę, wiedziałem więcej: nigdy nie tracił humoru, dowcipkował, był cięty, zawsze serdeczny dla swoich, surowy wobec wrogów. Gdy opowiadał o swej przynależności do KPP, gdy wymieniał nazwiska ludzi, z którymi się stykał w robocie nielegalnej, widziałem, czułem, że przyciąga ku sobie uwagę wszystkich. Napięcie wzrosło, gdy opowiadał o swojej walce z przemocą i gwałtem w czasach okupacji, gdy był w PPR. Ten okres swojej pracy, zwłaszcza ten powojenny, ocenił surowo. Zatracił wówczas — tak twierdził — linię klasową, był zadowolony z siebie, wydawało mu się, że linia podziału klasowego zanika i zatraca się ostrość walki klasowej.

— Mnie się zdaje, że sierpniowe plenum zrobiło ze mnie zupełnie nowego człowieka, bo po raz wtóry przypomniało mi, co to jest internacjonalizm proletariacki oraz wybiło mi z głowy samozadowolenie z tego, co robiłem. Ale na tym się nie skończyło, za mało tego było. Z całą jaskrawością ujrzałem ostrość walki i straciłem spokój; straciłem go, bo poczułem winę wobec tradycji walki KPP i wobec klasy robotniczej. Wiedziałem, że na licznych placówkach, w naszej fabryce również, zagnieździli się wrogowie, wobec których byłem zbyt miękki i łagodny. Pamiętacie, towarzysze, jak to sam tłumaczyłem wam źródła naszych braków i niepowodzeń w produkcji, wyjaśniając wszystko przypadkowością. Nie starałem się szukać głębszych, politycznych źródeł tych przypadków. Tymczasem przypadków nie było. Była świadoma robota naszych wrogów i ja tego nie dostrzegałem nie tylko dlatego, że nasz przeciwnik był przebiegły, ale i dlatego, że zatraciłem właściwą ocenę naszych braków. Broniłem ludzi, którzy później zostali przez nas przepędzeni. Był czas, kiedy zapomniałem o tym, że jeżeli ktoś nie pomaga nam, to robi politykę wroga. Mówiłem, że ludzie nie są uświadomieni, ale nasi przeciwnicy byli tylko pozornie nieuświadomieni. Udawali tylko, że nie wiedzą, o co nam chodzi, a doskonale wiedzieli, co mają robić, aby nam szkodzić. Do szkodzenia to byli uświadomieni. Tam to mieli pojęcie, tylko do pomagania nie mieli pojęcia, tacy oni byli i jeszcze są. Nie troszczyłem się wtedy o plan, chwaliłem się tu przed wami na zebraniach, że dużo robimy, że nasza produkcja wzrasta i myśmy faktycznie robili dużo, ale robiliśmy rzeczy nikomu niepotrzebne, magazyny pękały od gotowych wyrobów, wzrastały remanenty, tymczasem przemysł się dusił, wołał o inną produkcję, o upłynnienie remanentów, o inne wymiary, o precyzyjną robotę. Ja się nie biłem, ja tylko trwałem na dwóch frontach; z jednej strony był wróg

jawny i ukryty, ale gorsza była własna ślepota. I tak trwało blisko dwa lata, aż przyszło trzecie plenum naszej partii i dopiero dojrzałem. Wtedy dopiero stałem się nowym człowiekiem, poczułem, jak rosnę od nowa. Ja wiem, co to znaczy wejść do władz partyjnych; byłem w tych władzach wtedy, kiedy się wybierało w ukryciu, nielegalnie i dlatego wiem, co to znaczy brać na siebie tę odpowiedzialną funkcję. Przyjmę wasz mandat i zapewniam was, towarzysze, że wywiąże się z tych obowiązków w miarę moich sił i możliwości.

Bardowskiemu postawiono kilka pytań. Pytał głównie Roman, nasz stary towarzysz, którzy przed wojną i w czasie wojny zetknął się z ludźmi wspomnianymi przez Bardowskiego.

— Powiadacie, żeście pracowali w 1936 roku w tramwajach. Czy tak było?

— Tak.

— No to powiedzcie nam, kto był wtedy sekretarzem dzielnicy?

— Masłowski.

— A Rucińskiego znaliście?

— Którego? Antoniego czy Feliksa?

— Antoniego.

— Znałem. W 1936 roku już był na robocie MOPR-owej, potem wpadł.

— Kiedy?

— Gdzieś w październiku 1936 roku, przed 7 listopada.

Przyznam, że pytania Romana wydawały mi się dziwne, ale szybko zorientowałem się, do czego Roman zmierza: prawdopodobnie pragnął przez te pytania i odpowiedzi zbliżyć Bardowskiego do zebranych. Jeżeli go nie znali, w ten sposób poznają życie i walkę tego starego KPP-owca. Gdy jednak pytania Romana przybrały charakter indagacji, nakreśliłem na kartce pytanie, do czego Roman zmierza, i podsunąłem mu ją. Roman przeczytał i przekreśliwszy moje słowa napisał coś, po czym podsunął mi karteczkę. Roman napisał jedno zdanie: „Jest nas niewielu starych, niech ludzie wiedzą, jacy jesteśmy i kogo wybierają".

Wtedy to przypomniałem sobie, że przecież poprzedni kandydat, Duda przeszedł zupełnie bez pytań, nikt go o nic nie pytał, jakby dla wszystkich było jasne, że zasłużył na wybór do egzekutywy tylko dlatego, że w sposób przekonywający omówił samokrytycznie swoją działalność w kole związkowym. Ale czy właśnie fakt uchylenia się od pracy w kole związkowym nie był wystarczający, aby nie wysuwać jego

kandydatury do władz organizacji? Przebiegłem myślą wszystkie znane mi szczegóły, dotyczące tego człowieka i przypomniałem sobie, o czym mnie informowała ustępująca egzekutywa: Duda zrozumiał swój błąd, cofnął rezygnację, żałował tego, co zrobił. Znaczy to więc, że Duda przyszedł na zebranie przygotowany, przyszedł z przemyślanym wywodem i to nie ja bynajmniej przekonałem go, że powinien krytycznie ocenić swój postępek. Z drugiej jednak strony, jeżeli przekonała go o tym egzekutywa, świadczyłoby to o jej dojrzałości i zrozumieniu zadań, jakie ma spełniać, wychowując członków partii. Przy tym wszystkim pozostała jednak jedna sprawa bezsporna: Duda nie opowiedział swego życiorysu, a to co powiedział, zostało przyjęte z aprobatą. Czyżby wszystko było w tym życiorysie jasne? Aż tak bardzo jasne?

Wstałem i ominąwszy siedzących przy stole członków egzekutywy, zmierzałem ku Romanowi. Ten zdążył jeszcze zapytać Bardowskiego:

— A ile lat przesiedzieliście w więzieniu?

Już stałem za krzesłem Romana, gdy Bardowski odpowiedział:

— Cztery lata i osiem miesięcy.

Roman zwrócił się do zebranych:

— Kto chce jeszcze zapytać o coś towarzysza Bardowskiego?

Niecierpliwiłem się. Chciałem jak najspieszniej rozmówić się z Romanem. Z sali nie było żadnych pytań i pierwszy sekretarz wymienił nazwisko szóstego kandydata. Zanim jednakże ten podszedł do stołu, poprosiłem Romana, aby odszedł ze mną na chwilę pod okno. Nie chciałem przeszkadzać obradującym.

— Słuchajcie, towarzyszu Romanie, to co się tu stało, jest co najmniej dziwne. Starego KPP-owca, Bardowskiego, zasypujecie pytaniami, a tego Dudę puściliście, nie stawiając mu ani jednego pytania.

Roman spojrzał na mnie zza grubych szkieł:

— Ja nie stawiałem pytań? A wy czemuście nie stawiali?

— Ja? A niby dlaczego ja? Przecież wy znacie ludzi, a ja ich nie znam. Ja tu jestem jako obserwator dzielnicy.

Przystąpił bliżej:

— Obserwator, powiadacie? A ja myślałem, żeście tu przyszli nam pomóc.

— I pomóc, oczywiście.

— Jeżeli tak, to czemuście nie pytali Dudy, jeśli wam się coś nie podobało?

— Nie znam ludzi.

— No, to ich poznajcie.

Wydawało mi się, że chce uciąć naszą i tak w pośpiechu prowadzoną rozmowę.

— Słuchajcie, towarzyszu Romanie, myśmy zdaje się zrobili głupstwo i obyśmy tego nie żałowali. Duda przeszedł zupełnie bez pytań, ludzie go pewnie wybiorą, zamachlował nas swoją samokrytyką i daliśmy się porwać, ale to nie jest w porządku.

Romana opuściła pewność siebie.

— To ci dopiero cholera. Staremu towarzyszowi Bardowskiemu wiercę dziurę w brzuchu, a ten Duda nam się przemknął, że anim się spostrzegł.

— Trzeba z tego wybrnąć.

— Trzeba, ale jak?

Niech wróci, pomyślałem, ale wówczas zorientowałem się, że tym posunięciem umniejszyłbym wagę samokrytyki złożonej przez Dudę, samokrytyki słusznej i dojrzałej. Co będzie, jeśli z odpowiedzi na pytania, jakie mu ludzie postawią, wyniknie, że jest wszystko w porządku, czy nie poderwę wówczas autorytetu dzielnicy? Bo jakżeż to? Czemu nie pytałem wtedy, gdy Duda stał u stołu i przemawiał, tylko po godzinie niemal ponownie go wzywamy, aby gadał? Tymczasem zebranie trwało, już przemawiał szósty kandydat.

Roman znów powiedział:

— A no, trudno, jak wszyscy kandydaci opowiedzą swoje życiorysy, to my go znów wezwiemy do stołu.

Przemawiał nieznany mi człowiek. Wracając na swoje miejsce, spojrzałem na tablicę. Nazwisko szóstego kandydata brzmiało: Leśniewski.

Był technikiem, ukończył 5 klas szkoły średniej, ojciec miał kiedyś piekarnię, wnet się poprawił — nie piekarnię, tylko sklepik z pieczywem. On sam, mimo swoje pięć klas i ukończoną szkołę techniczną, był przed wojną woźnym, ponieważ w jego zawodzie było szalone bezrobocie i nie mógł znaleźć odpowiadającej jego wykształceniu pracy. Był przez kilka lat woźnym w jakimś banku, na tym stanowisku biedował również w czasie wojny, po powstaniu wywieziono go na roboty do Niemiec. Zaraz po ukończeniu działań wojennych wrócił do kraju, ale już nie pracował jako woźny. Znalazł pracę właśnie w tej fabryce, i pracuje tu do tej pory. Do PPR wstąpił na początku 1946 roku. Również i on ocenił krytycznie swoją dotychczasową pracę: robił o wiele za mało, ustępująca egzekutywa nie powierzała mu specjalnych zadań partyjnych, ale również i on nie zabiegał o to usilnie. Nie garnął się zbytnio. Gdy

zakończył swój życiorys, wezwano obecnych do stawiania pytań. Dopiero czwarte, czy piąte zawierało coś istotnego. Któryś z obecnych zapytał go, czy należał do związku klasowego wówczas, gdy był woźnym w banku.

— Nie należałem.

— Dlaczego?

Przez chwilę się namyślał, po czym rzekł:

— Bo dyrekcja nie pozwalała nam należeć do związku klasowego.

Zdawało się, że już więcej pytań nie będzie, ale mnie uderzyło coś szczególnego w życiorysie Leśniewskiego. Wydawało mi się, że ten człowiek, posiadający dość znaczne wykształcenie, znaczne w porównaniu z tym, jakie mogli przed wojną osiągnąć robotnicy, mógłby opowiedzieć zebranym coś ciekawszego o sytuacji człowieka pracy przed wojną, człowieka, który osiągnąwszy pewien stopień wykształcenia nie mógł swojej wiedzy wykorzystać, lecz musiał zostać woźnym, co wszak nie wymagało żadnych specjalnych wiadomości, ani kwalifikacji. Poprosiłem, aby opowiedział towarzyszom o różnicy między Polską przedwrześniową a obecną. Prosiłem o konkretną odpowiedź, która mogłaby, tak mniemałem, mieć wielkie znaczenie dla zebranych, wśród których byli ludzie starsi, posyłający obecnie bez trudu swoje dzieci na wyższe uczelnie, skąd wrócą do przemysłu, czekającego na nowych techników, inżynierów, fachowców. Odpowiedź, jaka padła, była niedwuznaczna ale niewystarczająca.

— Dużo ludzi nie pracowało w swoim zawodzie.

— Dobrze — rzekłem — wiemy o tym, ale jaka jest wasza ocena takiego stanu rzeczy?

— Ludzie przed wojną robili, co mogli, aby żyć. Miałem kolegę, który miał nawet maturę i potem poszedł do straży więziennej.

Na sali zapanowała zupełna cisza.

Wiem, że Leśniewski stoi za mną, chcę mu spojrzeć w twarz, ale nie śmiem się odwrócić, aby nie skłócić tej ciszy, jakże wymownej, a dręczącej zarazem. Jednocześnie wiem, że to się musi skończyć, że tę sprawę należy doprowadzić do końca, by nie było żadnych niedomówień.

Wstałem i poprosiłem Romana o udzielenie mi głosu.

— Słuchajcie, towarzyszu Leśniewski, wyście tu powiedzieli o takich sprawach: do związku klasowego nie należeliście, bo dyrekcja banku nie zgadzała się na to, to znaczy, żeście robili to, na co się panowie zgadzali, prawda? Potem powiedzieliście, że dużo ludzi nie pracowało

w swoim zawodzie i nie potrafiliście zebranym wytłumaczyć, dlaczego tak było, prawda? Mniejsza o to, ale wyście tu powiedzieli, że ludzie przed wojną robili, co mogli, aby żyć, prawda? Czy to znaczy, że gdybyście nie znaleźli pracy jako woźny, to byście, aby żyć, poszli na służbę do straży więziennej, podobnie jak to uczynił wasz kolega?

Wiem, że pytania moje, zwłaszcza ostatnie, są bardzo bliskie demagogii, bo skądby ten mieszczuch mógł się zdobyć na właściwą ocenę? Ale nie on był tu ważny: ważni byli zebrani towarzysze, którym trzeba było ukazać oblicze człowieka chwiejnego i niezdecydowanego. Odpowiedź Leśniewskiego była nieoczekiwana:

— Starałem się nawet o przyjęcie do straży więziennej, kiedy byłem bez pracy, ale mnie nie przyjęli, bo mam słaby wzrok.

Przez salę przebiegł przytłumiony szmer, nie starałem się go uciszyć. Był to szmer znany uczestnikom zebrań: wyzwala on niepokój, jak oddech, który przywraca przytomność.

Obserwowałem pilnie zebranych wędrując wzrokiem po ich twarzach. Już nie były dla mnie czymś nieodgadnionym: nie trzeba być psychologiem, by odgadnąć w spojrzeniu każdego z obecnych, w zamarłym ruchu, w ściągnięciu brwi malujące się zaciekawienie. A właściwie źle to określiłem: zaciekawienie już dawno przerodziło się w skupienie, podobne do tego, jakie się pojawia u ludzi zgodnych w ocenie zjawisk. Widziałem, że wciągnięto ich w sprawę ważną, decydującą.

— A czy wiecie, kogo pilnowała straż więzienna?

— Nie wiem.

— Nie wiecie?

— Nie.

Straciłem na chwilę panowanie nad sobą. Cóż sobie ten człowiek myśli? Chwilę tę wykorzystał Roman; nagle bowiem usłyszałem jego głos. Wezwał Dudę, aby się wypowiedział na temat oświadczenia Leśniewskiego. Właśnie Dudę, który miał wszak niebawem wrócić, aby opowiedzieć dokładniej swój życiorys. Wtedy odetchnąłem z ulgą. Wiem, że to nie było w porządku. Roman nie miał żadnych uprawnień do wyznaczania mówców, po prostu nadarzyła mu się okazja ponownego ukazania Dudy zebranym i wykorzystał ją. Zebrani mogli to posunięcie poczytywać jako przejaw szczególnego zaufania ze strony sekretarza. Widziałem, jak Duda wstawał i zamierzał przepchnąć się do stołu, gdy Roman uniósłszy rękę powiedział:

— Towarzyszu Duda, zostańcie na miejscu, możecie odpowiadać z miejsca.

— Dobrze. Myślę, że jak człowiek był bez pracy, to aby żyć, mógł pójść do straży więziennej.

Ktoś krzyknął:

— I na służbę do hitlerowców, aby żyć.

Jeszcze ktoś powtórzył, jak echo:

— Aby żyć.

Roman krzyknął:

— Spokój. Nie udzieliłem nikomu głosu. Cisza ma być.

Po czym:

— Więc powiadacie, mógł pójść. A kogo pilnowała straż więzienna?

— Nie wiem.

Kilku spośród zebranych uniosło dłonie, prosząc o głos. Roman zdjąwszy okulary rozglądał się po sali, nie wiedząc, komu przyznać pierwszeństwo. Ręce bowiem uniosły się niemal jednocześnie.

— Towarzysz Bardowski ma głos.

— Tutaj dwaj towarzysze nasi, Duda i Leśniewski, dwaj towarzysze wysunięci do egzekutywy, nie wiedzą, tak przynajmniej twierdzą, kogo przed wojną pilnowała straż więzienna, ale ja im nie wierzę. Tutaj, na tej sali, przed godziną słyszeli z moich ust, że przesiedziałem kilka lat w więzieniu i słyszeli, za co siedziałem, ale oni albo nie słuchali, albo tego nie zrozumieli. Jeżeli tego nie zrozumieli, to ja im jeszcze raz wyjaśnię, kto siedział za czasów sanacji w więzieniu. Siedzieli złodzieje, to znaczy ludzie, których ustrój kapitalistyczny, ustrój nędzy i głodu, powodujący bezrobocie, pchał do kradzieży, ale to byli ludzie klasowo nieuświadomieni. Nie widzieli walki klasowej, naszej walki, która ich wyzwoli, da pracę i przywróci godność ludzką. Ale w więzieniu nie siedzieli ci, którzy żyli z wyzysku, z krwi i potu robotnika. W więzieniu siedział bezrobotny, który wybił szybę u piekarza i porwał bochenek chleba, aby nakarmić głodne dzieci, ale i takiego robotnika, mimo że go burżuazja skazywała na więzienie, my klasowo uświadomieni robotnicy potępialiśmy, bo nie przez wybijanie szyb można było zmienić położenie klasy robotniczej, tylko przez walkę. Wreszcie w więzieniu siedzieli komuniści, ci, którzy organizowali klasę robotniczą, przygotowując ją przez długie lata do ostatecznego boju o władzę robotników i chłopów, o zniesienie wyzysku, o socjalizm. W więzieniu siedzieli górnicy i murarze, szewcy i chłopi małorolni, kolejarze i hutnicy, którzy w strajkach i starciach z policją przelewali krew. Wielu z nich traciło życie, i takich ludzi, nie kogo innego, strzegła straż więzienna, a teraz przychodzą tu nasi towarzysze i powiadają, że nie wiedzą, kogo pilno-

wała straż więzienna. Ja się tu nie dopominam o swoje, wiecie, bo mówiłem o tym, że przesiedziałem kilka lat po więzieniach i to może właśnie pod strażą kolegi towarzysza Leśniewskiego. To może nawet ten jego kolega połamał mi w czasie głodówki żebra, kiedy mnie przemocą pakowali w kaftan bezpieczeństwa jak jakiego wariata. Ja, powtarzam, nie dopominam się o swoje, chociaż gdybym wiedział, gdzie się ten oprawca obraca, to bym go odszukał i oddał w ręce władzy ludowej. Mnie chodzi o to, że do władz naszego koła mają wejść tacy towarzysze, z których jeden chciał pójść na służbę burżuazji, tylko mu się nie udało, bo ma słaby wzrok, a drugi, towarzysz Duda, który twierdzi, że aby żyć, robotnik mógł pójść na wysługiwanie się burżuazji. Ja się z tym nigdy nie pogodzę i ja w tej chwili nie występuję przeciwko nim osobiście. Towarzysze muszą zrozumieć, że aby żyć, aby klasa robotnicza mogła żyć, rewolucjoniści poświęcali swoje życie i dlatego we władzach naszej organizacji muszą zasiadać towarzysze, którzy nie są chwiejni i potrafią należycie ocenić własne postępki.

Przerwał na chwilę i dopiero wtedy spostrzegł, że oczy wszystkich są zwrócone na niego.

Tylko mój wędrujący wzrok omijał go. Byłem spokojny o Bardowskiego. Już wiedziałem, że uchwycił sedno zagadnienia, a skoro je zrozumiał, wyłoży je zebranym w sposób jasny i zdecydowany. Tej decyzji szukałem w twarzach zebranych. Pragnąłem natychmiast wiedzieć, czy pojęli, czy zrozumieli: czy wyjdą z tego zebrania osiągnąwszy wyższy stopień uświadomienia, czy też nie pojmą istoty zagadnienia? Skupienie nie mijało. Bardowski kierował obecnie zebraniem i każde nieopatrzne słowo mogło go pogrążyć, ale on już wiedział, że wypowiada ich myśli, ich sąd. Czuł swoją siłę, siłę tych wszystkich ludzi, wypowiadał ich myśli. Milczenie panujące na sali zdawało się w sposób niewidzialny ale odczuwalny popierać go i sposobić do dalszej rozprawy z przeciwnikiem.

— O towarzyszu Leśniewskim wiemy wszystko, ale towarzysz Duda nam się przewinął jak lis. On nam tak zamydlił oczy swoją samokrytyką, że go nikt nawet nie zapytał. Ja widziałem — zwrócił się w moją stronę — jak nawet przedstawiciel dzielnicy go oklaskiwał, no, może nawet i słusznie, bo samokrytyka towarzysza Dudy była cenna, ale przecież jego nikt nie pytał, ani o przeszłość, ani o okres okupacji, wystarczyło nam jego oświadczenie, że jest synem sezonowego robotnika murarskiego, ale to mu się na nic nie zdało. My już wiemy o nim teraz wszystko, mimo że nie opowiedział pełnego życiorysu; on się tu zdema-

skował jednym zdaniem. W tym zdaniu było powiedziane, że nie wie, kogo przed wojną strzegła straż więzienna i to nam mówi wiele o stopniu jego uświadomienia klasowego. Taki towarzysz, o takim uświadomieniu klasowym, nie może wejść do władz naszej organizacji. Powiem więcej: on nawet nie zrozumiał tego, co było zawarte w moim życiorysie, a przecież nie opowiedziałem go po to, aby się tu przed wami przechwalać. Ja nie jestem żaden polityk, jestem zwykłym robociarzem, którego burżuazja chciała zniszczyć za osiągnięty stopień uświadomienia klasowego, a towarzysz Duda pragnie usprawiedliwić tych, co mnie mieli zniszczyć.

Odetchnął, ale zebrani w sposób widoczny dla mnie, zresztą nie tylko dla mnie, dla siebie samych, potwierdzili wypowiedź Bardowskiego. Usiłował ich uspokoić, unosząc jakimś krótkim gestem obie dłonie, jakby się chciał opędzić przed tym uznaniem, na jakie — w swojej ocenie — nie zasłużył. Szmer idący przez salę nie budził żadnych wątpliwości. Przytym wszystkim nie słyszałem żadnego „dobrze mówi", „ma rację" — było jasne, że wypowiedział myśl wszystkich obecnych i że niepotrzebna była niczyja głośna aprobata. Stary Roman nie ingerował.

Zwracając się do prezydium, powiedział:

— Stawiam wniosek o skreślenie z listy kandydackiej zarówno towarzysza Dudy, jak i towarzysza Leśniewskiego. Jednocześnie wysuwam kandydatury dwóch innych towarzyszy: Michalskiego i Maja Włodzimierza. Uzasadniam to tym, że zawsze, mimo iż nie byli nigdy członkami KPP, duszą i ciałem trwali w walce, uczestniczyli w licznych strajkach, głodowali wyrzucani przez faszyzm na bruk, ale nigdy nie ofiarowali swoich usług burżuazji.

Spojrzałem na Romana. Pochylił swoją łysą głowę i spoglądał ku mnie zza okularów. Trudno mi odgadnąć, co się kryje za tym spojrzeniem: zadowolenie, czy też przypomnienie sformułowane krótko: a wy po coście tu przyszli — obserwować czy pomagać?

Wniosek Bardowskiego zebrani przyjęli jednomyślnie. Roman wstał i starł szmatką z tablicy nazwiska Dudy i Leśniewskiego, a dopisał nazwiska Michalskiego i Maja. Po kilkuminutowej przerwie przystąpiliśmy do dalszych wyborów.

* * *

Dziś na odprawie aktywistów zreferowałem na dzielnicy wynik wyborów oraz doświadczenia wyniesione z tego zebrania. W czasie dyskusji

sekretarz dzielnicy skrytykował moje przeoczenie powstałe w wypadku Dudy, jednakże dodał, że Duda, nawet gdyby opowiedział szczegółowo swój życiorys, mógł nie ujawnić się jako człowiek o małym wyrobieniu politycznym.

— Zdradziło go kumoterstwo i pochwała tezy „aby żyć". Jeszcze teraz nie wiemy, czy jego samokrytyka wypłynęła również z tezy „aby żyć", czy też istotnie nie rozumiał o co chodzi, usprawiedliwiając kolegę, który chciał pójść na służbę burżuazji; w każdym razie dobrze się stało, że się nie znalazł w egzekutywie. Odnośnie towarzysza Bardowskiego należy stwierdzić, jaki jest stopień jego przeszkolenia i wciągnąć na listę nieetatowych instruktorów dzielnicy.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu i wniosek sekretarza został przyjęty.

Stanisław Wygodzki

MIROSŁAW KOWALEWSKI

„Kampania znaczy walka“

Fragment powieści

Bocznym wejściem, przez buraczarnię, wszedł do fabryki. Ogarnęło go od razu ciepło i hałas. Szedł wolno, przystanął obok stacji pomp, spojrzał na przyrządy pomiarowe, zatrzymał się, by przez dłuższą chwilę spoglądać w górę, gdzie nad wyparką błyszczała kolorowymi światłami tablica sygnalizacyjna. W miarę biegu fabryki zapalały się tam różne lampki, gasły, białe zamieniały się w zielone lub czerwone. Ostrzegały, ganiły, chwaliły, pokazywały czy warształt jest pusty, czy napełnia się. Cała tablica była wykonana według pomysłu Kamińskiego jeszcze przed ubiegłą kampanią. Teraz, ulepszona i po trosze zautomatyzowana, powinna się przyczynić do ułatwienia kontroli, do ulżenia w prowadzeniu skomplikowanego mechanizmu cukrowni.

Dalsza część fabryki, ku której skierował się teraz dyrektor, oddzielona była od głównej hali ścianą z siatki: wirownia. W siatce — jedna tylko furtka, przy niej tkwiło dwoje ludzi: rewident i rewidentka. Na widok dyrektora szybko odłożyli czytane książki, mężczyzna poderwał się, przekręcił klucz w zamku. Kamiński wszedł, a zdejmując palto i kapelusz, patrzył już w tę stronę, gdzie długim szeregiem, jedne koło drugich stały wirówki. Ale nie podszedł ku nim, patrzył tylko stąd chwilę na ich pracę, po czym wstąpił na schody.

Na wyższym piętrze, na tym poziomie, co dyfuzja, wyparka czy laboratorium — ale od nich odgrodzone — mieściły się mieszadła. Po lewej stronie — cztery pierwszej cukrzycy i dwa drugiej, po prawej — osiem mieszadeł cukrzycy trzeciej.

Ku nim właśnie skierował się żywo Kamiński. Mieszadła — to jeden z najważniejszych działów cukrowni, wymagający specjalnie troskliwej, starannej opieki. W kilkumetrowej długości zbiornikach-korytach stoi gęsta, ciemnobrunatna masa, mieszana ustawicznie przez spiralną wstęgę, obracającą się na potężnym wale. Błyszczy w świetle lamp cu-

krzyca: mieszanina kleistego, lepkiego syropu i drobnych kryształków cukru. W syropie znajduje się całe mnóstwo przeróżnych związków chemicznych, tych, które jeszcze na dyfuzji razem z cukrem przeszły z buraka do soku i które tu się gromadzą. Razem z nimi rozpuszczony jest i cukier, który dotąd nie zdążył, nie mógł wykrystalizować.

I oto tu, w mieszadle, toczy się walka. Człowiek chce wyzyskać jak najwięcej rozpuszczonego cukru, chce, by go jak najwięcej wykrystalizowało, lecz nieubłagane prawa fizyko-chemiczne kładą temu kres. Człowiek pomaga, ułatwia, pobudza. To ostatnia szansa. Za dzień czy dwa cukrzyca pójdzie na wirówki, to, co wykrystalizowało, pozostanie na sicie w postaci żółtej, wilgotnej mączki, z której jeszcze zrobimy lśniąco-biały kryształ — a odcisk zwany melasą wypompujemy do wielkiego zbiornika, potem wyślemy w świat. Cukier, jaki w melasie zostanie, przepadnie dla cukrowni, zapiszemy go w rubryce strat. Choć inne przemysły wykorzystają go, przerobią na spirytus, aceton, na drożdże czy glicerynę — w sprawozdaniu technicznym cukrowni figurować będzie w pozycji „straty cukru w melasie".

Kamiński każdym nerwem czuje toczącą się walkę, zna jej prawidła, rozumie przebieg. Jeszcze przed wojną zajmował się specjalnie kwestią krystalizacji ostatniej cukrzycy, prowadził pewne badania, był autorem paru artykułów na ten temat. Odczytuje uważnie cyfry, wypisane kredą na tabliczkach umieszczonych obok każdego mieszadła. Porównuje je ze wskazaniami termometrów, z wyglądem poszczególnych cukrzyc, które tylko na pozór nie różnią się od siebie. Zastanawia się, przelicza coś w pamięci, ruchem głowy wtóruje myślom. Resztę sobie dopowie w laboratorium.

Tym razem z głównym chemikiem siedzieli jeszcze dobre pół godziny w jego gabinecie nad zeszytem zawierającym wszystkie dane odnoszące się do cukrzyc, nad tablicami i wzorami. Kamiński, jak zwykle, pomagał sobie w obliczeniach małym kieszonkowym suwakiem, bez którego nie mógł się obejść; wszyscy wiedzieli, że to pamiątka z uniwersyteckich jeszcze czasów.

Nie skończyli jeszcze, kiedy w laboratorium dał się słyszeć głos zmianowego, który pytał:

— A jak było przed południem?

— Niech pan zajrzy do dziennika, tam wszystko zapisane — odpowiedział głos panny Danki, chemiczki z drugiej zmiany.

— A pani mi nie może powiedzieć?

— Chce pan, żebym wszystkie cyfry na pamięć znała?

— Panie Grodzki, co tam znowu? — zawołał Kamiński.

Rozległy się szybkie, mocne kroki i do gabinetu wszedł Grodzki zamykając za sobą drzwi. Był to wysoki, barczysty mężczyzna lat trzydziestu paru, w długich butach i płaszczu roboczym zarzuconym na wełniany pulower. Zarówno buty jak płaszcz pochlapane były wapnem.

— O co pan tak się dopytuje? — powtórzył dyrektor, witając się.

— Chcę się dowiedzieć, jak było z wyparką na pierwszej zmianie, bo już nie wiem, co robić. Wszystko szłoby dobrze, gdyby nie ta wyparka.

— Nie gotuje dobrze?

— Nie gotuje. Co tylko trochę podgonię, zaraz muszę hamować, bo wszędzie pełno, a nie mogę przecież dawać na warniki rzadkiego soku. Ja nie rozumiem, w zeszłym roku co jak co, ale wyparka nie sprawiała żadnego kłopotu.

— Do południa też było słabo — skinął głową Siewacz — tam siedzi jakiś feler.

— Ale jaki, panie inżynierze, jaki? — irytował się zmianowy. — To dobre było jeden dzień, dwa, ale nie pięć dni. Nie dość innych kłopotów. jeszcze taka parszywa wyparka. Już i automaty wszystkie sprawdzali, nic nie znaleźli, a ona nie chce gotować, jak należy. Zresztą, czego tam było w automatach szukać. Tam jest wszystko w porządku. Ja nie wiem, ale może coś te tegoroczne przeróbki — tego. —

— No, tak — przerwał Kamiński — jednym słowem, inżynierze, będziemy musieli zająć się tym bliżej. Trzeba będzie brać po kolei sok z każdego działu, sprawdzimy, jak który pracuje. To już da nam pewne informacje.

— A cóż pan taki zachlapany wapnem? — zapytał Siewacz.

— Miałem trochę zmartwienia z wapniarnią. Jedno sito jakoś źle siedzi, przelewa się wapno koło niego i trzeba wygarniać piach i żwir, żeby na pompy nie poszedł. A jak sam nie dopilnuję, to nikt tego nie zrobi. Tak, tak, wszystkiego musi człowiek dojrzeć osobiście.

— No, a poza tym?

— Poza tym wszystko właściwie w porządku, ale cóż — jak w jednej godzinie zrobiłem po siedem dyfuzorów na baterii, to potem przez dwie godziny po pięć — ot, jakie trzy tysiące będzie na zmianę.

— To jest po prostu skandaliczne — żachnął się Kamiński. — Znam przecież ten warsztat i wiem, co tu można wyciągnąć. Myśmy dochodzili do dwunastu i pół tysiąca, a Niemcy osiągali i trzynaście. Zachowały się książki, wiemy, co oni tu potrafili. Ponad trzynaście nie wyciągali. Ale tę cyfrę osiągali, tak. Oczywiście, przeciętnie tyle nie wyjdzie, ale jeśli przeciętną chcemy mieć koło jedenastu — znaczy jakieś sto pięć procent normy — to jednak dwanaście musimy przerabiać bez trudu. Dwanaście tysięcy, cztery tysiące na zmianę — tak, to winna być taka nasza wewnętrzna norma. Możemy ją przecież osiągnąć.

— I ja też tak mówię, panie dyrektorze. W zeszłym roku to się jasno okazało. Ale teraz jakieś licho siedzi.

— No dobrze, dziękuję panu. Niech pan nie daje za wygraną i niech pan goni, jak może.

Grodzki wyszedł nie mówiąc już nic więcej. — Niech pan goni — tak, u diabła, to łatwo powiedzieć. Tymczasem krajalnice znowu stały, majster dyfuzji wskazywał ręką w stronę poruszających się zwolna pływaków na miernikach, uprzedzając tym gestem pytanie zmianowego.

Inżynier Siewacz po chwili milczenia zwrócił się do Kamińskiego:

— A swoją drogą, panie dyrektorze, ja mam pewne obawy.

— W związku z wyparką?

— Tak. To jest tak wszystko ze sobą powiązane, że nawet mała zmiana może bardzo poważnie wpłynąć na pracę całej stacji. A zmiany jakie zostały zrobione, choć nie są poważne, nie są również zmianami nic nie znaczącymi.

— Więc pan sądzi, że one są przyczyną obecnej wadliwej pracy?

— Czy ja wiem? Nie chciałbym tak sądzić, ale to, co się dzieje, zmusza do podobnych przypuszczeń.

— Tak. Więc, panie inżynierze, muszę rozproszyć, przynajmniej częściowo, pana wątpliwości. Zmiany zostały przeprowadzone przez wicedyrektora. On jest tylko praktykiem i nie potrafił przeliczyć tego, co projektował. Ale ma bardzo dużą intuicję techniczną, która mu wyrównuje braki teoretyczne.

— Jednakże opierać się tylko na intuicji...

— Nie wystarcza, tak? Otóż powiem panu, że niejednokrotnie nawet wystarcza. Ale o tym, że on ma tę intuicję, ja nie przekonuję się dopiero teraz. Przedtem miałem również zastrzeżenia. I może pan być pewien, że gdy on zmieniał niektóre szczegóły w gospodarce cieplnej, ja — ot tak, sam dla siebie — przeliczyłem to na wszelki wypadek, poradziłem się książek i twierdzę, że wszystko jest w porządku.

— Pan dyrektor to obliczał? — Nic nie wiedziałem — z prawdziwym zdumieniem w głosie rzekł chemik.

— Mówię: zrobiłem to sam dla siebie. I teraz trzeba szukać innych przyczyn. Proszę, niech mi pan da książkę temperatur, niech pan też zarządzi, żeby przez parę godzin przynoszono — co jakieś dwadzieścia minut — próbki soku ze wszystkich działów.

Siewacz wstał, nie bardzo przekonany o prawdzie słów dyrektora. Pomyślał: „Chyba teraz tylko tak Goryczana kryje. Zresztą, daj Boże, aby miał rację. Tylko dlaczego dotychczas nigdy o tym nie mówił?"

Wyjaśnił chemiczce, jakie i gdzie należy pobierać dodatkowe próby i w jaki sposób je analizować. Panna Danka zrobiła nadąsaną minę, gdyż wszelkie analizy nie mieszczące się w najprostszym rozkładzie dnia uważała za akt złośliwości, specjalnie w jej stronę skierowany. (Nie powiedziała tylko ze względu na obecność dyrektora w sąsiednim pokoju.)

Siewacz wziął książkę temperatur, spojrzał szybko, czy jest tam wszystko za ostatnie godziny wpisane, wrócił do siebie, obaj z dyrektorem pochylili głowy nad kolumnami cyfr układających się w pełny nie kłamiący obraz.

Była godzina ósma wieczór.

Chociaż do zmiany było jeszcze daleko, Bondarczyk szedł już do fabryki. Nie mógł usiedzieć w domu.

Paweł otworzył oczy, zapalił lampę i spojrzał na zegarek. Czuł się wypoczęty, świeży, w dobrym, dawno nie odczuwanym nastroju. Aż go zdziwiło. Nie, w fabryce przecież bez zmian, pomyślał, skąd ten dobry humor? I naraz uświadomił sobie, że pochodzi on z powziętej przed snem decyzji.

Wyskoczył szybko z łóżka; myjąc się i ubierając myślał ciągle: Nie wolno mi wierzyć nikomu. Sam sprawdzę wszystkie automaty, dopiero wtedy będę pewny.

Pokój gościnny, w którym mieszkał od chwili swego przyjazdu, mieścił się na drugim piętrze budynku biurowego. Paweł mógł mieć swoje mieszkanie, ale nie starał się o nie, po co? Mieszkał sam, nikogo nie przyjmował, wystarczał mu ten pokój.

Za oknami było ciemno. Zaturkotał gdzieś wóz, wiatr zrywał się i szumiał w drzewach przed domem. Hałasy fabryki dochodziły wyraźnie, wprawne ucho rozróżniało, skąd który pochodzi.

Energicznym krokiem szedł Paweł ku fabryce i wydało mu się nagle, że czas cofnął się. To perspektywa zwykłej, fizycznej pracy sprawiła, że wycedyrektor uczuł się znowu takim rzemieślnikiem, jakim był przed wojną. To było przyjemne uczucie, ale równocześnie wypełznął wróg kąśliwy — lęk, zimny, przenikliwy lęk.

A co będzie, jeśli i automaty okażą się w porządku, jeśli w ogóle nic nie potrafimy poradzić i przez całą kampanię wyparka będzie źle gotować, pasy będą się rwać, tryby — łamać?

Co będzie, u diabła, jak nie wyciągniemy przerobu, nie osiągniemy normy? Co powiedzą na to ludzie tutaj: robotnicy, partia, związek, rada? I ci tam w Zjednoczeniu, w Centralnym Zarządzie, którzy mi zaufali, zawierzyli?

Jeżeli nie pójdzie, jeżeli znowu cukrownia zajmie któreś z końcowych miejsc, to jak będzie wyglądał on — dyrektor awansowany z robotnika? Jakie świadectwo wystawi klasie, z której wyszedł?

Lęk wraz z wieczornym chłodem osacza zewsząd Pawła. Gdy spojrzysz nań — nie widzisz tego: idzie pewnym krokiem; wszedł do fabryki, kieruje się prosto do swego gabinetu. Twarz ściągnięta, poważna jak zawsze, nie dojrzysz na niej wahania czy obawy.

Po drodze spotkał ślusarza obchodowego. Zatrzymał go.

— Niech mi pan przyśle tam do mnie na górę którego ze swoich pomocników, żeby miał skrzynkę z narzędziami.

— Dobrze, panie dyrektorze, zrobi się — odpowiedział flegmatycznie Demarczyk. — Panu dyrektorowi coś tam potrzeba? To ja bym sam może poszedł?

— Nie. Niech pan zrobi, jak mówiłem.

— W porządku. Lucka zaraz przyślę.

Goryczan wszedł do siebie, zdjął palto, marynarkę. Razem z częściami ubrania opadało zeń zwątpienie i niepewność. A kiedy wdziewał kombinezon, zdawało mu się, że umacnia się w ten sposób i nabiera nowego hartu.

Lucek wbiegł zasapany, wielką płową czuprynę odrzucił znad oczu zawadiackim ruchem głowy.

— Jestem, panie dyrektorze, co je tam do zrobienia?

Paweł uśmiechnął się przelotnie.

— Pójdziemy zaraz na fabrykę, ja ci dziś będę za majstra.

— Pan dyrektor będą za majstra?

Ale Paweł już spoważniał. Spojrzał na skrzynki z narzędziami, przerzucił tam coś, wyszli.

Minął dyfuzję, szedł ku schodom, potem schodami w dół. Ciekawe, zdziwione spojrzenia pogoniły za wicedyrektorem, który, jak łatwo się było domyślić, szedł do jakiejś ślusarskiej roboty. Tu i ówdzie wymieniano szeptem uwagi. Na schodach zaszedł Pawłowi drogę Grodzki pytając:

— Co, pan dyrektor Demarczykowi chce chleb odebrać?

Paweł w pierwszej chwili chciał zbyć to milczeniem — nie bardzo lubił Grodzkiego. Ale właśnie dlatego odpowiedział:

— Śrubownicy ani ślusarze jakoś dotąd nie sprawdzili dosyć starannie automatów, więc ja to zrobię.

— Automaty. Tak, pan dyrektor ma zupełną rację. To jest jedyna możliwość. Bo znowu mi wyparka nie grzeje dobrze. Od początku myślałem, że tam musieli niedbale sprawdzić.

— Dobrze, że pan tak przynajmniej myślał — rzekł Paweł przyśpieszając kroku. Lucek już skoczył przodem, zrozumiał, o co Pawłowi chodzi, ściągnął spod ściany drabinę.

Nad nimi była wyparka. W każdym korpusie wrzał sok, ogrzewany parą, para oddawała swe ciepło i skraplała się na powierzchni grzejnej wewnątrz aparatu. Skropliny spływały rurami w dół i zanim dostały się do zbiorników, musiały przejść przez któryś z automatów. Jeśli automat jest zepsuty, skropliny nie spływają, w komorze grzejnej gromadzi się woda, aparat nie gotuje należycie.

Rozmieszczenie automatów było bardzo niewygodne. Każdy stał oddzielnie, wysoko, w plątaninie rur, komunikacji belek żelaznych. Podeszli pod jeden, Lucek oparł drabinę, ale spojrzał pytająco.

— Pan dyrektor będą się tam skrabać?

Paweł piął się już zręcznymi ruchami ku górze, dotknął ostrożnie ręką jakiejś rury — nie była gorąca. Chwycił się jej, podciągnął, przerzucił nogi, usiadł na innej rurze, dużej, mocno izolowanej. Siedząc posunął się naprzód, pochylił głowę, by nie uderzyć o biegnący nisko trawers. Lucek był już obok. Z daleka spoglądali robotnicy.

Cała fabryka wiedziała już, że Goryczan w kombinezonie majstruje coś między rurami. Mówili o tym na wirówkach, w piecu wapiennym, w suszarni i kotłowni. Kto mógł znaleźć jakiś pretekst, przechodził, niby śpiesznie, opodal Pawła, rzucając z ukosa spojrzenie w górę.

— Naprawdę — mówił potem — fajno se siedzi pod sufitem, coś tam grzebie.

— Widziane rzeczy.

— Niby co? Wstyd mu to?

— Ale, właśnie, wstydzić ma się niby? Wie on, co ma robić, gorzej by było, gdyby nie wiedział.

Gdzie indziej porównywano Pawła z jego poprzednikiem.

— Jak był Ludwikowski, to tylko u siebie w kantorze siedział. — Ehe — a jak wyszedł na fabrykę, to mu się wszyscy kłaniali, bo go dawno nie widzieli.

— Może i on co potrafi; mówią przecież, że jest z robociarza.
— Mówią? Sam to powiedział wtedy na zebraniu.
— Gdyby tak ciebie dyrektorem zrobili, to byś nie polazł w kombinezonie na drabinę.
— Już ty się o mnie nie martw.
Laborantka w białym fartuchu wpadła do laboratorium, śpiesznie stawiając próbki soków, szeptała coś towarzyszkom.
— Co tam ciekawego? — zapytała panna Danka.
— E, nic, proszę pani, pan wicedyrektor ubrał się za robotnika, wszedł wysoko między rury i coś tam robi.
Dosłyszał to Siewacz.
— Hallo, Marysiu, chodźno tutaj! Co robi pan wicedyrektor?
Dziewczyna powtórzyła.
— A gdzie? — zapytał Kamiński.
— Tam pod schodami, jak się na wirówki idzie.
— Acha, dobrze, możesz odejść. Po czym zwrócił się do Siewacza.
— Widzi pan, o! — w głosie dyrektora słychać było wyraźnie nutę uznania. Siewacz uśmiechnął się.
— Pan Goryczan sam chce wszystko sprawdzić. No, właściwie — tu zawiesił głos i Kamiński nie dowiedział się, czy inżynier pochwala postępowanie wicedyrektora, czy raczej nie. Odpowiedział żywo:
— Mnie to się podoba. Mało podoba. Wie pan, inżynierze, mnie takie postępowanie imponuje. Może dlatego, że ja tego bym nie potrafił zrobić.
— Jest za to więcej rzeczy, które pan dyrektor potrafi zrobić, a pan Goryczan — nie.
Kamiński nie odpowiedział, pokręcił tylko głową, zastanawiając się nad zdaniem Siewacza. Potem wskazał na wynotowane cyfry.
— W każdym razie błąd jakiś jest w pierwszym dziale. Niech pan patrzy: te temperatury i te analizy, które zdążyliśmy zrobić — to wskazuje wyraźnie na pierwszy dział.
— Może powiedzieć o tym panu wicedyrektorowi?
Kamiński wstał, zabębnił palcami po biurku.
— Powiedzieć? Sądzę, że to — że to po prostu nie wypada. Możemy dawać polecenia czy wskazówki majstrom, ale dyrektorowi — nie, inżynierze, jakoś to byłoby nieładnie.
W tej chwili odwołano Siewacza do laboratorium, chodziło o jakiś wątpliwy wynik analizy. Jednocześnie zadzwonił telefon, dyrektor podniósł słuchawkę.
— Hallo, przy aparacie. Tak. — Nie, Zosiu, teraz nie mogę... Co? No, za jakąś godzinę czy dwie, nie wiem. No, to odgrzejesz. Kochanie, przecież wiesz, że to kampania... No, dobrze, dobrze.
Uśmiechnął się sam do siebie, myśląc, jak to przez trzydzieści blisko lat żona nie mogła się przyzwyczaić, że w czasie kampanii był tylko gościem w domu.
Usiadł znowu, zaczął przeglądać jeszcze książkę temperatur, którą dokładnie przewertowali już z Siewaczem. Zresztą niewiele było zapisów przez tych parę dni. Myśl Kamińskiego szybko jakoś odsunęła się od

cyfr, przez szereg błyskawicznych skojarzeń doszła do osoby Goryczana. Kamiński nie wiedział właściwie, czy miał się po nim spodziewać takiego postępku jak dzisiejszy, czy nie. Zawsze zresztą uważał, że nie może rozgryźć swego wicedyrektora. Ba! — nie zawsze potrafił nawet powiedzieć, czy jest z niego zadowolony. Na początku był doń usposobiony bardzo krytycznie. Gdy po raz pierwszy dowiedział się, że zaangażowany wicedyrektor jest dawnym robotnikiem, powiedział do żony: — Wiem, to taka szpileczka ze strony naczelnego dyrektora. — Ale potem nie mówił już o szpileczce. Przybrał postawę wyczekującą, na różne pytania odpowiadał:

— Cóż, to się okaże dopiero podczas kampanii. — Kampania trwała a Kamiński w dalszym ciągu nie umiał sprecyzować swego zdania o wicedyrektorze, wiedział tylko, że czuje doń sympatię.

Bondarczyk wchodząc do fabryki spotkał wychodzącego właśnie Kowalskiego. Stary był stolarzem, a w czasie kampanii prowadził piec wapienny. Ponieważ miał ranną zmianę, więc Józek zdziwił się.

— Coż to się stało, pan o tej porze idzie z fabryki?

— A co dostanę, jak ci powiem?

— Już by pan chciał zarobić na takim jak ja biedaku?

— Pewno, że i wiele bym nie zarobił. — Kowalski zrobił przerwę, uśmiechał się chytrze, zawsze lubił pożartować. — No, to ci powiem, ale nic nie mów nikomu. — Zniżył głos, szepnął Józkowi do ucha: — fajranty robiłem.

— E — machnął ręką Józek — pan tylko śmichy-chichy! To już idź pan do domu! — Poszedł dalej ku fabryce, ale przystanął zaraz, bo Kowalski jeszcze dodał:

— A jutro zobaczysz te moje śmichy-chichy. Oko ci zbieleje, chłopie. Takie będą tablice, takie jakieś wykazy współzawodnictwa, że nic, ino robić a ścigać się.

— Aha — mruknął już do siebie tylko Józek. — Komitet Współzawodnictwa coś szykuje. Ciekawe, kto to wymyślił i co to takiego.

Wchodząc na główną halę dostrzegł zaraz działalność Komitetu. Obok schodów wiodących na piętro stała duża, czarna tablica, na niej widniał napis: „Tablica honorowa przodowników pracy". Czarna deska zapraszała do pisania. Stała tam od paru godzin, niejeden już zadawał sobie pytanie, kto też będzie pierwszy na niej zapisany.

Bondarczyk zatarł ręce:

— No, widzę, że tu ludzie nie śpią, tylko robią.

Fabryka szumiała, obracały się tryby i koła pasowe, po tysiąc czterysta pięćdziesiąt obrotów na minutę robiły wirniki motorów elektrycznych, na transporter spadała krajanka. Józek przekrzykiwał hałas, rozmawiając to z tym, to z owym.

Na górze, w biurze technicznym siedział jeszcze kreślarz, Kazik Łapiński, i malował. Był to rodzaj tablicy, na której ruchome, dające się wysuwać i opuszczać deseczki obrazować miały przerób na poszczególnych zmianach. Tablica miała być gotowa dziś jeszcze, aby w nocy można ją było zawiesić w odpowiednim miejscu.

Dyrektor wyszedł na plac, po chwili wrócił, przeszedł się koło dyfuzji, saturacji, wszedł na półpiętro, gdzie stały błotniarki. Z kolei zajrzał do laboratorium, gdzie zastał Pawła myjącego ręce.

— No, i co, panie kolego — zwrócił się doń z ożywieniem — słyszałem, że pan osobiście chciał się przekonać o stanie automatów. Ciekawe, co pan stwierdził?

— Stwierdziłem tyle — odparł Paweł — że Grzesiaka, który te automaty sprawdził, jeszcze dziś każę wezwać do siebie. Od dwóch dni mielibyśmy z wyparką spokój, gdyby nie ten błazen.

— No, no, niech pan powie, co tam było?

— Zaraz, chwileczkę — jeszcze raz przejechał Paweł szczoteczką wzdłuż paznokci, potem zaczął wycierać ręce. Dopiero wówczas przeszedł razem z Kamińskim do gabinetu inżyniera Siewacza, mówiąc:

— Oczywiście, automat pod pierwszym działem zacinał się, raz kondensaty schodziły, a raz nie.

— Widzi pan, inżynierze, mówiłem: pierwszy dział! To musiało tam być. — Siewacz skinął głową, Paweł zaczął zaś tłumaczyć, jakiego to rodzaju była wada, jak ją zauważył i jak usunął. Ale przedtem jeszcze, nim zaczął mówić, zatelefonował na portiernię wydając polecenie, by posłano kogoś po ślusarza Grzesiaka. Wartownik widocznie powiedział, że jest już późno, bo Paweł rzekł do słuchawki: — No, to trzeba go z łóżka ściągnąć, cóż to, nie wiecie?

— Powiem ja mu parę słów, oj powiem!

— E, panie dyrektorze — zaśmiał się Siewacz — dziś panu dobry humor z oczu patrzy, zdaje się, że Grzesiak nie oberwie tak mocno.

— Proszę pana — odpowiedział Paweł — tak, jestem w dobrym humorze, bo udało mi się to draństwo wykryć. Ale to mi nie przeszkadza, żebym objechał niesumiennego pracownika .Tak samo, proszę pana, mogę być w najgorszym humorze, ale jak trzeba kogoś pochwalić, to go pochwalę.

— Ale to się panu rzadko zdarza — zauważył Kamiński. — No, niechże pan opowiada.

Wtedy dopiero wyjaśnił im Goryczan, co i jak było z uszkodzonym automatem.

— Z tego, co pan wicedyrektor mówi, wynika, że jednak Grzesiak mógł tego nie dostrzec — zauważył po wyjaśnieniach Pawła główny chemik.

— Nie, inżynierze — odpowiedział za Pawła Kamiński — nie ma pan racji. Faktem jest, że pan wicedyrektor potrafił znaleźć błąd, a on nie potrafił. To są dla mnie fakty, więcej mi nie trzeba.

— A teraz, panie inżynierze — rzekł na zakończenie Paweł — niech mi pan powie, którą z panienek mogę posłać do stołówki po kolację? Głodny jestem.

Dyrektor uświadomił sobie, że i on również nie jadł kolacji, mimo że żona dawno już dzwoniła. Przypominając sobie o posiłku ubrał się i wychodząc powiedział do Pawła:

— Panu, panie kolego, winniśmy wszyscy specjalną wdzięczność za troskliwe zajęcie się sprawą wyparki. Troskliwe i — powiedziałbym — do pewnego stopnia niecodzienne. Zechce pan przyjąć ode mnie serdeczne podziękowanie i wyrazy uznania.

Paweł tylko lekko skłonił głową, nie wiedząc, jak należałoby odpowiedzieć. „Niecodzienne“ pomyślał. „Jak to właściwie zrozumieć?“ Nieraz łapał się na tym, że odczuwa jakby zażenowanie a nawet niechęć, słuchając okrągłych zdań, którymi umiał i lubił posługiwać się dyrektor.

W ciągu paru chwil rozeszli się wszyscy trzej, było już dość późno. Paweł udał się do swego gabinetu. W biurze technicznym, przez które musiał przejść, natknął się na Łapińskiego.

— Co to takiego pan robi?

Łapiński wyjaśnił cały pomysł.

— Aha, dobrze — powiedział krótko Paweł.

Po chwili, gdy kończył kolację, w drzwiach ukazał się Grzesiak.

— Pan dyrektor po mnie posyłał, jestem.

— Tak, posyłałem — utkwił we wchodzącym skupione, poważne spojrzenie.

— Posyłałem. Pan się nie domyśla, dlaczego?

Nie, Grzesiak o niczym nie wiedział, nie mógł więc zrozumieć tego nagłego wezwania.

Przez długi czas opowiadano sobie o minie Grzesiaka wychodzącego z gabinetu wicedyrektora. Łapiński, który pracował w sąsiednim pokoju, nic nie słyszał, rozmowa musiała być cicha i spokojna, ale Grzesiak schodził ze schodów na pół po omacku, jakby był zamroczony.

Ludzie na fabryce już wszystko wiedzieli, bez trudu połączyli sobie wieczorną pracę Goryczana z wezwaniem Grzesiaka, a jego mina dopowiedziała resztę. Zaraz poczęto brać go na spytki, a choć nie chciał mówić, przecież zdołano wyciągnąć zeń to i owo.

Z czasem, gdy dalsze wypadki przesłoniły trudności pierwszych dni kampanii, zapomniano prawie o wyparce i automatach — ale wystarczyło, by ktokolwiek wspomniał o przygodzie Grzesiaka, o jego czerwonych policzkach, bladym i spoconym nosie i mętnym wzroku, a wszyscy zaczynali się śmiać i ci, co widzieli i ci, co nie widzieli nieszczęsnego ślusarza w ów niemiły dla niego dzień.

Było już późno, pracowała trzecia zmiana.

Paweł przeszedł przez fabrykę, ale nie zatrzymał się długo na żadnej stacji. Przystanął dopiero koło wyparki.

Majster ukłonił się i z uśmiechem powiedział:

— Dobrze teraz gotuje, proszę pana dyrektora.

— Zobaczymy — odrzekł Paweł, marszcząc po swojemu brwi. — Zobaczymy — powtórzył raz jeszcze ciszej, jakby do siebie.

Przy wyparce stał trzy godziny.

W turbinowni podniesiony głos Bondarczyka wybijał się już ponad szum turbiny.

— Więc jak ty myślisz, chłopie — krzyczał Józek do stojącego obok Niegockiego — że fabryka kręci się sama? że na jedno idzie, czy ludzie się starają, czy nie? Jak ty myślisz?

— To powiedz mi, kto się miał starać, żeby ten tryb wczorajszy nie nawalił, no?

— Kto wie, może gdyby w czasie remontu ktoś go dobrze sprawdził, to by zobaczył jakie rysy.

— Żadnych rys nie było.

— Skąd wiesz? A jak nie było, no to trudno, nazywa się wypadek. Ale Stawik mógł zakładać nowy trzy godziny albo godzinę i pół, nie? To jest różnica.

— Jak się coś stanie, to wiadomo, że można zrobić prędzej albo wolniej. Ale tak, przy zwykłej robocie — gdzie tu masz swoje współzawodnictwo? Każdy robi swoje, z kim ma iść na wyścigi?

— Widzisz. Każdy robi swoje, mówisz. Ale robić można przecie źle, dobrze albo jeszcze lepiej. Każdy musi jak najsumienniej robić, co do niego należy.

— Tak. I jak zmierzysz mu tę normę czy co?

— Nie, dlatego nikt u nas nie ma wyznaczonej normy dla siebie samego. W innych fabrykach to jest możliwe, u nas nie. Wiemy wszyscy, że normę ma tylko cała cukrownia.

— Więc też mówię, że nie mogę zrozumieć, czym każdy jeden może się do tego dołożyć? Powiedz mi, Józek, co ja mam robić — tu, przy tej tablicy rozdzielczej, żeby dziś przerób był większy?

Bondarczyk zastanowił się chwilę. Tak, w rzeczywistości, oni tu obaj, jeden przy tablicy, drugi przy turbinie, na przerób bezpośredniego wpływu nie mieli. Ale czuł, że jednak w jakiś sposób biorą udział w tym zbiorowym współzawodnictwie, że są jednym z jego ogniw. Jak to wyjaśnić, jak ująć w słowa gorące wewnętrzne przekonanie? Sprzeczali się właśnie cały czas z Niegockim. Maniek nie wierzył, by wysiłek poszczególnego robotnika mógł odegrać jakąś rolę w osiągnięciach fabryki. Powodzenie czy niepowodzenie, osiągnięcie normy czy jej niedotrzymanie chciał zwalać na jakieś nieuchwytne przyczyny, na „fabrykę“ jako coś odrębnego od pracowników. A tak nie mogło być, Józek rozumiał, że „fabryka“ — to suma ich wysiłków i że każdy ma jakiś udział w jej gorszym biegu.

— A i ty — Niegocki dalej przekrzykiwał hałas — ty tu się, bracie, wściekasz, drżysz o współzawodnictwo, a jak przyjdzie co do czego, to co ty poradzisz? Podniesiesz przerób?

— Ja się jeszcze i w inny sposób staram o fabrykę.

— Że latasz jak kot z pęcherzem po zmianie i na zebraniach gadasz? Nie każdy jest taki frajer, żeby dwie szychty na dzień robić. Fajranty ci może za to zapłacą?

— To ty jesteś frajer, jeżeli twoim zakutym łbem nie możesz pojąć, że ludzie czasem nie dla grosza coś robią. I że nie możesz tego wszystkiego zrozumieć.

— Ja chcę, żebyś mi wytłumaczył, co mam tu robić. No już, gadaj, a ja zaraz zaczynam wyścig pracy. Już współzawodniczę, no — tu — Niegocki począł zawijać rękawy.

— Głupi jesteś i tyle — mruknął Józek, ale zaczęło mu coś właśnie układać się w głowie.

— Słuchaj — rzekł po chwili — po co ty tu właściwie przy tej tablicy stoisz? Czy jesteś tu potrzebny?

— Ja? No chyba, że gdybym był niepotrzebny, to by mnie nie postawili.

— Albo, powiedzmy lepiej, ja. Bo ciebie, to już niech diabli wezmą. Może naprawdę jesteś niepotrzebny.

— No, no, ty, Józek!

— Bo mnie zgniewałeś. Więc powiedz, po co ja tu jestem?

— Jak to po co? Musi być ktoś przy turbinie.

— A gdyby mnie tu nie było?

— To byłby ktoś mądrzejszy.

— Nie wygłupiaj się. Więc mówisz, że ktoś przy turbinie musi stać? A co ten ktoś ma robić?

— Co robić? A pilnować turbiny, patrzeć na wszystkie zegary.

— Patrzeć, to mało. Ja tu muszę widzieć wszystko i wiedzieć, co się w turbinie dzieje. A jakby tylko coś zaczęło nie tak iść, jak powinno, to ja muszę już zaraz coś zrobić: raz przykręcić, raz odkręcić, a jakby co, to i mechanika zawiadomić albo zmianowego, albo chłopaka do kotłowni posłać, jakby para spadła. Ja jestem na coś potrzebny, no nie? A gdybym nie dojrzał, nie zauważył czegoś w porę, to myślisz, że co? że przerób mógłby nie spaść? W ogóle całą kampanię mogliby diabli wziąć, jakby coś w turbinie nawaliło. Tak samo i ty: patrzysz tam na swoje zegary, a niech się coś gdzieś zrobi, a ty akurat tego nie dojrzysz, to i generator może szlag trafić, jak co do tego przyjdzie. I co, przerób nie spadnie? Skończy się, nie tylko spadnie! Nasze współzawodnictwo, to ciągła uwaga, uwaga. To jest, widzisz, o: zapobieganie, żeby czegoś złego nie było.

— A tak i wychodzi, że my tutaj przerobu nie podwyższymy.

— No, ale przez nas mógłby się obniżyć, gdybyśmy źle pracowali. Tak jak u nas, to idzie nawet na piętnaście tysięcy. I damy radę. A gdyby każda stacja powiedziała: u mnie idzie na piętnaście tysięcy, no to znaczy, że fabryka robiłaby piętnaście.

— Czego to ci się zachciewa!

— Nie, ja tylko tak mówię. Więc co, rozumiesz, że każdy może się czymś do współzawodnictwa dołożyć?

— No, gadać, to cię już tam gdzieś wyuczyli.

— Oh, ty głupi! — Józek myślał, że nie wytrzyma. „Nauczyli!“ Ledwie że pierwszy raz zdarzyło mu się, że tak naprawdę swoje własne myśli ubrał jakoś w słowa, a taki mówi „wyuczyli“. Machnął ręką, odstąpił parę kroków. Czy to warto przekonywać takich jak Niegocki? „Tak — odpowiedział sobie zaraz — warto, ale nie tylko mówieniem. Samo mówienie nikogo nie przekona. Nie mówieniem, lecz własnym

przykładem przekonywać warto — i przekonać ich wszystkich musimy.“ A już specjalnie chciałby Józek przekonać właśnie Niegockiego. „Jakże — razem tu pracowali, w jednym byli wieku, dlaczego mają się sprzeczać, a nie wespół troszczyć o dobro fabryki? Czy doprawdy ten chłopak nie może być taki jak oni wszyscy? Tak, jego warto przekonać.“

Niegocki zaś jeszcze dorzucił:

— Ale gadaj se, gadaj! A cała fabryka i tak z tego waszego współzawodnictwa się śmieje.

Bondarczyk nic już nie odpowiedział, spoważniał, zamyślił się. Machinalnie spojrzał na wskazania wszystkich termometrów na łożyskach, myśląc jednocześnie, że Maniek ma trochę racji. Co prawda nie cała fabryka, ale rzeczywiście byli tacy, którzy ze współzawodnictwa śmiali się, pokpiwali sobie. Czemu? Z głupoty tylko, z nieświadomości i głupoty. Nasza to wina — pomyślał dalej z przykrym uczuciem, że czegoś nie dopełnił, zaniedbał — my, Rada Zakładowa, aktywiści i partyjni, związkowi za mało ludzi uświadamialiśmy, za mało pouczyliśmy, co to jest współzawodnictwo, na czym polega i jakie daje korzyści. I szkolenie ideologiczne u nas nawalało. W nawale pracy przedkampanijnej o niejednym zapomnieliśmy, a to mści się teraz obojętnością ludzi na sprawy ważne, podstawowe. To, co się parę razy mówiło, to były oklepane zdania, nie robiące na nikim wrażenia, zdania wyczytane gdzieś, wielokroć powtarzane. A tu trzeba po swojemu, ale z głębi serca, z własnego rozumienia, z własnym nie kłamanym przejęciem.

Tak, powinni byli stanowczo więcej uwagi zwrócić na wewnętrzne nastawienie załogi. Tu każdy musi rzeczywiście czuć się współtwórcą kampanii, współgospodarzem fabryki, odpowiedzialnym za coś więcej niż ten drobny wycinek pracy, jemu bezpośrednio powierzony. Trzeba wszystkich zainteresować sytuacją całości cukrowni, potrząsnąć jakoś, zelektryzować.

Józek począł sobie układać, co powie na jutrzejszym zebraniu. Bo powiedzieć musi, śmiali się wszyscy, że nie ważne jest zebranie, na którym nie odezwałby się Bondarczyk. „Niech będzie, powiem im i jutro. Zwyczajnie, po swojemu.“

Było już bardzo późno, ci, co nie pracowali na trzeciej zmianie, spali od dawna — ba, niedługo nawet będą musieli wstawać. A Goryczan dopiero odszedł od wyparki. Szedł do swego gabinetu zmęczony i zły. Gdyby był ślusarzem czy śrubownikiem miałby prawo do zadowolenia, bo wyparka od czasu jego interwencji działała sprawnie, bez zarzutu. Cóż jednak, kiedy znowu coś innego przeszkadzało. Paweł dokładnie nawet nie wypytywał się, co to było, bo nie chciał odrywać uwagi od wyparki, którą musiał gruntownie wybadać. Faktem jest, że stali pół godziny. Nie było mowy o tym, aby do rana odrobić wszystkie zaległości. To będzie piąta doba kampanii i po raz piąty norma nie zostanie osiągnięta.

Wszedł do gabinetu, chciał tylko włożyć płaszcz i iść do domu. Czuł, że dziś znowu się nie wyśpi, ale nie wyszedł od razu.

— Przynajmniej pięć minut — mruknął, wyciągając książkę i słownik.

Słownik był niemiecko-polski, książka — niemiecki podręcznik technologii cukrowniczej. Język niemiecki znał Paweł nieco z okresu, kiedy przebywał w Rzeszy na robotach. Postanowił teraz poznać go bliżej, wiedząc, że w tym języku istnieje bardzo obszerna literatura fachowa. Jeszcze przed nominacją na wicedyrektora przyrzekł sobie, że codziennie choć trochę poczyta po niemiecku. Dotychczas przestrzegał tego ściśle, tym bardziej że widział zarówno postępy w opanowaniu języka, jak pożytek z lektury.

Więc i teraz, żeby nie robić wyjątku, między godziną trzecią a czwartą w nocy zasiadł do tego, co nazywał swoją nauką.

Na fabryce Sojecki, człowiek starszy i dobrze już szpakowaty, biegał z energią dwudziestoletniego młodzieńca. Dopiero co był na płuczce, a już go widziano przy saturacji. Skoczył na błotniarki i wracał do dyfuzji. Niedawno powiedział mu Goryczan:

— Niestety, choćbyśmy do końca zmiany nie wiem jak jechali, już się nie da normy zrobić. Chyba że — ale nie, proszę pana, cudów nie ma.

— Nie ma cudów, panie dyrektorze.

Naraz Goryczan rzucił się:

— Czemu pan po mnie powtarza? Pan właśnie powinien mi powiedzieć, że są cuda. Nie mówić, tylko pokazać. No, panie Sojecki, niech no pan zrobi cud.

Sojecki zawziął się. Co, pod włos chce mnie wziąć? Dobrze, ja mu pokażę, co tu jeszcze można zrobić. Rzeczywiście, od przeszło godziny fabryka szła bez zarzutu. Na wszystkich stacjach było pusto, każda mogła przyjąć wszelką ilość soku. Tylko krajać buraki, krajać, krajać...

Toteż krajali. Ze spławiaków rwał nieustanny strumień wody, niosącej buraki. Automatyczna waga wyrzucała swą zawartość do krajalnic, dyfuzory ładowano jeden po drugim bez przerwy, bez ustanku. Pilnował tego sam Sojecki, pilnował dyfuzmajster Pawliczka, klaszcząc tylko dłońmi na swoich pomocników i mrużąc oczy krótkowidza.

Gonili, wszystko szło dobrze, ale o szóstej rano Sojecki nie potrzebował nawet czekać na chemika, który poszedł odczytać licznik wagi. Z ilości dyfuzorów wiedział, że cudu nie udało się zrobić.

Do normy brakowało niecałych stu kwintali.

— Ale za swoją zmianę normę zrobiliśmy — powiedział swemu pomocnikowi, Olesiowi Kabale.

— Przynajmniej będziemy mieli czym się pochwalić na dzisiejszym zebraniu — odrzekł Kabała.

— Ach, racja, to zebranie dzisiaj. O której to dla nas?

Aktywiści partyjni lubili potem mawiać, że to zebranie — a raczej dwa: jedno dla drugiej zmiany i następne dla pierwszej i trzeciej — przeszło do historii cukrowni. Zapewne przesadzali w tym nieco, trzeba jednak przyznać, że zebrania te zaważyły na ustosunkowaniu się załogi do aktualnych zagadnień fabryki.

Nie były to zebrania podobne do innych, z długimi referatami i dyskusjami. Przypominały raczej odprawy żołnierskie. Jakby dowódca zebrał swój pluton i wyjaśniał mu zadania bojowe. Każdy musiał sobie jasno uświadomić, że wymaga się od niego czegoś więcej niż od innych robotników. Niektórzy po raz pierwszy uświadomili sobie — choć słyszeli to już nieraz — że przynależność partyjna nie pociąga za sobą większych przywilejów, lecz większe, znacznie większe obowiązki.

Wychodzili z zebrania z poczuciem swej wielkiej odpowiedzialności.

Nie można powiedzieć, żeby natychmiast buchnął płomieniem jakiś entuzjazm pracy, chęć niezwłocznego, nadzwyczajnego czynu, żeby wszystkich ogarnął nagły zapał. Rozchodzono się w atmosferze powagi, nie podniecenia. Myślano nie o efektach, lecz każdy ważył usłyszane słowa, mierzył wielkość obowiązku, porównywał ze swymi siłami. Trzeba było to wszystko jeszcze przegryźć, przetrawić, przyswoić sobie.

Nie można też powiedzieć, żeby wszyscy wyszli z zebrania całkowicie przekonani. Było paru takich, którzy jak zwykle na wszelkie wywody, jedną mieli w duchu odpowiedź: „a gadaj sobie zdrów". Ale mówili to już z mniejszym przekonaniem. Wkrótce łapali się na tym, że w ich dość niefrasobliwym stosunku do pracy zachodzą zmiany.

W każdym razie jedno jest pewne: większość tych, którzy z poważnymi twarzami wychodzili z zebrania, okaże się niedługo tym, co chce w nich widzieć partia: spoiwem fabryki i wzorem dla innych. O to właśnie na zebraniu chodziło i to im tłumaczono — by oni, towarzysze partyjni rozsiani po wszystkich oddziałach, tworzyli kościec fabryki, tworzyli pewną, silną podstawę wszelkich poczynań.

Dyrektor Kamiński z Goryczanem z zebrania przeszli na fabrykę. Na głównej hali, na balustradzie okalającej półpiętro błotniarek, wisiała duża, świeżo pomalowana tablica. Na niej czerwieniły się lśniącym lakierem trzy słupki niejednakowej wysokości. Najwyższy, pod którym był podpis „I zmiana", sięgał cyfry „4000". Parę minut po drugiej posunął go do tej wysokości Jańczak.

W chwili kiedy Jańczak rozpromieniony osiągniętym sukcesem szedł już do domu, na tablicę spoglądał dyrektor ze swym zastępcą. Obaj nie mieli rozpromienionych twarzy. Jedna dobra zmiana — zbyt nikły był to jeszcze sukces, aby cieszyć się nim specjalnie. Goryczan obawiał się ciągle, by się znowu coś gdzieś nie popsuło. Wiedział zresztą, że nawet w razie pomyślnego przerobu długo będą czekać, zanim średnia od początku kampanii dojdzie do normy. Kamiński patrzył na tablicę, myśląc już o czymś innym: ciągle trwały trudności z dostawą, plantatorzy zwozili za dużo buraków, składy przysyłały za dużo wagonów. Na bocznicy cukrowni tworzyły się zatory, to znowu hamowało wysyłkę wysłodków, które tylko częściowo mogły być suszone, gdyż cukrownia posiadała niezbyt dużą suszarnię. Póki przerób szwankował, suszarnia odbierała prawie wszystkie: niewielką ilość mokrych wysłodków odwozili plantatorzy furmankami. Wystarczył wszakże jeden dzień zbliżony do normy i jedna zmiana ponad normę — trzeba było poważnie pomyśleć

o wagonowej wysyłce mokrych wysłodków. W tej chwili nie stanowiło to jeszcze problemu, ale Kamiński musiał wybiegać myślą naprzód i troszczyć się zawczasu.

Powoli szli z Goryczanem schodami w górę, myśląc, że choć trudności pierwszych dni mają już może za sobą, prawdziwa walka jest dopiero przed nimi.

Mirosław Kowalewski

„Kampania znaczy walka" Mirosława Kowalewskiego ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik".

BARBARA RAFAŁOWSKA

„Pałeczka“ Adolfa Rudnickiego czyli o pięknej sztuce pisania

„Książki, które są tylko książkami, straciły rację bytu. Naszym czasom potrzebne są książki-czyny.“

Zdanie rzucone przez Rudnickiego jako zakończenie „Pałeczki“ miało być wyznaniem wiary pisarza, dla którego „piękna sztuka pisania“ była zawsze problemem zasadniczym, wysuniętym niejako na czoło jego twórczości. Tytuł tomu „Szekspir“, tytuł „Ucieczka z Jasnej Polany“ jakże są wymowne! Problem pisarza, problem pisarstwa: tutaj największa indywidualność twórcza Odrodzenia, ten pierwszy, jakby powiedział Rudnicki „grybler“, drążący duszę nowego człowieka, humanista, żywe uosobienie prężności i drapieżnej siły wschodzącej klasy mieszczańskiej, wyzwalającej się spod konwencjonalizmu feodałów i klechów — by dać świadectwo prawdzie i pokazać świat i człowieka we właściwych wymiarach; tam Tołstoj, jeden z wielkich, ostatnich „gryblerów“ tej klasy, który widział zbliżający się zachód, rozkład burżuazji, a nie mogąc uratować jej dla przyszłości, nadał swej epopei charakter powieści z tezą, szukając poza nią ratunku. Rządzą już nie ludzie — rządzi przeznaczenie. Cała powieść jest ilustracją tej tezy, a z wielkich bohaterów szekspirowskich — pozostały pionki, kierowane niewidzialną, wszechmogącą ręką. Wielki „grybler“ i wielki realista, który wbrew sobie dał przecież w „Wojnie i pokoju“ zwierciadło narastającej rewolucji*), rewolucji, której ani odsunąć, ani zapobiec nie mogła ta właśnie wszechmocna tołstojowska ręka przeznaczenia.

Szekspir i Tołstoj znaleźli się w tytułach i treści książek Rudnickiego — jeden otwierający, drugi zamykający drogę burżuazji jako klasy.

Znaleźli się jednak nie jako bohaterowie tej swojej roli w historii, lecz jako wzory pięknej sztuki pisania, tej właśnie „ars scribendi“,

*) Lenin o literaturze — Książka i Wiedza. R. 1949.

przed którą korzy się Rudnicki, kiedy jako bohatera opowieści wprowadza Tomasza Manna („Ucieczka z Jasnej Polany").

„Piękna sztuka pisania", „Kartka znaleziona pod murem straceń", „Szekspir", „Ucieczka z Jasnej Polany", „Pałeczka" — to wciąż powracające zagadnienia sztuki oraz jej stosunku do rzeczywistości, pisarza oraz jego roli w społeczeństwie.

W ogniu wojny, w wyziewach krematoryjnych dymów — to zagadnienie wyraziło się w krzyku „by z literatury nie biła duszność papierów porzuconych na strychach" („Kartka znaleziona pod murem straceń"), by „refleks wielkich pożarów nie odebrał stronicom czytelności" (j. w.) — wyraziło się w wołaniu o literaturę, która będzie współodpowiedzialna za to, co się dzieje.

W obliczu hitlerowskiej zarazy grożącej zniszczeniem kultury, rozpętaniem najciemniejszych sił skazanej na zagładę i broniącej swych ostatnich stawek burżuazji — Rudnicki wołał o literaturę, która miałaby być orężem w walce.

Teraz, kiedy granica dwóch światów wyznaczona przez rok 1917 zaostrzyła się jeszcze bardziej, kiedy kula ziemska od Chin aż po Niemiecką Republikę Demokratyczną tętni od „miarowych kroków żelaznych batalionów proletariatu" *), kiedy słowo pisarza powinno mieć siłę taranu burzącego ostatnie reduty kapitalizmu — Rudnicki hołduje takiej koncepcji sztuki, która musi odejść wraz z ginącym światem burżuazji. „Po roku pokoju widziałem oto, że sztuka stała się akurat taka, jaka była od tysiąca lat: samowolna, dzika, kapryśna, kładąca akcenty tam, gdzie się jej podoba, na drobiazgach, na głupstwach, pisząca sobie swoją historię. I widziałem już, że nie ma właściwie na to rady. Stygła pamięć o okropieństwach. Świat znów domagał się piękna" („Szekspir"). Pojęcie sztuki, która jest celem sama dla siebie, która jest ahistoryczna, rządzi się własnymi prawami, stwarza wyabstrahowany świat piękna — tkwi korzeniami w przynależności klasowej pisarza burżuazyjnego, który nie chciał patrzeć prawdzie w oczy, nie potrafił rozwikłać sprzeczności kapitalizmu i odchodził w świat tzw. czystej sztuki.

Twórczość Rudnickiego jest tego zaprzeczeniem. Zaprzeczeniem są wstrząsające obrazy zaniku człowieczeństwa w obrazach „epoki pieców" — wstrząsające właśnie jako dokument. Wstrząsający i mobilizujący do walki jest „Koń", utwór, w którym los jednostki walczącej o budowę socjalistycznego świata jest węzłowym i decydującym zagadnieniem współczesności. Wstrząsająca jest „Ucieczka z Jasnej Polany", w której dusza poety staje się terenem walki o losy narodu.

W „Pałeczce" to, co można by nazwać teorią sztuki jest na pozór zgodne ze szczytowymi osiągnięciami twórczości Rudnickiego. I kiedy mówi, „że z tysiąca przeżyć należy dzisiaj wydobyć te, które pozwolą człowiekowi okrzepnąć, a nie te, które go mogą rozbić, te które mogą mu pomóc, a nie tylko zanotują" — to wydaje się, że Rudnicki trafił

*) Lenin: „Najbliższe zadania władzy radzieckiej" v. 27, 4 wyd. ros.

w sedno, że walka o nową sztukę jest walką z naturalizmem jako metodą pisarską, walką o wielką sztukę realistyczną, sztukę wychowującą, która stanie się dla człowieka drogowskazem.

Kiedy twierdzi, że „w każdej dziedzinie mamy osiągnięcia, a w literaturze — co tu ukrywać — nie!“, kiedy konfrontuje literaturę z osiągnięciami nowej rzeczywistości i zestawia milion dzieci wysyłanych na kolonie letnie — z literaturą, „która nie przystaje albo tak, że nie warto mówić“, kiedy zagadnienie budownictwa i postaci Szeligów i Krajewskich wysuwa jako wzór — to wydawać by się mogło, że akcent pięknej sztuki pisania przesunął się z zagadnienia „jak“ na zagadnienie „co i jak“, że wyszedł Rudnicki z zaklętego koła „drążenia“ chorej ludzkiej duszy.

Tak nie jest. Te wyznania — to **relacja** z dyskusji, którą **obiektywnie** przytacza autor, to ciągle jeszcze mocowanie się o tę autonomię sztuki, której broni „napór tysiącletniej tradycji, brak, jak sądzimy, fascynacji niektórych tematów, to, że sztuka nie da się nakryć rzeczywistości, jak czajnik poduszką... „Nie powiedziałem mu nawet, że słowo **nadążać** jest bez sensu w sztuce.“

I to jest właśnie charakterystyczne: obiektywna relacja Rudnickiego jest mimo wszystko jednoznaczna z apologią sztuki, która nie da się „nakryć rzeczywistości“, z apologią sztuki, która nie musi za tą rzeczywistością nadążać.

Przeciwnie, według koncepcji Rudnickiego, to raczej rzeczywistość musi dorosnąć do tej wielkiej sztuki, to ona właśnie staje się wyznacznikiem życia. Dwutorowość „Pałeczki“ jest tego wyrazem. Cytaty z „Każdemu“, przetykające akcję, a raczej dialogi, cytaty, ociekające poezją — jako codzienny język bohaterów są tego świadectwem. Wysublimowana poezja i brud życia — to zawartość wewnętrzna „Pałeczki“.

Poezja i życie, odmienność, inność nurtu zasady życia i zasady twórczości („Ucieczka“), to geneza stosunku Rudnickiego do wymogów dotyczących sztuki współczesnej. I kiedy płaski fragment ma być wzorem tej sztuki współczesnej, w której „w dziesięciu wierszach masz wszystko: przepada, ginie stary świat, burżuazja drży w rozkładzie“ — to widać, że okres książek z rozszczepianiem włosa na czworo jest dla Rudnickiego tą sztuką prawdziwą. Kiedy daje fragment, dotyczący robociarza, operując sztampami w rodzaju: robociarz nie zwraca uwagi, że deszcz ścieka mu z kapelusza, głaszcze nurek, zadowolonym wzrokiem wodzi po swoich murach, wspólne święto łączy itd. — to jest to świadectwem, że Rudnicki widzi w sztuce współczesnej jedynie jakąś dziwną faktografię, spłycenie albo nawet wyzbycie się wszelkich przeżyć duchowych, naiwność i pustkę, jałową publicystykę. Te twory, to jedynie „fragmenciki“ do gazet, jest w nich wszystko, nie ma tylko literatury.

I znowu przeciwstawieniem tych „fragmentów“ mają być według Rudnickiego przetykające tekst „Pałeczki“ wyjątki z „Każdemu“ (mło-

dopolska rozpoetyzowana magia słowa), w których piękny styl ma być wyrazem głębi treści.

Wołanie Rudnickiego o książki-czyny, wołanie o nową literaturę z nowym bohaterem ma w „Pałeczce“ żywe kontrargumenty i żywe kontrprzykłady. „Pałeczka“ jest ich zaprzeczeniem.

Stosunek Rudnickiego do sztuki w ogóle i literatury w szczególności pozostaje w ścisłym związku ze stosunkiem do pisarza. I tutaj pozostaje Rudnicki w zasięgu poglądów, które tkwią korzeniami w przeszłości, które może najsłuszniej należałoby umiejscowić w okresie romantyzmu czy neoromantyzmu. Prymat sztuki pociąga za sobą eksponowane stanowisko pisarza, „który musi być swoją własną artylerią i piechotą, flotą morską i powietrzną, wojskiem pancernym i intendenturą, i Bóg wie jeszcze czym“. Pisarz-samotnik, „który musi broczyć w swej samotni, aby krew była krwią“ („Ucieczka“). I tutaj stoi Rudnicki na stanowisku, które już przeszło do historii. To ginąca burżuazja kazała swym pisarzom zamknąć się w sobie, by nie widzieli prawdy ostatnich zmagań tej klasy ze zwartymi i rosnącymi szeregami proletariatu, to burżuazja chciała zrobić z poety-artysty kapłana, który w oparach kadzideł na cześć sztuki i pisarza miał zamknąć oczy na krew robotników, zalewającą bruki wielkich miast. To burżuazja kazała poecie odseparować się od „czerni“, od „tłumu“, bo bała się pisarza i jego roli w szeregach robotniczych. Stąd piedestał, na którym ustawiono poetę.

I kiedy Rudnicki stwierdza, że „dzisiaj artysta jest postacią w poszukiwaniu autora, postacią do napisania — artysta to największy temat współczesny“ — to akcentując największy, pozostaje pod sugestią tamtych poglądów. Nie przeciwstawił bowiem temu poglądowi żadnego, z którego wynikałaby nowa, twórcza rola poety w społeczeństwie, poety, który ramię przy ramieniu z całą armią ludzi pracy posuwa się w przyszłość, którego twórczość pomaga żyć i walczyć.

Czyżby Rudnicki nie widział tego w otaczającej go rzeczywistości? Czyżby nie odczuwał patosu tej chwili dziejowej, której dzień każdy jest szturmem przyszłości? Środowisko przedstawione w „Pałeczce“ podsuwa odpowiedź negatywną. Obraz środowiska artystów, dziennikarzy, pisarzy, całkowicie oderwanego i zamkniętego w sobie, odizolowanego od nurtu życia jakimś chińskim murem jest obrazem fałszywym. Środowisko to w ujęciu Rudnickiego zatraciło cechy ogniwa, które zespala i jest zespolone, stało się klanem ekskluzywnym, zapatrzonym na podobieństwo indyjskich yogów we własny pępek i stamtąd czerpiącym swe natchnienie. I jeżeli tak ich widzi Rudnicki, jeżeli bieg ich życia — to przespane dnie i pijacko-rozpustne noce, jeżeli kobiety, to tzw. puchary przechodnie, żony — plenipotentki handlowe swych mężów, mężowie — marionetki w ich rękach, maniacy drobiazgów lub niewolnicy, pławiący się w wyimaginowanych mękach miłości, wyznający, że „ona potrafi odmienić bieg mojego morza, że chlebowi memu może przywrócić smak“, tak dalecy od biegu życia, tak doskonale obojętni, „że tyle w nich życia, ile w kręgu zapachu jej włosów, sukni“ — to obraz ten jest fałszywy nie tylko przez swe odizolowanie.

Jest fałszywy merytorycznie. Środowisko nierobów, filistrów, plotkarzy i plotkarek, tworzących i rozbijających trójkąty, bagno ambicyj, ambicyjek, wzajemnego tępienia się i zagryzania nie jest środowiskiem świata pisarskiego. To jakaś deformacja wywodząca się z tego, z czym walczy sam Rudnicki, z **notowania** poszczególnych faktów, które nie tylko nie dorosły do jakiegoś uogólnienia, które nie tylko nie są typowe — lecz są jego zaprzeczeniem. To bagno przerosło berentowskie „Próchno", a przecież już dla Berenta było ono próchnem. Przy czym tamten świat cyganerii miał swą wyraźną genezę: narastanie fali rewolucyjnej w latach 1901—1904*), epatowanie i negowanie świata burżuazyjnego i jego moralności — bez angażowania się w szeregi walczącego proletariatu.

Miejsce pisarza obecnie jest jasne, jak jasny i niedwuznaczny jest cel jego twórczości. Pisarze są współtwórcami nowej rzeczywistości, są w marszu wraz z całym światem pracy. Nie zmniejszyło to w niczym ich głębi duchowej, przeciwnie — zbogaciło ją w dumę człowieka, tworzącego wartości nieprzemijające i trwałe, jak trwała i nieprzemijająca jest prawdziwie wielka sztuka.

Słowa Rudnickiego „przed nami nowy, codziennie inny, codziennie zmieniony świat a w środku my, generacja skazana na to, żeby się podłożyć pod wóz historii i ani jęknąć, generacja kompost" — są paszkwilem na pisarzy w ogóle i na siebie w szczególności.

„Pałeczka" w rozwoju duchowym Rudnickiego jest w pewnym sensie nawrotem do zagadnień, które znalazły swe odbicie już w poprzedniej jego twórczości. Dotyczy to nie tylko zagadnienia sztuki i pisarza: „Pałeczka" miała być książką o miłości i ten motyw powtarza się również w twórczości Rudnickiego i występuje na ogół w podobnej formie. Następuje tu tylko pewna wariacja motywu. Dzieje Krzysztofa i Pauliny, Gabriela i Pałeczki — to wariacje motywu „Niekochanej", to ustawiczne mijanie się i niemożność porozumienia się dwojga naprawdę kochających się ludzi, to znowu jakaś romantyczna koncepcja kochanków przeznaczonych dla siebie, a skazanych na wieczną tęsknotę. Miłość, która ma być solą życia, której „strzęp" miałby wystarczyć ludziom znużonym okropieństwami wojny — zostawia po sobie pustkę, której obraz dał Rudnicki w „Pałeczce". Czysty nurt rozpłynął się w bagnisku trójkątów, w cieniach ludzi snujących się po ciemnych alejach ogrodu, w westchnieniach skierowanych w próżnię. I rzecz charakterystyczna, wracają nie tylko motywy, wraca miejsce, otoczone zawsze i niezmiennie tym samym urokiem: Kazimierz to Sady w „Pałeczce", Kazimierz to „Lato". Miejsce staje się ratunkiem, ucieczka, „nareszcie miejscowość, gdzie energii nie zużywa się na poskramianie ambicji, gdzie można odetchnąć po tutejszej stojącej wodzie; pejzaż, którym można się zachwycać, jak niegdyś w dzieciństwie". Romantyczna koncepcja ucieczki do natury, która, jak dla poetów romantycznych, była źródłem spokoju i natchnień. Czyżby w tym kierunku miała iść ewolucja autora „epoki pieców"? Czyżby to rozpłynięcie się w pięknie krajobrazu dawało gwa-

*) Historia WKP(b), rozdz. II.

rancję, że nigdy już nie powtórzy się „epoka pieców"? że nie powtórzy się tragedia starego Kazimierza, z którego pozostał jedynie właśnie pejzaż i nic więcej, i „tylko ten umarły rynek"? Czyżby to tylko potrafiło wyrwać z duszy pisarza okrzyk poznania: „znalazłem"?!

A przecież i tutaj jest to skłócenie wewnętrzne, świadomość, że „trzeba wyjść z grobów i zacząć żyć przede wszystkim dla tych chłopców", „że nie można żyć, jak relikwia pozostawiona przez historię, że nie da się żyć w popiołach". I tutaj mamy to skłócenie wewnętrzne, walkę świadomości z postawą emocjonalną — przeświadczenie o tym, jak być powinno w zestawieniu z tym, co jest.

„Pałeczka" jest jeszcze jednym przykładem lubowania się Rudnickiego w „drążeniu" ludzkiej duszy, jest jeszcze jednym przykładem, że pozostaje on pod urokiem poglądu, że „dramat pisarza jest zbyt trudny, zbyt wiotki, że jest to dramat, którego nikt nie zrozumie, że jest to dramat przed pustą widownią". „Pałeczka", to obraz walki w duszy Rudnickiego, to jeszcze dyskusja, dyskusja z samym sobą — nie decyzja. To właśnie obraz skłóconej duszy pisarza.

Opowiadanie o Pałeczce to, pod względem formalnym, fragmenty luźno spojone ze sobą przede wszystkim przez osoby działające. Nie ma tu konieczności takiego właśnie a nie innego uszeregowania, chociaż na pozór każdy następny fragment jest kontynuacją poprzedniego. W „Pałeczce" nic się nie **dzieje**, trudno byłoby określić linię akcji. W porównaniu z poprzednią twórczością Rudnickiego „Pałeczka" — pod względem formalnym — to **rozpad.** Nawroty do tej samej tematyki, obracanie się pisarza w zaklętym kole wciąż tych samych zagadnień, pociągnęło za sobą: 1. wyjałowienie samego tematu, co znalazło swój wyraz w zgniliźnie moralnej środowiska. 2. rozpad formalny. Dlatego właśnie lektura „Pałeczki" jest jeszcze jednym dowodem, dowodem negatywnym, że **rewolucyjna jest treść**, że ona właśnie burzy stare formy, przełamuje konwencję i stwarza formy nowe.

Rudnicki potrafił już w latach 1939—1940 odtworzyć tragedię wrześniową, („Blic") potrafił wysunąć węzłowe zagadnienie współczesności, widział perspektywy, drogę wiodącą w przyszłość („Koń"), Rudnicki wie, że „żyjemy w czasach wielkich zrębów, nie mikroskopu, nie zabawnych czy tragicznych szczegółów. Oby „Pałeczka", która w sferze tych zabawnych czy tragicznych szczegółów obraca się — była jego ostatnią książką, która nie jest „książką-czynem", a marzenie o ucieczce z Jasnej Polany o „wyskoczeniu z siebie", o „wskoczeniu w czyn" znalazło pełny wyraz w jego dalszej twórczości.

Barbara Rafałowska

ALEKSANDER JACKIEWICZ

Wiery Inber — droga do Leningradu

Było to w czasie Rewolucji Październikowej, po ewakuacji białogwardzistów. W wielkim, kiedyś dobrze urządzonym mieszkaniu, pozostała kobieta z kilkuletnią córeczką. Zajmowały one jeden pokój, który ogrzewano tym, co było pod ręką. Utrzymywały się ze sprzedaży różnych wartościowych rzeczy. Kobieta pisała liryczne wiersze i nic nie rozumiała z wielkiego dramatu, który rozgrywał się za oknami jej dobrze urządzonego niegdyś mieszkania.

Pewnego dnia zjawiło się dwóch marynarzy z nakazem zarekwirowania wolnych pokoi. Pani domu wprowadziła ich do salonu o szybach pokrytych grubą warstwą szronu; stał tam fortepian. W gabinecie szafa biblioteczna była otwarta i „półka Szekspira ziała bezkrwawą lecz śmiertelną raną".

Jeden z marynarzy, o oczach jasnoniebieskich i spokojnych „jak spirytus w barometrze, który wskazuje burzę" przyjrzawszy się szafie, zrozumiał od razu, o co chodzi.

— Książki palicie? — spytał. — Palicie książki? Rozgrabiacie narodowe mienie? Jakiego to pisarza spaliliście?

— Szekspira — odparła — Wiliama. Żył w XVI wieku.

— Tak. — Schylił głowę, z boku odczytując grzbiety książek. — Aleksandra Puszkina nie palić. Mikołaja Gogola nie palić. Michała Lermontowa także nie palić. Zrozumiano? — spytał odwracając się od niej szerokimi, sukiennymi plecami.

— Zrozumiano — odpowiedziała.

Na odchodnym marynarz wypisał swój rozkaz na kartce papieru, dodając jeszcze, aby fortepian stojący w zimnym salonie przykryć kołdrą lub dywanem. „Dalej było powiedziane, że fortepian to mienie narodowe i, że za każdą pękniętą strunę odpowiadam przed republiką, podobnie jak za cały mój majątek."

Tę scenę opisała Wiera Inber w swojej autobiografii zatytułowanej „Miejsce pod słońcem".

Zarówno spotkanie z marynarzem, jak i tytuł książki mają symboliczne znaczenie. Od chwili bowiem tego spotkania, dzięki któremu inteligencka poetka zetknęła się po raz pierwszy z przedstawicielem Rewolucji, zaczęło się jej poszukiwanie miejsca w nieznanym dotąd świecie.

Już w zakończeniu wymienionego utworu autorka decyduje się, na zlecenie redakcji jednej z radzieckich gazet, wyruszyć w podróż po kraju, aby pisać korespondencje o nowym życiu nowych ludzi.

Twórczość Wiery Inber dobrze znał radziecki czytelnik w okresie międzywojennym. Najbardziej pociągającą cechą tych wierszy i opowiadań była serdeczność, z jaką odnosiła się autorka do swych bohaterów i do otaczającej ją rzeczywistości. Pewien krytyk wyraził się, że Wiera Inber całym swoim dziełem stara się dać światu więcej ciepła.

Lecz mimo to autorka, której talent rozwijał się przed rewolucją w cieplarnianej, pokojowej atmosferze, której pełne liryzmu spojrzenie na rzeczy małe zostało zmącone wtargnięciem w jej życie nowej, rewolucyjnej epoki, we własnym odczuciu była wciąż poza głównym nurtem spraw rodzących się dokoła. Czuła się tu trochę jak gość, który nie wniósł nic do wspólnego dzieła.

Stąd z jej międzywojennych utworów przebija ton „poczucia niższości" w stosunku do opisywanych ludzi proletariatu. Radziecki krytyk, Helena Usijewicz, w swoim studium o Wierze Inber („Knigi i żyzń", Sowietskij Pisatiel, 1949) określa ten stosunek jako spojrzenie „z dołu ku górze". Takie spojrzenie, słusznie podkreśla krytyk, jest równie nieprawidłowe jak traktowanie tematu z wysoka.

W miedzywojennych utworach Wiera Inber nie potrafiła oddać całej skomplikowanej prawdy nowego człowieka. Jej proletariaccy bohaterowie są przeważnie z jednej bryły, nie przeżywają ani rozterek, ani załamań, są nieludzcy, bo jednostronnie potraktowani. Proletariusz Wiery Inber jest — jak to określa Helena Usijewicz — „dobrym wujaszkiem", który nie tylko potrafi urządzić swoje życie, ale bez trudu rozwiązuje wszystkie powikłania, w jakich znaleźli się po Rewolucji „bezradni i dziecinnie naiwni rosyjscy inteligenci".

Helena Usijewicz cytuje, niedoceniony jej zdaniem przez krytykę radziecką, wiersz Wiery Inber napisany w latach trzydziestych, w związku z rocznicą Rewolucji. Utwór nosi tytuł „Półgłosem". Autorka w bardzo prosty i trochę naiwny sposób, wyraża żal, że w Rewolucji nie brała udziału, że podczas gdy inni walczyli z bronią w ręku, ona pisała poezje „lirycznie tkliwym piórem".

Bardzo osobisty ton tego wiersza, jego ideologiczny sens i świadomość nie wypełnionego obowiązku, nie pozwalająca autorce mówić pełnym głosem o Rewolucji, jak to czynił Majakowski — rzuca jasne światło na obywatelską i twórczą działalność pisarki w okresie ostatniej wojny.

Podczas oblężenia Leningradu Wiera Inber napisała poemat „Południk Pułkowski“ oraz pamiętnik noszący tytuł „Prawie trzy lata“ (Pamiętnik ten ukazał się u nas w doskonałym przekładzie Ziemowita Fedeckiego pt. „Oblężone miasto“— Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik“, 1950).

Wraz z nową tematyką wtargnął do twórczości autorki zupełnie nowy ton. Fakt, że przeżycia ludzi radzieckich stały się w czasie wojny jej bezpośrednimi przeżyciami, że ich walka była równocześnie jej najbardziej osobistą walką, dał pisarce niejako „pełne prawa obywatelskie“ w rewolucyjnej literaturze.

Wiera Inber przybyła do Leningradu z końcem sierpnia 1941, a więc w momencie, gdy już nie ulegało wątpliwości, że miasto i jego mieszkańcy stoją w obliczu wielkiej próby. Krok poetki był krokiem świadomym, zdecydowała się na trudne doświadczenia, chociaż mogła być ewakuowana na wschód, w miejsce zupełnie bezpieczne.

Od tych dni zaczyna się heroiczny okres w jej życiu, opisany na przestrzeni prawie trzech lat. Pióro Wiery Inber straciło tu swoją liryczną tkliwość, kreśli ono obraz miasta w czasie głodu, kilkudziesięciostopniowego mrozu, nieustającego bombardowania i obstrzału artyleryjskiego, nieustępliwej walki orężnej.

Dojrzała w walce radziecka autorka, zrywa teraz z całą świadomością więź łączącą ją z dawnym, pełnym cieplarnianej urody, życiem. Przykład: Na jeziorze Ładoga, które zimą 1941—2 było jedynym pomostem łączącym oblężone miasto z Wielką Ziemią — ruszyły lody. Leningrad został teraz całkowicie odcięty od świata — oto twarda, wojenna rzeczywistość. „Jakże abstrakcyjnie — pisze autorka pod datą 9 kwietnia 1942 roku — brzmiały słowa — lód ruszył na Ładodze — w połowie maja zeszłego roku, kiedy wychodziliśmy z jasnego, ciepłego, pełnego muzyki teatru, gdzie czarowała nas powiewna Ułanowa w „Romeo i Julii“ i triumfowała Bałabina w „Don Kichocie“! Wychodząc z teatru, pijani muzyką, rogrzani ciepłym wdziękiem ruchów, zaczynaliśmy marznąć w oczekiwaniu tramwaju, otulaliśmy się płaszczami i ustawiali plecami do wiatru. Dokoła wszyscy mówili: — Lód ruszył na Ładodze. Dlatego tak zimno. — W naszej wyobraźni pojawił się jakiś wytworny, baletowy lód, cały w srebrze i kolorowych błyskotkach. Lód ten płynął kołysząc się i ginął w niebieskich falach. A teraz...“

Wojenny los tak całkowicie wchłonął autorkę, że gdy podczas blokady przybywa na krótko do Moskwy i ma możność nawiązania kontaktu ze swoim przedwojennym życiem, notuje w pamiętniku o Leningradzie: „Dopiero tu poczułam, jak jest mi drogi i bliski... Chcę w nim mieszkać, dzielić z nim jego losy, oddać mu wszystkie siły.“

W oblężonym mieście istniały — nazwijmy to — dwa kręgi rzeczywistości. Pierwszy krąg — to głód i mróz. Pióro Wiery Inber potrafi z wielką plastyką i prawdą oddać bohaterskie i trudne życie tych wielkich dni Leningradu.

„Co dzień przywożą tu na sankach osiemdziesiąt trupów i kładą na śniegu. Coraz mniej trumien: nie ma ich z czego robić. Trupy w prześcieradłach, obrusach, w kocach bajowych lub zszytych z gałganków

a czasem nawet w portierach. Pewnego razu widziałam niewielki, widocznie bardzo lekki trupek dziecka, owinięty w papier do pakowania i przewiązany szpagatem..."

W innym miejscu: „Na ulicach widuje się albo twarze błyszczące o nienaturalnie napiętej skórze (to obrzęki), albo zielonkawe i guzowate. Pod skórą nie ma ani odrobiny tłuszczu. Mróz ogryza te wyschnięte szkielety. Piszę te słowa i słyszę, jak koło mych nóg, w koszu na papiery, do którego wyrzuciliśmy przedtem okruchy chleba, szpera oszalała z głodu mysz..."

A oto drugi krąg życia — rzeczywistość zwycięstwa:

„Siadam do pisania wierszy dla „Prawdy Leningradzkiej" o partyzanckim taborze kołchozowym, który przebił się do nas przez wszystkie niemieckie ekspedycje karne. Przyszło ponad dwieście wozów z żywnością. Wszystko to potajemnie przedostawało się przez linię frontu."

W czasie swoich wyjazdów autorskich na pierwsze linie obrony — Wiera Inber szkicuje sylwetki bohaterskich szoferów, którzy pod ogniem niemieckich bomb przewożą po lodzie Ładogi żywność dla głodującego miasta; notuje wiadomość o fryzjerze, który, przydzielony do golenia sztabowców, nie wytrzymał i „uciekł na front", aby wziąć udział w boju; a oto słowa asa lotnictwa: „Odwaga... bohaterstwo... nigdy o tym nie myślę. Latam, żeby bić Niemców. Oto, o czym myślę. I biję ich."

Jakże się różnią ci radzieccy ludzie z pamiętnika leningradzkiego od „dobrych wujaszków" z międzywojennych utworów poetki. W pewnym miejscu pamiętnika czytamy o kobiecie-pilocie, z którą leciała autorka. Pilot na pożegnanie nie przyjął papierosów ani wina, lecz gdy Wiera Inber ofiarowała mu nie napoczętą kredkę do ust, „...mój pilot nie mógł się oprzeć i wziął kredkę, uśmiechając się z zażenowaniem."

Heroiczna rzeczywistość Leningradu opierała się nie tylko na ludziach walczących z bronią w ręku; w pamiętniku spotykamy naukowców i artystów, studentów, dzieci, z których każdy na swój sposób przebija się do zwycięstwa. Profesor Dżanelidze przeprowadza pokazową operację. Gdy niemieckie bomby zaczynają padać zbyt blisko i wśród zaniepokojonych studentów robi się zamieszanie, profesor przywołuje ich do porządku słowami: „Operacja jeszcze się nie skończyła." Młodzi naukowcy robią doktoraty w schronach. Studenci zdają egzaminy. Pewien profesor skarżył się na nich: „Trzeba nosić drzewo na opał, a oni zajmują się analizą ilościową." Filharmonia leningradzka jest czynna przez cały czas blokady, w oblężonym mieście Szostakowicz komponuje leningradzką symfonię, zeszłoroczny laureat Nagrody Stalinowskiej, Wiszniewski, pisze wraz z kolegami komedię muzyczną. Kilkuletni chłopczyk, płacząc z przerażenia, własnoręcznie gasi bombę zapalającą.

Ci ludzie, ich sprawy, w czasie lektury książki stają się nam bardzo bliscy. I oto wród nich wyrasta postać autorki pamiętnika. Nastąpiło zrównanie pomiędzy nią a otoczeniem. Pisząc o swoich ludziach, pisała o sobie, i na odwrót. Jej postać, odczytana w pamiętniku, nie jest mono-

litem, jest to żywy, prawdziwy człowiek, przeżywający lęki, upadki, ale odnoszący ostatecznie zwycięstwo nad sobą samym, nad swoim dawnym losem, nad swoją twórczością.

Charakterystyczna jest pierwsza próba ogniowa, jakiej poddaje się autorka na terenie Leningradu:

„Kilka dni temu siedziałam na stołku po środku sali szpitalnej i czytałam opowiadanie Gorkiego. Nagle zawyły syreny i zenitówki pokryły pociskami całe niebo. Wybuchła bomba, zadźwięczały szyby. Siedziałam na stołku bez oparcia: nie miałam nawet do czego przylgnąć. Ze wszystkich stron okna, okna... Ranni, ludzie bezradni, mimo woli patrzą na mnie, zdrowego człowieka: co będę robić. Wytężyłam całą swoją wolę; zaczekałam, aż ucichnie łoskot, i czytałam w dalszym ciągu, pilnując się tylko, żeby głos mi nie drgnął."

W ciągu trzech lat poetka wyjeżdża wiele razy na pierwsze linie frontu, przemawia na wiecach, czyta wiersze zagrzewające żołnierzy do walki, naraża się na wiele niebezpieczeństw: dostaje się pod huraganowy ogień, w czasie przejazdu przez Ładogę o mało nie zamarza, ratując się od śmierci ciepłem motoru samochodowego. W okopach, w zakładach pracy nawiązuje bliski kontakt z ludźmi walczącymi, jej przemówień radiowych słucha cały Związek Radziecki. W dniach głodu i wściekłych obstrzałów — pisze reportaże dla zagranicy, zaznajamiając świat z heroizmem miasta, pisze wiersze, pracuje nad poematem, pragnie, by „Południk Pułkowski" przemówił do ludzi prawdą i prostotą.

Odgrodzona przed laty od rzeczywistego nurtu życia — w dniach walki Wiera Inber notuje wypadki na froncie na równi ze swoimi bardzo osobistymi sprawami, antyfaszystowski front stał się linią i sensem jej pracy. Zwycięstwo armii staje się jej zwycięstwem.

Autorka głęboko odczuwa tę prawdę: w dniach stalingradzkiej ofensywy pisze pod datą 17 grudnia 1942 roku: „dzisiaj, wracając ze Związku Pisarzy, spytałam I. D., czy myśli, że mogę już teraz starać się o przyjęcie do partii."

Pod datą zaś 29 grudnia następnego roku — autorka, która w tym dniu została rzeczywistym członkiem partii, zanotowała: „W drodze powrotnej z komitetu dzielnicowego zadawałam sobie pytania: jak naprawdę upłynął rok mego stażu kandydackiego? Jakie zmiany zaszły we mnie w ciągu tego okresu?... Nie tak łatwo to sformułować, ale różnica jest. Przedtem było tak: napiszę przypuśćmy udatną rzecz — i cieszę się z tego. Niepowodzenia przysporzyły mi wiele goryczy. Były to jednak moje osobiste smutki i wyłącznie moje radości. Obecnie natomiast zastanawiam się nad tym, w jakim stopniu to, co piszę, jest pożyteczne dla sprawy literatury radzieckiej, która z kolei jest cząstką wielkiej sprawy — rozkwitu mego państwa, pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. Każdy utwór literacki, rozumując logicznie, powinien, a przynajmniej może, przeistoczyć się w czyn. Staram się badać rozumowo linię prowadzącą od utworu do czynu, odgadnąć, co się dzieje za skrajem urwiska na końcu stronicy, tam gdzie zaczyna się życie. Jak oddziaływują teraz na czytelników moje wiersze? Jak praco-

wało moje pióro — mój oręż, w oblężonym Leningradzie? Czy potrafiłam w jakimkolwiek stopniu być potrzebna miastu? Odpowiadam za to. Poruczyła mi to partia. To moje zadanie partyjne."

Na ostatnich stronicach autorka, wkraczając wraz z miastem w życie pokojowe, pisze o leningradzkich zegarach: ich wskazówki zatrzymały się w początkach blokady, wiosną zaś 1944 roku przy jednym z zegarów stanął człowiek na drabinie, powoli naprawia mechanizm. „Wskazówki niezdecydowanie, jakby uczyły się na nowo chodzić, ruszają z miejsca. Idą, idą, idą... Czas powraca. Już powrócił."

We wzruszającym opisie uwolnionego miasta, autorka zaczyna myśleć kategoriami pokojowymi, jej liryczne pióro (ale jakże nowy jest dziś ten liryzm!) powraca do szczegółów dnia powszedniego, do opisu malowania ławek w parku i wstawiania szyb w okna. Lecz dziś za tymi pozornie małymi sprawami kryje się wielka, humanistyczna dojrzałość pisarza.

Jej wojenne utwory przemówiły do czytelnika pełnym głosem.

Czołowy stachanowiec jednego z leningradzkich zakładów, po wysłuchaniu wierszy Wiery Inber powiedział: „Przecież to nie wiersze. To prawda..."

„Towarzyszko Inber — pisał pewien oficer radziecki — przeczytałem właśnie Wasz pamiętnik w „Znamia". Tak, wiele przeżyliśmy z Wami w Leningradzie. I jak pięknie i prosto opisaliście to wszystko! Dzięki Wam za to. Przyjadę i za „Południk" podziękuję osobiście. Tę książkę my, leningradzcy oficerowie, czcimy i czytamy."

I tu mimo woli przychodzi na myśl spotkanie Wiery Inber z rewolucyjnym marynarzem sprzed wielu lat. List oficera jest jakby zakończeniem tamtej sceny.

Aleksander Jackiewicz

NAZIM HIKMET

O ŚMIERCI

Czy nie usiądziecie, przyjaciele,
witam was,
wiem, że podczas mego snu
weszliście przez okno do celi,
nie przewróciliście buteleczki lekarstwa o długiej szyjce
ani
czerwonego pudełka pigułek.

Stojąc przed moim łóżkiem
z twarzą w świetle gwiazd
trzymacie się za ręce,
witam was, przyjaciele.

To nie zabawne,
myślałem, że nie żyjecie,
a odkąd nie wierzę w niebo,
w piekło ani w Pana Boga,
myślałem: „Źle,
że nie miałem okazji
chociażby papierosem
poczęstować przyjaciół."

To nie śmieszne,
myślałem, że nie żyjecie.

Weszliście przez okno do celi,
czy nie usiądziecie, przyjaciele,
witam was.
Dlaczego marszczysz brwi na mnie,
Haszimie synu Osmana?
To nie żarty,
to ty nie umarłeś, bracie?
Czy nie spadłeś z pokładu
z czubatym koszem węgla,
kiedy w porcie Stambułu
na cudzoziemski statek
węgiel ładowałeś ciężki?
Korba przebiła twe ciało
i twoja ciemna głowa,
nie tracąc chwili czasu
w krwi się skąpała czerwonej.

Kto wie ile wycierpiałeś?
Nie stój, proszę cię, siądź,
myślałem, że już nie żyjesz.
Weszliście przez okno do celi
z twarzą w świetle gwiazd,
pozdrawiam was, przyjaciele.
Halo Yakupie z wioski skalnej
żyjesz i ty?
Nie zostawiłeś dzieciom w spadku
twojej malarii, twego głodu?
To nie spalono cię w dzień parny
na nieurodzajnym cmentarzu?
A więc ty żyjesz.
A ty,
Ahmecie Jemil, pisarzu!
Na własne oczy widziałem,
jak twa trumna zanurza się w grobie.

Myślałem nawet,
że trumna jest trochę za krótka.
Postaw butelkę, Ahmecie!
Nie pozbyłeś się swoich nałogów,
to jest lekarstwo, nie wódka.

Aby tylko zarobić pięćdziesiąt centów
i zapomnieć o samotności świata,
jak wiele, jak wiele piłeś.

Myślałem, żeście umarli,
stoicie przed moim łóżkiem,
trzymając się za ręce.
Czy nie usiądziecie, przyjaciele,
witam was.

A pewien poeta perski
powiada: Śmierć jest sprawiedliwa
z tym samym majestatem zabiera
szacha i ubogiego.

Haszimie,
czemu jesteś tak zdumiony?
Bracie, nie słyszałeś nigdy
o szachu, który dźwiga węgiel
i umiera przy upadku ze statku?

A pewien poeta perski
powiada: Śmierć jest sprawiedliwa.
Yakupie, owocu mych źrenic,
jak szeroko uśmiechasz się teraz.
Nigdy nie śmiałeś się, gdy żyłeś,
nigdy nie śmiałeś się szczerze;
pozwól mi jednak skończyć.

Bo pewien poeta perski
powiada: Śmierć jest sprawiedliwa...
Postaw butelkę, Ahmecie,
próżny twój gniew.
Wiem, co chcesz odpowiedzieć:
od życia żądasz także,
by było jak śmierć sprawiedliwe.

A stary poeta perski...
Przyjaciele, skąd wasz gniew tak groźny,
czemu mnie opuszczacie,
przyjaciele dokąd idziecie?

przełożyła **Ewa Fiszer**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce*)

I. O zadaniach literaturoznawstwa

Chcemy naukę o literaturze powiązać z życiem, zespolić z procesami budownictwa socjalistycznego, włączyć do walki o realizację planu 6-letniego, do walki o przebudowę kultury. Chcemy, by potrafiła ukazać w całej pełni i przekazać masom polską i ogólnoludzką postępową tradycję literacką. Chcemy, by współdziałała z pisarzami w torowaniu dróg nowej literaturze, takiej literaturze, której lud potrzebuje, by kładła podwaliny teoretyczne rzeczywistego nowatorstwa literackiego, by wyzyskała doświadczenie historyczne dla walki o postęp kulturalny. Chcemy, by nauka o literaturze wniosła nową socjalistyczną treść wychowawczą do szkoły.

Realizacja tych zadań wymaga rewizji metodologicznej tradycyjnego literaturoznawstwa.

Rewizja metodologiczna nauki, to nie jest problem semantyczny, to nie jest problem świadomości językowej, ale problem świadomości społecznej uczonego.

Jakie są perspektywy odnowy nauk humanistycznych w naszej epoce, w epoce budowania nowego ustroju, w epoce, gdy wyzwalające się masy tworzą swoją wolną, pełną kulturę, w której twórczo uczestniczą milionowe rzesze prawdziwych ludzi uwolnionych od kapitalistycznego przekleństwa ciemnoty, zacofania, zdziczenia i przesądów, ludzi świadomych, bojowników pokoju, racjonalizatorów, przodowników pracy, pięknych i nowych ludzi?

Nie ma dla tych perspektyw właściwych porównań w historii. Nigdy nie było tak, by uczony pełen nawet najlepszej woli mógł służyć bezpośrednio ludowi swego kraju. Kiedyś było to dane tylko największym postępowym uczonym. Fakt, iż „myśli klasy panującej są w każdej epoce

*) Z referatu wygłoszonego na Zjeździe Literacko-Naukowym Polonistów (8—12.V.1950 w Warszawie).

myślami panującymi..." (Marks i Engels) krępował codzienną, zwykłą pracę naukową, narzucał jej jarzmo klasowych ograniczeń. Proletariat jest klasą, w której interesie leży poznanie pełnej prawdy. Przed nauką staje dziś konieczność zerwania z rutyną, konieczność wszechstronnej, bezkompromisowej walki o prawdę, konieczność nieznanego dotąd wzbogacenia kryteriów poprawności naukowego sądu, które przynosi podstawowa dziś funkcja nauki, narzędzia budowania nowego życia, nowego człowieka, nowej kultury. Bogactwo zadań — wobec podobnego stali chyba tylko uczeni-humaniści Odrodzenia.

Potężnym narzędziem przełomu w humanistyce jest metodologia marksizmu-leninizmu. Metodologia, wypróbowana w zwycięskich walkach proletariatu, klasy przodującej, zbrojnej w przodującą teorię. Metodologia, której wartość potwierdzają nowatorskie osiągnięcia humanistyki radzieckiej.

Zasady tej metodologii zawierają teksty klasyków marksizmu.

Chciałbym przykładowo omówić parę wybranych zagadnień metodologicznych marksistowskich badań literatury. Chodzi tu o pewne szczegółowe konsekwencje materializmu historycznego na gruncie literaturoznawstwa. Ale, jak sądzę, kluczowe dla odnowy nauki o literaturze, dla właściwego uzbrojenia jej do wykonania bojowych zadań, które wyliczyłem wyżej.

II. Zasada interpretacji klasowej literatury

Podstawowe pojęcie historii literatury — to pojęcie ideologii. Badania nad ideologią były w tradycyjnej literaturze szczególnie zaniedbywane, wręcz nie dostrzegano tej problematyki. Weźmy dla przykładu interpretację „Lambra" Słowackiego, dokonaną przez Kleinera (Juliusz Słowacki. t. I. str. 196—240). Autor wyjaśnia tematykę utworu wiążąc ją z powstaniem greckim i jego echami w Polsce, widzi w utworze metaforyczny sąd nad społeczeństwem polskim, formułuje go jako oskarżenie „pokolenia romantycznego" o „niezdolność do czynu", widzi „rysy byrońskie" tego stanowiska, widzi w „Lambrze" kreację psychologiczną, ocenia utwór i analizuje jako dzieło sztuki. Ale nie wyjaśnia, nie potrąca nawet słowem sprawy, co znaczy ideologicznie takie oskarżenie całego „pokolenia" przez poetę, kogo w ten sposób bronił, kogo atakował, w interesie jakich sił społecznych, w jakim to pozostawało stosunku do walki o postęp, o wyzwolenie społeczne i narodowe. Przecież w pokoleniu romantycznym byli zdolni do czynu — dowodem pułk 4 złożony z rzemieślników warszawskich, późniejsi członkowie Gromady Grudziąż. Marks zaś wyjaśnił, dlaczego arystokracja polska była od świtu nocy listopadowej „niezdolna do czynu". Jakiej zatem ideologii, jakich dążeń społecznych wyrazem jest zawartość „Lambra"? Kleiner nie stawia sobie tego problemu, wyjaśnia jedynie, o jakich modyfikacjach psychiki i duchowej struktury artystycznej poety świadczy poemat (210—213).

Pamiętać trzeba przy tym, że ideologia pisarza to nie tylko jego program polityczny, często podany w komentarzu odautorskim do właściwego dzieła sztuki. Ideologiczna interpretacja dotyczy całości zjawiska literackiego i właśnie winna wyjaśnić to, co w nim specyficzne. Klasycznym przykładem takiej interpretacji są znane artykuły Lenina o Tołstoju (por. W. Lenin: O literaturze, wyd. „Książka", 1948).

Interpretacja leninowska dotyczy trzech zasadniczych momentów: po pierwsze dzieła literackiego jako (społecznie kierunkowego) odbicia rzeczywistości zewnętrznej, obiektywnej życia, po drugie dzieła jako wyrazu dążeń ideologicznych określonej klasy, po trzecie — dzieła jako narzędzia walki klasowej.

Po pierwsze Lenin interpretuje twórczość Tołstoja jako „zwierciadło rewolucji rosyjskiej 1905 r." („chłopskiej rewolucji burżuazyjnej").

Interpretacja ideologiczna ustala stosunek dzieła do życia, do rzeczywistości obiektywistycznej. Zgodnie z teorią Lenina dzieło jest odbiciem rzeczywistości jako swoista forma poznania tejże. Stopień prawidłowości tego odbicia to ważny problem artystyczny z punktu widzenia centralnej teorii estetycznej: realizmu. To zagadnienie prawdy artystycznej. Stopień prawidłowości odbicia to inaczej zagadnienie społecznej kierunkowości tego odbicia. Klasowe stanowisko pisarza, wyrażającego klasę uciskającą, decyduje o odchyleniu od prawdy, usuwa z pola widzenia pisarza sytuację, postaci i zjawiska istotnie typowe, utrudnia sięgnięcie do sedna zjawisk, powoduje, iż literatura nie zawsze może sprostać istotnym i centralnym problemom epoki. Tylko pozycja klas postępowych, chociaż częściowe zbliżenie się do niej, umożliwia prawidłowość odbicia rzeczywistości w sztuce.

Dzieło Tołstoja jest „zwierciadłem rewolucji rosyjskiej", chłopskiej rewolucji burżuazyjnej, odtwarza jej sprzeczne dążenia, jej wahania, jej zamęt. Jest nim, chociaż Tołstoj — jak twierdzą jego komentarze odautorskie, jego publicystyka — nie rozumiał rewolucji, był jej przeciwny.

Przypadek Tołstoja nie jest prosty. Należy jednak pamiętać, że nie wolno tu posługiwać się żadnym schematem socjologicznym. Każdą indywidualną sytuację pisarską trzeba na nowo analizować. Możliwych typów powiązań pisarza z życiem będzie bardzo wiele. Wypadnie przypomnieć tu fragment z listu Engelsa do Paula Ernsta z r. 1890:

„Was Ihren Versucht, die Sache materialistisch zu behandeln, angeht, so muss ich vor allem sagen, dass die materialistische Methode in ihr Gegenteil umschlägt, wenn sie nicht als Leitfaden beim historischen Studium behandelt wird, sondern als fertige Schablone, wonach man sich die historischen Tatsachen zurechtschneidet." (Karl Marx-Friedrich Engels. Über Kunst und Literatur... Berlin 1948, str. 15) *).

---

*) „Co się tyczy podjętej przez pana próby materialistycznego ujęcia sprawy, to przede wszystkim muszę zauważyć, że metoda materialistyczna zamienia się w swoje przeciwieństwo, kiedy jest traktowana nie jako wytyczna badań historycznych, lecz jako gotowy szablon, według którego przykrawa się fakty historyczne."

Zdanie to jest wprowadzeniem do dłuższych rozważań nad pojęciem drobnomieszczaństwa. Engels porównuje szczegółowo drobnomieszczaństwo niemieckie jako produkt określonych warunków historycznych i klasowych z drobnomieszczaństwem norweskim ukształtowanym zupełnie inaczej, by wykazać, iż nie ma uniwersalnych szablonów. Umiejętnie szukamy rysów typowych, a uwypukla je nie szablon, ale indywidualne modyfikacje typowych zjawisk zdeterminowane przez odmienność warunków historycznych**).

Po drugie Lenin interpretuje twórczość Tołstoja jako wyraz ideologii mas chłopskich, w specyficznej sytuacji Rosji pańszczyźnianej:

„Dlatego krytykę Tołstoja cechuje taka siła uczucia, taka pasja, siła przekonywająca, świeżość, szczerość, odwaga w dążeniu, „by dojść do sedna", do odnalezienia rzeczywistej przyczyny nieszczęść ludu, że ta krytyka rzeczywiście odzwierciedla przełom w poglądach milionów chłopów, którzy dopiero co wyzwolili się spod poddaństwa i ujrzeli, że ta wolność oznacza nowe okropności ruiny, śmierci głodowej, bezdomnego życia śród miejskich „cwaniaków" itd. Tołstoj tak wiernie odtwarza ich nastroje, że sam do swojej nauki wnosi ich naiwność, ich stronienie od polityki, ich mistycyzm, chęć ucieczki od świata, „niesprzeciwianie się złu", bezsilne przekleństwa pod adresem kapitalizmu i „władzy pieniądza". Protest milionów chłopów i ich rozpacz — oto, co splotło się w nauce Tołstoja..." (Lenin o literaturze. Artykuły i fragmenty. „Książka", str. 22—23).

Tołstoj to wyraziciel ostrej i namiętnej krytyki ze strony mas chłopskich absolutyzmu i jednocześnie przerażenia patriarchalnego chłopstwa wyzwolonego spod jarzma pańszczyzny a zagrożonego przez inwazję kapitalizmu na wieś, przez najazd wroga, którego niebezpieczeństwo chłop odczuwa, ale którego nie rozumie.

„W utworach Tołstoja znalazły swój wyraz zarówno siła jak i słabość, potęga jak i ograniczoność właśnie masowego ruchu chłopskiego. Jego gorący, namiętny, często bezlitośnie ostry protest przeciw państwu i policyjno-oficjalnemu kościołowi odtwarza nastroje prymitywnej, chłopskiej demokracji, w której wieki pańszczyzny, czynowniczej samowoli i grabieży, cerkiewnego jezuityzmu, oszustwa i szalbierstwa nagromadziły morze wściekłości i nienawiści. Jego niezłomne negowanie prywatnej własności ziemskiej odtwarza psychologię masy chłopskiej w tym momencie historycznym, kiedy stara średniowieczna własność ziemska, zarówno obszarnicza jak i państwowo-„nadziałowa", stała się w końcu zawadą nie do zniesienia w dalszym rozwoju kraju i kiedy ta stara własność ziemska była nieuchronnie skazana na bezlitosne i bezwzględne obalenie. Jego ustawiczne pełne najgłębszego uczucia i najżywszego oburzenia demaskowanie kapitalizmu jest wyrazem przerażenia patriarchalnego chłopa, na którego ruszył nowy niewidzialny, niezrozumiały wróg, idący skądś z miasta albo skądś z zagranicy, burzący wszystkie „ostoje" wiejskiego bytowania, niosący z sobą niewidzialną dotąd ruinę, nę-

**) Cytat B. Porszniew, 73—74.

dzę i śmierć głodową, zdziczenie, prostytucję, syfilis — wszystkie plagi „epoki pierwotnej akumulacji", obostrzone stokrotnie wskutek przeniesienia na rosyjski grunt najnowszych sposobów grabieży, stworzonych przez pana Kupona.

Ale płomienny duch protestu, namiętny demaskator, wielki krytyk okazał jednocześnie w swoich utworach takie niezrozumienie przyczyn i środków wyjścia z kryzysu nadciągającego na Rosję, jakie właściwe jest jedynie patriarchalnemu, naiwnemu chłopu, a nie pisarzowi o europejskim wykształceniu. Walka z państwem obszarniczo-policyjnym, walka z monarchią przekształciła się u niego w negowanie polityki, prowadziła do zasady „niesprzeciwiania się złu", doprowadziła do całkowitego odsunięcia się od walki rewolucyjnej mas w latach 1905—1907. Walka z oficjalnym kościołem łączyła się z ogłoszeniem nowej, oczyszczonej religii, czyli nowej, oczyszczonej, wyrafinowanej trucizny dla uciśnionych mas. Negowanie prywatnej własności ziemskiej wiodło nie do skoncentrowania całej walki z rzeczywistym wrogiem, z obszarniczą własnością ziemską i jej politycznym narzędziem władzy, tj. monarchią, lecz do marzycielskich, mętnych, bezsilnych westchnień. Demaskowanie kapitalizmu i klęsk — do tej światowej walki wyzwoleńczej, którą toczy międzynarodowy proletariat socjalistyczny.

Sprzeczności w poglądach Tołstoja — to nie tylko sprzeczności w jego poglądach osobistych, lecz odzwierciedlenie tych w najwyższym stopniu skomplikowanych sprzecznych warunków, wpływów społecznych, tradycji historycznych, które określały psychologię różnych klas i różnych warstw rosyjskiego społeczeństwa w okresie pouwłaszczeniowym, lecz przedrewolucyjnym..." (Lenin o literaturze. Artykuły i fragmenty. „Książka", str. 15—17).

Ta interpretacja określa miejsce pisarza w konkretnej walce klasowej jego czasu. Są to badania zupełnie leżące odłogiem w Polsce. A decydujące przecież dla hierarchizacji spadku literackiego przeszłości.

Po trzecie Lenin interpretuje twórczość Tołstoja jako potężne narzędzie walki rewolucyjnej proletariatu:

„Spójrzcie na ocenę Tołstoja w liberalnych gazetach. Wykręcają się tymi pustymi, urzędowo-liberalnymi, oklepanymi profesorskimi frazesami o „głosie cywilizowanej ludzkości", o „jednogłośnym wtórze świata", o „ideach prawdy, dobra" itd., za które tak biczował Tołstoj — i biczował słusznie — burżuazyjną naukę. Nie mogą one wypowiedzieć w sposób jasny i prosty, jaka jest ich ocena poglądów Tołstoja na państwo, na kościół, na prywatną własność ziemską, na kapitalizm — nie dlatego, że nie pozwala im cenzura, przeciwnie, cenzura pomaga im wybrnąć z kłopotu, ale dlatego, że każde twierdzenie w krytyce Tołstoja jest policzkiem dla burżuazyjnego liberalizmu — dlatego, że już samo nieustraszone, otwarte, nielitościwie, ostre postawienie przez Tołstoja najboleśniejszych, najbardziej przeklętych zagadnień naszych czasów zadaje kłam szablonowym frazesom, oklepanym wykrętom wymigującej się „cywilizowanej" obłudzie naszej liberalnej (i liberalno-narodnickiej) publicystyki...

Liberałowie wysuwają na pierwszy plan, że Tołstoj — to „wielkie sumienie". Czyż nie jest to pusty frazes, który powtarzają na tysiące sposobów „Nowoje Wremia" i wszyscy tego pokroju? Czy, nie jest to omijanie tych konkretnych zagadnień demokracji i socjalizmu, które Tołstoj postawił? Czyż nie wysuwa to na pierwszy plan tego, co jest wyrazem przesądów Tołstoja a nie jego rozumu, tego, co należy u niego do przeszłości a nie do przyszłości, jego negowania polityki, jego kazań o wewnętrznym doskonaleniu się, a nie jest wyrazem jego żywiołowego protestu przeciw wszelkiemu panowaniu klasowemu?

Umarł Tołstoj i odeszła w przeszłość przedrewolucyjna Rosja, której słabość i niemoc znalazła swój wyraz w filozofii, która została odmalowana w utworach genialnego pisarza. Ale w dziedzictwie po nim zostało to, co nie odeszło w przeszłość, co należy do przyszłości. Tę spuściznę bierze i nad tą spuścizną pracuje rosyjski proletariat. On wytłumaczy masom pracującym i eksploatowanym, jakie jest znaczenie tołstojowskiej krytyki państwa, kościoła, prywatnej własności ziemskiej nie po to, żeby masy ograniczyły się do doskonalenia się wewnętrznego i westchnień do zbożnego życia, lecz po to, żeby powstały i zadały nowy cios carskiej monarchii, obszarniczej własności ziemskiej, które trzeba zniszczyć, a które zostały z lekka podważone w r. 1905. On wytłumaczy masom tołstojowską krytykę kapitalizmu, nie po to, żeby masy ograniczały się do przekleństw pod adresem kapitału i władzy pieniądza, lecz po to, żeby nauczyły się opierać każdy krok swego życia i swej walki na technicznych i społecznych zdobyczach kapitalizmu, nauczyły się zespalać w jednolitą, milionową armię bojowników socjalistycznych, którzy obalą kapitalizm i stworzą nowe społeczeństwo bez nędzy ludu, bez wyzysku człowieka przez człowieka..." (Lenin o literaturze. Artykuły i fragmenty. „Książka", str. 18—19).

Są to trzy centralne problemy interpretacyjne zarysowane schematycznie. Pełna marksistowska interpretacja literacka, której mistrzowskim przykładem są cytowane artykuły, odsłania cały szereg subtelnych problemów pomocniczych, ubocznych, indywidualizujących ów schemat zasadniczy.

Interpretacja ideologiczna ustala rolę pisarza (dzieła) w procesie rozwoju społecznego narodu. Ustala jego stosunek do walki o postęp. Ustala stopień jego rzeczywistego nowatorstwa, nowatorstwa ideologicznego. Jego miejsce w walce o realizm, stosunek spadku po nim do walki o realizm socjalistyczny, aktualny postęp sztuki. A zatem wartość literacką i walor wychowawczy dzieła. Interpretacja ideologiczna ukazuje nam pisarza jako rzeczywistego człowieka, uczestnika klasowych walk swoich czasów, ukazuje wszystkie rzeczywiste nici łączące go z życiem i tradycją kulturalną. Pozwala wyzwolić się od scholastycznych konstrukcji osobowości duchowej, wyobraźni poetyckiej działających w historycznej pustce — a dominujących w arsenale pojęć burżuazyjnej historii literatury. To podejście w ogóle umożliwia rzeczywistą interpretację. Powiązanie faktu literackiego jako zjawiska społecznego z rzeczywistymi siłami napędowymi zmian społecznych, a więc i przemian ideologicznych, jako przemian swoistych faktów społecznych. In-

terpretacja ideologiczna daje naukowo sprawdzalne i poznawczo cenne, bo wykrywające powtarzalności i typowości, ujęcia obiektywne faktów literackich. Interesuje się tym, co obiektywnie znaczył dany fakt, a nie domyśla się, jak tradycyjna historia literatury, co subiektywnie tylko chciał pisarz, kierując się najczęściej naiwnie jego własnymi deklaracjami, których hasła interpretuje się abstrakcyjnie (Typowy przykład — partie kontrrewolucyjne, które bronią „porządku"). W najlepszym razie są to interpretacje filologiczne szukające sensu literatury w kontekście idei epoki (np. co znaczy „forma" u Słowackiego na tle filozofii mistycznej). Tymczasem literaturę wyjaśnia kontekst społeczny.

Wtedy dopiero znajdujemy odpowiedź, co znaczy fakt literacki w życiu epoki, w jej walkach klasowych. Tak właśnie Lenin wyjaśniał elementy dzieła Tołstoja, np. jego chrześcijański anarchizm.

„... Dążenie do zmiecenia z oblicza ziemi zarówno kościoła oficjalnego, jak obszarników i rządu obszarniczego, unicestwienia wszystkich starych form i systemów władania ziemią, do oczyszczenia gruntu, do stworzenia na miejsce klasowego państwa policyjnego wspólnoty wolnych i równouprawnionych drobnych chłopów — dążenie to czerwoną nicią snuje się poprzez każdy krok historyczny chłopów w naszej rewolucji i nie ulega wątpliwości, że treść ideowa utworów Tołstoja jest w znacznie większym stopniu wykładnikiem tego dążenia chłopów niż abstrakcyjnego „anarchizmu chrześcijańskiego", jak niekiedy ocenia się „system" jego poglądów..." (Lenin o literaturze. Artykuły i fragmenty. „Książka", str. 10).

Uwagi te nie znaczą bynajmniej, że badacza marksisty nie interesuje subiektywne stanowisko pisarza, ale po pierwsze może je odróżnić od obiektywnego, po drugie zaś zakreśla właściwe granice tej subiektywistycznej problematyce. Interesuje nas, jak autor subiektywnie swoje dążenia pojmował, ale zdajemy sobie sprawę, że nie to odgrywało decydującą rolę społeczną, ale obiektywna wymowa dzieł.

Dopiero klasowa interpretacja pozwala postawić sensownie centralny problem historyczno-literacki twórczości każdego pisarza: jego wsteczności lub postępowości. Jest to problem centralny zarówno z punktu widzenia oceny — jak i dynamiki rozwoju historycznego literatury. A jak powiemy dokładniej niżej — rozwiązanie problemu dynamiki rozstrzyga zasadniczo problemy interpretacyjne, jakkolwiek dialektycznie samo od interpretacji zależy. Jest to postulat metodologiczny dialektycznej współzależności wzajemnej kierunku rozwoju i sensu, a zatem funkcji społecznej danej twórczości i literatury w ogóle.

Jakie jest stanowisko tradycyjnej, idealistycznej historii literatury wobec tych wszystkich centralnych zagadnień?

Przede wszystkim operuje się tu jako centralnym zupełnie nienaukowym pojęciem osobowości. Taki jest stan faktyczny posługiwania się nienaukowymi pojęciami osobowości, co nie znaczy, iż to pojęcie nie może być naukowo skonstruowane, ale co jednak znaczy, iż nie można już naukowemu pojęciu osobowości dać przywilejów metodologicznych, które mu dawali idealiści. Nie będzie to centralne pojęcie nauki o literatu-

rze. Pojęcie osobowości w idealistycznej historii literatury było rozmaicie pseudonimowane: struktura duchowa, psychika (w sensie psychologii „duchoznawczej"), wyobraźnia artystyczna. Ale postępowanie metodologiczne było w każdym wypadku takie same. Tak samo np. postępuje Szweykowski operując dyspozycjami psychicznymi jako składnikami osobowości twórczej, jak i np. Kołaczkowski operując już zupełnie fikcyjnymi „dążnościami duchowymi".

Szweykowski nie rozumie, że „Dzieci" Prusa to niedołężny i jaskrawy paszkwil na rewolucję 1905 r. Nie jest to bowiem oskarżenie zjawiska społecznego przez wroga, który je rozumiał i sięgnął do sedna rzeczy, jak np. czynił Gorki w stosunku do kapitalizmu, obyczajowości mieszczańskiej itp. Przeciwnie książka Prusa jest niedwuznacznym dowodem, że nie rozumiał dokonywających się w 1905 r. procesów społecznych — dlatego jest to tylko paszkwil i to zarówno jaskrawy jak niedołężny.

Rezoner powieści demaskuje autora — to po prostu argumentujący endek tych czasów. Konkretna analiza idealistów operuje martwą fikcją osobowości, wyzwolonej z rzeczywistości historycznej struktury duchowej. Szweykowski, jak i cała tradycyjna historia literatury, myśląc o pisarzu nie myśli o rzeczywistym człowieku. Nie pojmuje go tak jak Lenin Tołstoja, jako członka konkretnej klasy, uczestnika walk społecznych swego czasu, powiązanego tysiącem nici z rzeczywistością. Prus jest czystą psychiką artysty. To marksizm jedynie dostarcza narzędzi i wytycznych metodologicznych umożliwiających takie właściwości rozumienia pisarza i to nie w teorii, in abstracto (to wielu potrafi!), ale w toku postępowania badawczego, w konkretnej analizie. Jakże bowiem Szweykowski wyjaśnia „Dzieci"? Zwycięstwem moralizatorskich tendencji psychiki Prusa nad artystycznymi. To jest centralna koncepcja interpretacyjna. Źle oświetlony stosunek Prusa do dążeń socjalistycznych, to już tylko dodatkowy komentarz w niczym nie modyfikujący nawet podstawowej koncepcji. (Por. Z. Szweykowski. Twórczość Bolesława Prusa. Tom II, str. 212—214) Powyższy przykład można uogólnić z pewnymi modyfikacjami, ilustruje on zasadniczy schemat postępowania metodologicznego naszych idealistycznych historyków literatury w epoce imperializmu, po załamaniu się pozytywistycznej metodologii badań literackich (por. także mój cytowany artykuł w Pamiętniku Lit. nr. 1, 1950 r.).

Jakże zasadnicze błędy metodologiczne cechują naszą praktykę badawczą ostatnich lat 50, jeśli chodzi o historyków interpretujących literaturę jako wyraz — czy obiektywizację abstrakcyjnej osobowości duchowej pisarza?

Po pierwsze wiedza o świecie, na której opierają się poszukiwacze przejawów osobowości w dziele, jest niezmiernie uboga. Czerpie dane z biografii najzupełniej osobistej pisarza, nigdy społecznej. Traktuje go jak członka kręgu towarzyskiego lub typ duchowy, nigdy jako członka klasy, uczestnika określonych walk klasowych. Po drugie dzieło w tym ujęciu jest izolowane od życia, chwyta się związki tylko w autonomicz-

nym świecie idei, fikcyjnym lub świecie dojrzewania struktury duchowej. Po trzecie taka interpretacja zakłada automiczność procesów rozwojowych literatury. Dzieło w tym ujęciu determinują z jednej strony konwencjonalne, idealne wzory kulturowe, w których wyraża się osobowość, z drugiej — dążenia tejże osobowości. I tu jest kres interpretacji: autonomiczne dążenia (duchowe) osobowości, autonomiczne konwencje literackie (artystyczne). Postawa mitologiczna i agnostyczna zarazem. Pisałem o tym szerzej w cytowanym już artykule z Pamiętnika Literackiego, omawiając odczyt St. Pigonia o Orkanie. Osobowość jest konstrukcyjnym celom służącą fikcją burżuazyjnego literaturoznawcy. Jak nieprzydatną fikcją, uczy przykład interpretacji „Dzieci" Prusa przez Szweykowskiego, która nie tłumaczy rzeczywistego sensu i funkcji społecznej utworu. Jak reakcyjną fikcją, uczy tenże przykład usprawiedliwiający i rozgrzeszający psychologią kontrrewolucyjny utwór, szkodliwy społecznie, pełen przesądów, nierozumienia historii, kładący się w poprzek walczącym o postęp.

Tego typu interpretacje literackie nie interesują się stosunkiem dzieła do życia, do obiektywnej rzeczywistości. Przykładem choćby wielka monografia Kleinera o Słowackim. Nie dowiadujemy się też od nich, jaka była pozycja danego dzieła w centralnej walce literackiej, estetycznej postępu i wstecznictwa: realizmu z antyrealizmem. A ta walka przecież jest metodologicznie najważniejszą dla interpretacji, dynamiki rozwoju, zwłaszcza nowożytnej literatury.

Tego typu interpretacje literackie po wtóre nie orientują, jakie dążenia klasowe wyraża autor, stawiają dzieło poza walkami społecznymi, a więc i poza historią.

Tego rodzaju interpretacje po trzecie nie widzą w utworze narzędzia walki społecznej, nie wyjaśniają więc i nie mogą wyjaśniać jego rzeczywistej funkcji społecznej.

Nikogo więc chyba nie zdziwi, że gdy postawimy sobie te trzy centralne pytania historyczne nawet w stosunku do pisarzy, o których osobowościach wiele napisano jak np. Słowacki czy Mickiewicz, nie uzyskamy trafnej odpowiedzi. Mamy monografię Prusa, ale gdy spytamy, a jak było naprawdę w życiu, o którym Prus pisał, autor odpowie nam: było tak jak Prus pisał w swojej publicystyce i realizm prusowski będzie mierzył stosunkiem dzieł artystycznych pisarza do jego dzieł publicystycznych. A przecież literatura jest odbiciem (kierunkowym) życia — a nie publicystyki społecznej, politycznej, filozoficznej.

Mamy monografię Słowackiego, ale nie umielibyśmy powiedzieć, jaką ideologię pisarz wyrażał. Po tylu latach nie stać nas na tak jasną i prostą formułę, jaką dał Lenin Rosjanom, pisząc o Tołstoju. Mamy monografię mesjanizmu, a nie potrafimy odpowiedzieć w sposób zasadny, naukowy, komu służył mesjanizm jako narzędzie walki klasowej. A służył przecież w sposób oczywisty.

Nie jedyne to są schorzenia naszej historii literatury, które przyniosła idealistyczna metodologia — ale o innych szczegółowiej powiemy niżej przy okazji rozważania kolejnych wybranych problemów metodo-

logicznych, bodaj równie ważnych jak zasada klasowej interpretacji literatury.

III. O problemie stylu artystycznego

Ideologiczna interpretacja dotyczy wszystkich elementów dzieła, właśnie pozwala naukowo wyjaśnić i zdeterminować to wszystko, co stanowi specificum dzieła literackiego. Wypadnie nam tu odwołać się do przykładu klasycznego sprzed blisko stu lat, nie dlatego, aby nie było doskonałych przykładów nowszych, ale aby spopularyzować mało znane u nas, a tak znamienne dla własnej tradycji kultury socjalistycznej osiągnięcia klasyczne. Korespondencja Marksa i Engelsa między sobą i z Ferdynandem Lassallem z r. 1859 zawiera arcyciekawe listy dotyczące dramatu tego ostatniego „Franz von Sickingen" osnutego na tle dziejów rewolucyjnych reformacji niemieckiej. Lassalle, przedstawiciel drobnomieszczańskiego skrzydła rewolucji 1848 r., doświadczył całej chwiejności właściwej drobnomieszczaństwu w sytuacjach rewolucyjnych XIX wieku. W dramacie swym chciał pokazać „wieczny tragizm" rewolucji, wedle niego polegający na konflikcie między ideami rewolucyjnymi a koniecznymi kompromisami, gdy przyjdzie do ich realizacji. Tragiczna jest zdrada samego siebie, której życie, konieczności realizacyjne wymagają od każdego przywódcy rewolucyjnego. Rycerz von Sickingen miał być takim wzorem tragicznego rewolucjonisty. Nie trzeba chyba dowodzić, że ten schemat tylko absolutyzował sytuację klasową drobnomieszczańskich przywódców 1848 r. Lassale w swym dramacie problem tragizmu przegranej rewolucji przesunął z płaszczyzny klasowej, społecznej na płaszczyznę tylko moralną. Do sprawy tej jeszcze wrócimy w następnym punkcie rozważań. To moralistyczne ujęcie konfliktów historycznych miało i musiało mieć swoje konsekwencje artystyczne. Z historyczno-literackiego punktu widzenia nie było to w dramaturgii krokiem naprzód w stosunku do Schillera, było i musiało być epigonizmem. Sprowadzenie konfliktów społecznych do konfliktów moralnych nie przekraczało dojrzałości krytyki ustroju społecznego z epoki pierwszych dni realizacji porządku kapitalistycznego, z epoki Schillera i to w Niemczech, w kraju, który nie przeżył wówczas swej rewolucji burżuazyjnej. Jeśli lassalowska koncepcja tragiczna przegranej rewolucji nie przekraczała również granic schillerowskiej koncepcji artystycznej dramatu, granic tej krytyki nie mogła przełamać. W stylu to moralizatorskie ujęcie konfliktów społecznych wyrażało się w retoryczności. Marks i Engels krytykując w dramacie Lassalle'a zarówno brak rzeczywistego artystycznego (a więc ideowego) nowatorstwa, epigonizm, jak i retoryczność stylu, wskazują wyraźnie, iż to jest artystyczna konsekwencja nierealistycznego ujęcia przez autora tragizmu rewolucji mieszczańskiej XVI w. Retoryczność jest formalnym wyrazem tej fałszywej poznawczo i niedoskonałej artystycznie koncepcji. Ta krytyka „retoryczności" wyrażona była metaforycznie w postulacie odejścia od właściwej Lassalle'owi „schilleryzacji" dramatu i przejścia

do jego „szekspiryzacji“ czyli nawiązania do wielkiej realistycznej tradycji teatru renesansowego, ukazującego trafnie konflikty społeczne rodzenia się społeczeństwa nowożytnego i ich wyraz artystyczny w koncepcji dramatycznej doli człowieka. Ta krytyka stylu jednego i to nie pierwszorzędnego utworu jest sprawą szczegółową, ale ukazuje metodologowi zasadnicze perspektywy. Uwydatnia silnie podstawowy postulat estetyki marksistowskiej: jedności treści i formy, jedności problematyki artystycznej i społecznej utworu. Ustala stosunek środków wyrazu do ideologii. To ujęcie pozwala wyjaśnić prawidłowo zmienność form literackich. Na miejscu idealistycznej, typowo kosmopolitycznej, krytykowanej na przykładzie Tarde'a nawet przez burżuazyjną naukę — teorii naśladowania, teorii wpływów, wprowadza teorię ideologicznych źródeł przemian literackich. Na miejsce teorii modyfikacji widzącej w każdej nowej formie artystycznej tylko modyfikację form poprzednich wprowadza teorię rewolucyjnego skoku, przełomu literackiego, twórczego odkrycia nowych form i środków wyrazu powołanych do życia przez nowe treści, nowe dążenia ideowe. Ta teoria pozwala nam odsłonić historyczny sens walk literackich. Na miejsce reakcyjnej teorii walki gustów (opartej na teorii elit), wprowadza zmianę gustów jako funkcję walki klasowej.

W świetle tej teorii np. walka klasyków z romantykami, to nie jest naiwnie interpretowana walka rozumu z uczuciem, czy racjonalnej dyscypliny artystycznej z pełną swobody fantazją. Walkę tę musimy pokazać na tle rozwarstwienia klasowego owego czasu, na tle zróżnicowania ideologicznego warstwy szlacheckiej w Polsce poprzez odbicie tych antagonizmów w literaturze epoki. Były wówczas w obozie szlacheckim spory między literackimi przedstawicielami obskurantów i liberałów-konstytucjonalistów. Lecz stanowisko liberałów (Koźmian) było równie szlacheckie — jak obskuranckie. Chłop dla obskuranta był siłą pociągową, dla autora „Ziemiaństwa“ praca chłopa była źródłem moralnej harmonii życia szlacheckiego, i dlatego należało starannie opiekować się cennym twórcą tej harmonii. Ale dla młodego Mickiewicza i Goszczyńskiego chłop był człowiekiem. I ten humanizm był rozwinięty już jako krytyka, którą klasycy, ideolodzy szlacheccy, musieli zwalczać jako klasowo obcą, dekabrystowską. Walka ze „smorgońskimi poetami“ była walką klasową. Nowatorstwo artystyczne tych „smorgońskich poetów“ szturmowało z tą samą falą rewolucyjną, co ideowy protest romantyków przeciw wczesnym formom feudalno-burżuazyjnego sojuszu w Polsce, którego ideologami byli arystokraci, potem rozbrajający powstanie 1830 - 31 r.

To ujęcie teoretyczne tworzy typologię stylów na podstawie stosunku sztuki do życia, na podstawie leninowskiej teorii odbicia. Stwarza to możliwość ściśle literackiego ukazania okresowych faz rozkwitu i dekadencji literatury, odpowiadających rytmowi zmian społecznych. Przełamuje sprzeczną z faktami, sprzeczną z teorią rozwoju społecznego teorię „jednego potoku“ w rozwoju literatury. Szerzej pisał o tym Jan Kott w swym szkicu o Diderocie (por. Szkoła klasyków. Warsza-

wa. 1949). Teoria ta głosi, iż w konwencjonalnych ramach stylów literackich bogaci się i różnicuje drogą modyfikacji jeden autonomiczny potok form literackich coraz potężniejszy, płynący przez dzieje. A tak przecież nie jest, dekadenckie i ubogie formy powieści mieszczańskiej XX w. odpowiadają dekadencji burżuazyjnej. O ileż bogatsza jest twórczość mieszczańska bohaterskiego okresu burżuazji!

A teraz dla przykładu przyjrzyjmy się jak tradycyjna, idealistyczna historia literatury ujmowała problem stylu, problem specyficznie literackich, artystycznych elementów dzieła.

„Romantyczna teoria sztuki i zasady romantycznego stylu dadzą się genetycznie wyprowadzić ze źródeł romantyzmu i jego filozoficznych podstaw. Fantastyka romantyzmu wywodzi się genealogicznie z historyzmu, który powołał do życia fantastyczną twórczość średniowiecza, a znajduje swą podstawę w teorii nieskończoności, przejętej z Kanta i subiektywnie interpretowanej. Symbolika romantyczna wywodzi się genealogicznie z mistycyzmu, a znajduje swą podstawę filozoficzną w romantycznej teorii znaków i hermeneutyce. Dwie te tendencje romantyczne: fantastyka i symbolika, nadają piętno stylowi życia i kulturze romantycznej. Z podanych i ukutych definicji romantyzmu najtrafniejsza jest ta, którą podaje jeden z twórców całego ruchu, Fr. Schlegel. Uważa on, że romantyczne jest to, „was uns einen sentimentalen Stoff in einer fantastischen Form darstellt“ (II 370), przy tym, jak zaznacza w liście do brata (20 października 1798) ma na myśli „das im besseren Sinne Sentimentale d. h. das Vorherrschen des Gefühles, wie es am meisten in der Liebe der Fall ist“. (Zygmunt Łempicki. Renesans, Oświecenie, Romantyzm, Warszawa 1923. „Książnica polska“, str. 192).

Przykład ten mówi, iż tradycyjna wiedza literacka ujmuje styl czysto formalistycznie jako strukturę, jako obiektywizację konwencjonalnego wzorca epoki. Jest to najczęściej w sprzeczności z faktami literackimi. Wzorzec taki jest zbyt ciasny. Jaskrawym przykładem będzie wöllflinowska strukturalna koncepcja stylu barokowego — tak ciasna i nic wspólnego nie mająca z realistycznymi tendencjami naszej literatury epoki kontrreformacji, a nagminnie stosowana przez polskich badaczy. Lecz najistotniejszym brakiem metodologicznym tego formalno-strukturalnego ujęcia stylu będzie jego dowolność. Traktuje się tu formę czysto zdobniczo. Determinuje ją logiką wewnętrzną, układem właściwym danej strukturze. Ale to jest opisowość rzekoma, gdyż koncepcja struktury wymaga wyodrębnienia elementów konstytutywnych (dominanty) i konsekutywnych. To się robi na zasadzie zupełnej dowolności. Rozwiązuje się problem elementów konstytutywnych stylu jak problem układu abstrakcyjnej mozaiki, ornamentu. Można w ornamencie wyodrębnić taki lub inny wzorzec, możliwości jest wiele — jak w psychologicznych przykładach układów spoistych. W cytowanym przykładzie dominantą stylu romantycznego będzie tendencja do fantastyki i symboliki, jej podporządkowany jest np. średniowieczny kostium literatury romantycznej. To rezultat odczytywania mozaiki. Styl jest niewątpliwie

pojęciem funkcjonalnym. Ale Łempicki bierze pod uwagę funkcję danej formy w konwencjonalnym zespole form właściwych strukturze danego stylu. A przecież chodzi o funkcję społeczną poznawanej formy literackiej. Czyż bowiem można „Pieśni Osjana“ wyjaśnić nowonabytą cechą osobowości duchowej „człowieka romantycznego“: historyzmem, zdolnością rozumienia przeszłości, dążnością do nieograniczonego panowania fantazji? Czyż tylko tyle znaczyło odkrycie ludowego średniowiecza literatury najostrzej przeciwstawnej feudalnemu, dworskiemu gustowi klasyków?

Wyodrębnienie konstytutywnych elementów stylu romantycznego w cytowanym przykładzie Łempickiego ukazuje styl romantyczny jako wyraz autonomicznych, duchowych dążeń epoki. Przy tym uniemożliwiona jest naukowa weryfikacja tej koncepcji. Mozaikę można odczytać i inaczej, równie pomysłowo. Jeśli oprzemy się na fałszywym teoretycznym założeniu idealistycznej teorii sztuki, że styl to wyraz swoistych autonomicznych dążeń duchowych twórcy. Jeśli jednak powiążemy dzieło z życiem, zapytamy o jego treść i wartość powstającą, wtedy nasza koncepcja konstytutywnych i konsekutywnych elementów danego stylu będzie sprawdzalna. To walka ideologiczna zdeterminuje problematykę stylistyczną, problematykę artystyczną. Oczywiście nie negujemy tu roli tradycji literackich, skompletowanego zespołu podniet twórczych. Ale trzeba pamiętać, że to są czynniki wtórne. Jeśli kiedy wysuwają się na plan pierwszy — to ta odrębność ma sens ideologiczny, winna być wyjaśniona. Tak się rzecz ma ze wszystkimi stylizatorami. Jednym słowem niekonsekwencja idealistów „polega wcale nie na tym, że się uznaje pobudki idealne, lecz na tym, że nie posuwa dalej, wstecz poza nie, aż do powodujących je przyczyn“ (Engels „Ludwik Feuerbach, str. 67).

Analizy nasze przeciwstawiają się i postulatowi rzekomo neutralnego opisu dzieła literackiego. Opisu, który winien poprzedzać wszelką interpretację, winien być wspólną bazą dla metodologicznie, światopoglądowo różnych interpretacji. Nie ma opisu neutralnego. Opis jest zależny od interpretacji, gdyż ona wyznacza elementy konstytutywne i konsekutywne dzieła. A interpretacja z kolei wyznaczona jest przez pojmowanie dynamik rozwoju literatury. Wiedza tworzy całość wzajemnie zależnych postępowań, od pierwszego kroku do ostatniego. Nie ma neutralnych punktów wyjścia, o wszystkich decyduje naukowy pogląd na świat. Stanowisko bądź idealizmu, bądź materializmu.

Społecznie rzecz biorąc strukturalno-formalna koncepcja stylu jest obroną reakcyjnego, kosmopolitycznego ideału sztuki zdobniczej, stylizatorskiej a przeto formalistycznej, nie związanej z walką społeczną swego kraju, sztuki nie służącej ogólnospołecznemu dziełu, ale zaspokojeniu elitarnych, kontemplacyjnych potrzeb tych, co szukają sztuki-ucieczki od rzeczywistości. A przecież artysta nawet uciekając od rzeczywistości właśnie przez swoją ucieczkę uczestniczy w walce klasowej swego czasu. I bywają w różnych warunkach — ucieczki zrozpaczonych buntowników i usłużnych niewolników. Kto problematyzuje formy literackie w ich historycznym rozwoju odrywając je od walk społecznych —

tworzy pozorną problematykę naukową. Jest to postępowanie metodologicznie bez wartości.

Obrona sztuki stylizatorskiej — to opowiedzenie się przeciw realizmowi, przeciw tradycji sztuki postępowej naszego czasu, przeciw realizmowi socjalistycznemu.

IV. O problemie wartościowania literackiego

Interpretacja ideologiczna uzasadnia i umożliwia wartościowanie estetyczne. Problem wartościowania szczególnie demaskuje kryzys współczesnego literaturoznawstwa burżuazyjnego. Pisałem o tym szerzej w artykule „O burżuazyjnym literaturoznawstwie epoki imperializmu w Polsce". (Pamiętnik Literacki, nr. 1, r. 1950). Wykazywałem tam bezradność burżuazyjnej nauki o literaturze w tej dziedzinie, jej jawne związki z reakcyjnymi dążeniami społecznymi epoki. Marksistowska rewizja zagadnienia ocen literackich otwiera może najłatwiej dostrzegalną perspektywę odrodzenia naukowego literaturoznawstwa, przełamania wstecznictwa, małostkowości i filisterstwa nauki mieszczańskiej.

Wróćmy do klasycznego przykładu z poprzedniego rozdziału. Dlaczego Marks i Engels ocenili negatywnie wartość estetyczną dramatu Lassalle'a? Rozważmy zarzut podstawowy i wybór niewłaściwego bohatera tragicznego, niewłaściwą koncepcję winy tragicznej; tragizmu w ogóle.

Wedle klasyków marksizmu dramat o rewolucji niemieckiej epoki reformacji winien mieć za bohatera nie rycerza von Sickingen, ale przywódcę plebejskiego nurtu reformacji Tomasza Müntzera. Dlaczego? Czy to tylko nieuzasadnione, grymaśne, estetyzujące podstawianie własnej koncepcji na miejsce autorskiej? Nie! Chodzi tu o rzeczy istotne. Tragizmu przegranej rewolucji nie uosabia rycerz von Sickingen, przedstawiciel ginącej klasy, walczący w istocie o ideały przeszłości. Lecz właśnie Müntzer, wyraziciel najbardziej postępowych (historycznie biorąc) dążeń ruchu. Ale jednocześnie reprezentant wówczas nie zróżnicowanej plebejskiej masy, nie skrystalizowanej klasowo. Tragizm jest w rozdźwięku między potrzebami, pragnieniami tych mas — a ich niedojrzałością jako siły rewolucyjnej. Los historyczny Müntzera reprezentuje ten tragiczny, niezawiniony rozdźwięk, który przynosi klęskę. Wybór Sickingena jako bohatera sprowadził wartość poznawczą dramatu Lassalle'a do minimum. Tą drogą nie można było sięgnąć do sedna zjawisk, jeśli się uznało właśnie — wbrew prawdzie dziejowej — Sickingena za bohatera przegranej rewolucji. Dramat musiał się oddalić i oddalił się od ideału realizmu.

Wartości estetycznej nie potrafimy wyodrębnić przez odwołanie się do specyficznego przeżycia estetycznego. Duża książka Ossowskiego „Podstawy estetyki" dowodnie wykazuje bankructwo psychologicznej podstawy estetyki. Ossowski, przejmując te podstawy psychologiczne estetyki po kilkuset stronach rozważań dochodzi do wyniku negatywne-

go stwierdzając, iż nie umiemy wyróżnić swoistych przeżyć estetycznych. Jałowe są pomysły „wiecznych“, „naturalnych“, „psychologicznych“ hierarchii wartości. Normy estetyczne są zmienne, prawidłowości tych zmian zasadniczo odpowiadają prawidłowościom przeobrażeń społecznych. Walka o nowy ideał estetyczny jest fragmentem ogólnej walki klasowej.

Estetyka marksistowska wyraża klasowe dążenia proletariatu w dziedzinie sztuki. Ideał realizmu odpowiada postulatowi pełnej wartości poznawczej sztuki. Proletariatowi potrzebna jest prawda o świecie, ludzkim i pozaludzkim, o jego rozwoju i prawach rządzących tym rozwojem. Krytyka Marksa dotycząca bohatera dramatu Lassalle‘a wyraża to właściwe dążenie do realizmu, do sztuki postępowej. Realizm utworu mierzony obiektywną funkcją dzieła w postępowym procesie rozwoju społecznego. Marksistowskie kryteria estetyczne wyrażają, jak się rzekło, walkę o pełną wartość poznawczą dzieła sztuki. Nie rozstrzyga o tej wartości zawartość publicystyczna, często doczepiona w komentarzu odautorskim — ale właśnie jedność treści i formy, to co stanowi specificum dzieła literackiego, styl, który umiemy interpretować ideologicznie, tzn. w pełni rozumieć i przeżyć. Teoria estetyczna walcząca o walor poznawczy sztuki, to nie są swobodne decyzje niczym nie skrępowanej woli artysty. Determinuje je nasza wiedza o świecie, materialistyczny pogląd na świat. Estetyka jest też formą poznania rzeczywistości, funkcją wiedzy pozaestetycznej o niej. Kryteria realizmu socjalistycznego wyrażają dojrzałość poznawczą sztuki najbardziej przodującej klasy naszej epoki, klasy uzbrojonej w swoje doświadczenia historyczne i swoją filozofię marksizmu-leninizmu.

Arsenał natomiast ocen burżuazyjnego literaturoznawstwa nie należy już w naszej epoce do dziedziny estetyki, ale do dziedziny estetyzowania. Przenika je głęboko formalizm. Weźmy przykład, jak Wacław Borowy ocenia „Monachomachię“, uzasadniając, że mnisi występujący w tym poemacie nie nadają się na bohaterów satyry. A więc problem jakże podobny do sporu Marksa i Engelsa z Lassalle‘m o bohatera dramatu. Dlaczego Borowy dyskwalifikuje mnichów „Monachomachii“ jako bohaterów satyry? (Por. W. Borowy: O poezji polskiej XVIII wieku, str. 119 i inne): „Nie scalają się one w wielkie portrety charakterowe“. „Wszystkie postaci działające przedstawione są szkicowo.“ „....cała charakterystyka postaci wyczerpuje się w większości wypadków na jednym rysie i jakimś szczególe sytuacyjnym“. „Interesuje go (sc. Krasickiego) artystyczna zbiorowość“, która „nie staje się jednolitą masą i zawsze się mieni szczegółami“. „Wszystko to jest stylistycznie świetne i świetnie wlepione w całość. Ale jakiemu celowi służy? Co Krasicki satyryzuje w swoich mnichach?“

Borowy odpowiada: 1) Adres satyry jest zredukowany, bo dotyczy ona tylko mnichów i tego, że ich jest za dużo. A ukazując migawkowo kraj jako „zbiór pustek“ pomija inne przyczyny nędzy i upadku aniżeli mnogość klasztorów. 2) Wśród mnichów krytykuje na równi próżniaków i nieuków z napełnionymi książkową mądrością scholastykami.

A to jest błąd zarówno ideowy jak i artystyczny — sądzi Borowy. Broni bowiem autor scholastyki, oskarża Krasickiego o niedocenianie tej metody, jak mniema znakomitej i chwalonej przez dzisiejszą dekadencką filozofię burżuazyjną. Stąd pomawia Krasickiego o płytkość. „Krótko mówiąc, ukazawszy możliwość głębokości, Krasicki niebawem z niej rezygnuje". „Wszędzie wyczuwa się tę troskę satyryka, aby się nie dostać na zbyt głęboką wodę, aby nie wypłynąć poza obszar żartu". Z jakiego punktu widzenia jakichże kryteriów podjęta jest taka dyskwalifikacja?

W charakterystyce formalnej, zresztą traktowanej jako opis a nie ocena — ale nie ma neutralnych opisów! — absolutyzuje Borowy punkt widzenia współczesnej estetyki burżuazyjnej: np. indywidualizowanie portretu.

W ocenie artystycznej jest eklektykiem, w stosunku do stylu jest pluralistą — interesuje go formalna konsekwencja zamierzenia artystycznego („świetnie wplecione w całość"); w stosunku natomiast do całości koncepcji artystycznej reprezentuje znów ideologiczny punkt widzenia i normy współczesnej fideistycznie nastrojonej burżuazji. Z tego punktu widzenia Krasicki jest jednostronnie ubogi (widzi głównego wroga w mnichach) i płytki (nie docenił scholastyki).

Ten pluralizm, to obiektywnie konserwatyzm estetyczny, to obrona każdego konsekwentnego warsztatu, a więc obrona „doskonałego warsztatu" jako abstrakcyjnego ideału, ideału, który pozwala lekceważyć wartości sztuki zależne od jej roli w rozwoju społecznym. To pozwala wyżej cenić konsekwencję formalną jako walor estetyczny, aniżeli nowatorstwo. Jasne jest, że współcześnie oznacza to uznanie konsekwencji sztuki mieszczańskiej, schyłkowej, sztuki epigonów i stylizatorów, a lekceważenie nowatorstwa literatury realizmu socjalistycznego. Absolutyzacja takiej czy innej normy estetyki burżuazyjnej jest właśnie estetyzowaniem. Jest to najdalsze od postępowania badacza-marksisty uzbrojonego w system estetyczny: konsekwentny wyraz dążeń historycznych postępowej sztuki i walki społecznej proletariatu w dziedzinie kultury. System będący uogólnieniem historycznej drogi sztuki do realizmu socjalistycznego i współczesnej walki o ten realizm.

Wreszcie punkt widzenia współczesnej burżuazji w ocenach estetycznych jest lekceważeniem zasadniczego warunku umieszczenia dzieła sztuki w kontekście historycznym. Jak pisał Lenin: „... sprzeczności w poglądach Tołstoja należy ujmować nie z punktu widzenia współczesnego ruchu robotniczego i współczesnego socjalizmu (taka ocena jest oczywiście konieczna, lecz nie wystarczająca), lecz z punktu widzenia protestu, który musiał się zrodzić w patriarchalnej wsi rosyjskiej, przeciw nadciągającemu kapitalizmowi, ruinie i pozbawieniu mas ziemi." (Lenin o literaturze. Artykuły i fragmenty. „Książka", str. 9—10).

W XVIII wieku koncentrowanie krytycznego ataku na klasztorach i mnichach było uzasadnione. Bić w obskurantyzm reakcyjnego kleru — to znaczyło bić w podwaliny, bastiony feudalizmu. Nie na próżno w 1794 r. lud wieszał w Wilnie Kossakowskich i w Warszawie stawiał szubienicę dla Prymasa-Targowiczanina. W XVIII w. bić w scholastykę na

równi z nieuctwem, to nie była płytkość. To właśnie była bystra, odważna mądrość, która wiedziała, że wielebne głupstwo, przesąd, ciemnota zrośnięte są ze scholastyką, posługującą się nią jak ręka rękawiczką.

Lecz leninowski cytat każe wesprzeć ocenę historyczną oceną z punktu widzenia najbardziej przodującej klasy naszej epoki. I to nie jest ani w sprzeczności z oceną historyczną — jak burżuazyjny punkt widzenia przyjęty przez Borowego, ani nie jest uzurpacją naukowo nieuzasadnioną — jak burżuazyjny punkt widzenia, przyjęty przez Borowego.

Punkt widzenia najbardziej przodującej klasy naszej epoki, punkt widzenia komunizmu, punkt widzenia marksizmu-leninizmu pozwala określić naukowo poprawnie, z punktu widzenia rzeczywiście pełnej, współczesnej świadomości, wartość poznawczą dzieła w przeszłości. A jeśli wartość poznawczą — to również jego stosunek do realizmu jako zasady estetycznej, a więc i wartość artystyczną.

V. O problemie dynamiki rozwoju literatury

Interpretacja ideologiczna jest przygotowaniem badań nad dynamiką literatury, nad prawidłowościami jej rozwoju. I tylko znajomość dynamiki rozwoju umożliwia pełną interpretację i weryfikację hipotez interpretacyjnych. Badania nad dynamiką rozwoju literatury, to w nauce burżuazyjnej bez przesady prawdziwe muzeum patologii. Klasycznym przykładem materialistycznych badań nad dynamiką rozwoju literatury mogą być studia Plechanowa z tego zakresu (Por. J. Plechanow: „Literatura i isskustwo", Moskwa, 1948). Obok tych studiów można by przytoczyć całą już bibliotekę radzieckich prac marksistowskich, zarówno ogólnych syntez jak i szczegółowych monografij. Można ich wyniki dyskutować w szczegółach. Naiwne byłoby dziś dyskutowanie samej zasady metodologicznej i tezy ogólnej, iż prawidłowości zmian literackich są uchwytne, odpowiadają zmianom społecznym, przeobrażeniom dążeń klasowych, uwarunkowanych przeobrażeniami podbudowy ekonomicznej. Plechanow np. śledzi w jednej z rozpraw (str. 216—272 d. c.) przemiany francuskiej literatury romantycznej około połowy XIX wieku. Wykazuje, jak ściśle w zależności od sytuacji społecznej literatura romantycznego buntu, sztuki dla sztuki, pogardy dla filistra, sentymentalnej krytyki kapitalizmu, zmieniała się nieraz w twórczości tych samych pisarzy w literaturę walczącą na tej ziemi, uspołecznioną, gdy tylko narastała sytuacja rewolucyjna. Oczywiście, to jest dynamika rozwoju twórczości zasadniczo postępowych pisarzy. Lecz metodologiczna podstawa badań, wyłożona przy omawianiu w pierwszym rozdziale leninowskiej analizy Tołstoja, jest wszędzie jednakowa. „... pierwsza cecha szczególna produkcji polega na tym, że nie stoi nigdy przez dłuższy czas na jednym miejscu, lecz zawsze znajduje się w stanie przeobrażania się i rozwoju, przy czym przeobrażenia w sposobie produkcji wywołują nieuchronnie zmianę całego ustroju społecznego, idei społecznych, poglądów politycznych, instytucji politycznych — wywołują przebudowę ca-

łego układu społecznego i politycznego". (Stalin J. Krótki kurs, str. 137). Oczywiście trzeba tu zawsze pamiętać o engelsowskiej tezie, o względnej samodzielności nadbudowy, o wzajemnym uwarunkowaniu się podbudowy i nadbudowy*). Trzeba pamiętać, iż twórca nie jest fatalnie zależny od środowiska klasowego. Znamy postaci wielkich odstępców swojej klasy jak np. Turgeniew. Trzeba pamiętać, że dzieło wyniesione na fali postępu ma walor ogólnonarodowy, ogólnoludzki a nie tylko sens klasowy. Jak mówił Lenin, to co Tołstoj umiał pokazać odzwierciedlając rozwój rewolucji rosyjskiej, „posunęło naprzód rozwój artystyczny ludzkości".

Cóż może marksistowskiej koncepcji przeciwstawiać nauka burżuazyjna? Przede wszystkim teorię pozytywistyczną rasy, środowiska, momentu dziejowego. Lecz zasadniczym błędem pozytywistów był ich nienaukowy naturalizm. Ewolucja nadorganiczna (społeczna) miała być tylko przedłużeniem ewolucji organicznej (Spencer). Nie uznawali swoistości i odrębności praw rozwoju kultury. Myślę, że ten naturalizm poddany był tak druzgocącej i wielorakiej krytyce, iż nie warto byłoby się nad nim dłużej zatrzymywać. Lecz cóż mamy w burżuazyjnej nauce poza tym? Teorię reakcji. Wieczne dążenia duszy ludzkiej, rozum lub uczucie prawem reakcji dominują na zmianę w kolejnych epokach. Czy warto polemizować z tak infantylnymi tezami? A może nikt ich nie głosi? Czy mam cytować te strony, na których Konstanty Wojciechowski tak wyjaśnia pozytywizm, lub Wilhelm Feldman (w sposób stylistycznie zamaskowany) literaturę epoki imperializmu?

Często burżuazyjna nauka przemiany epok literackich tłumaczy szczególnym zagęszczeniem występowania danego typu duchowego (twórcy i odbiorcy), jednego typu w tej epoce, innego w sąsiedniej. Czy trzeba długo wywodzić, że żadna statystyka psychologiczno-literacka nie potwierdza tych majaczeń? Często taki typ psychiczny, który ma występować w szczególnym zagęszczeniu w danym miejscu i czasie występuje pod pseudonimem „człowieka średniowiecza", „człowieka baroku". Niestety inne (pozaliterackie, w ogóle pozaideologiczne) dziedziny działania ludzkiego, związane przecież z życiem psychicznym człowieka nie potwierdzają tej tezy, iż pewnej epoce można przyporządkować swoisty typ psychiczny (czy duchowy) i jego udział powinien wyjaśniać swoistości życia ideologicznego epoki. Przeciwnie ludzie o tyle są tacy sami, iż możemy powiedzieć, iż np. ucisk wywoła bunt. Rzecz jasna, inna jest psychologia buntarza średniowiecznego, inna proletariackiego rewolucjonisty. Lecz to odmienne warunki historyczne tych rewolucji kształtują odmienne podstawy psychiczne a nie odwrotnie.

W epoce imperializmu najczęstszy jest agnostycyzm w stosunku do problemów dynamiki. Historyk ma do czynienia ze skończoną ilością form życia kulturalnego. Powinien wedle tych agnostyków wydzielić typologię struktur życia duchowego i opisywać ich obiektywizowanie się w czasie. Zabiegiem pomocniczym będzie tu posłużenie się reakcyjną

*) Cytat z Engelsa. Zesz. hist. 109.

teorią kręgów kulturowych, separującą po rasistowsku różne grupy ludzkie. Teoria ta neguje fakt występowania analogicznych zjawisk nadbudowy na gruncie takich samych typowych przemian podbudowy. Tworzy typy życia kulturowego możliwe w danym kręgu, wyznaczając w ten sposób skończone granice możliwości zmian i wariacyj autonomicznie różnicujących się w czasie faktów kulturowych (literackich itp.). Twórca wyrażać się może tylko w formach właściwych danemu kręgowi kulturowemu. To jest w istocie zaprzeczenie twórczości, nowatorstwa. Krążą w czasie konwencje kulturowe, gotowe idealne wzorce obiektywizowane przez bliskie im duchowo osobowości. Lecz ta agnostyczna teoria tylko nie wie, dlaczego nadbudowa zmienia się tak a nie inaczej. Natomiast zna dobrze i zakłada ogólną teorię rozwoju nadbudowy, właśnie rozwoju całkiem autonomicznego, właśnie reakcyjną i antynaukową teorię. Jej błędność już atakowaliśmy wcześniej parokrotnie. O zależności nadbudowy od podbudowy mówi dziś już bogaty arsenał faktów zebranych przez marksistowskich historyków. Kto ma zasadnicze wątpliwości dzisiaj może już tylko dyskutować szczegółowo z tymi faktami.

Burżuazyjne teorie dynamiki opierają się jeszcze na jednym podstawowym fałszywym założeniu, że w danej epoce mamy do czynienia z jednym nurtem kulturowym. Tymczasem w społeczeństwie klasowym antagonistycznym klasom odpowiadają antagonistyczne — jak mówi Lenin — nurty kulturowe. Zjawiska kultury nie istnieją obok siebie, lecz w walce między sobą. Ścieranie się tych antagonistycznych nurtów tłumaczy ich dynamikę wewnętrzną. Pojawienie się elementów socjalistycznych w kulturze polskiej schyłku XIX wieku, elementów, które rodziło samo bytowanie klas uciskanych — zadecydowało o ewolucji wewnętrznej pozytywizmu, ideologii klasy rządzącej, burżuazji polskiej. Pozytywiści w walce z socjalizmem przechodzą na coraz bardziej wsteczne pozycje. Wystarczy przypomnieć ideową i artystyczną ewolucję odchodzenia od realizmu krytycznego Prusa, Orzeszkowej, Świętochowskiego. Oczywiście w polskiej historiografii literackiej tłumaczy się ewolucję pozytywizmu nie dekadencją tych pisarzy, lecz przeciwnie ich doskonaleniem się, dojrzewaniem, uciszaniem, wracaniem do Boga. I to demaskuje nienaukowość burżuazyjnych kryteriów oceny kierunku rozwoju, czy jest wstępujący czy zstępujący. Rozstrzygnąć to może rozpatrywanie dynamiki literatury w związku z rozwojem społecznym. A jeśli ktoś i wtedy nie potrafi się zdecydować czy postępowi byli socjaliści, czy ich wrogowie — to przynajmniej wszyscy wyraźnie będziemy wiedzieli, że jego kult zacofania w literaturze ma pozaliterackie, klasowe korzenie.

Tradycyjna historia literatury nie opiera swoich interpretacyj na dynamice literatury i dynamice społecznej. Przeciwnie, swoje interpretacyjne teorie rozwoju ducha zakłada jako podstawy dynamiki literatury, jej kierunku rozwojowego. Przykład: Pigoń o Orkanie. (Przedmowa do „Drzewiej"). Pisarz „pogłębia się" i dzieło jego doskonali, gdy odchodzi od społecznego rozumienia istoty konfliktów ludzkich, a dochodzi do metafizycznego. Rozwój zatem ducha ku metafizyce jest doskonaleniem

się i przeto rozwój literatury w tymże kierunku jest doskonaleniem się literatury. Tak Pigoń interpretuje przejście Orkana od naturalizmu do bardziej wstecznych pozycyj symbolistycznych. Dla marksistów, jak powiedzieliśmy, dynamika rozwoju twórczości danego pisarza jest zamknięciem postępowania interpretacyjnego, jest weryfikacją hipotez interpretacyjnych i sprawdzeniem ostatecznym adekwatności opisu. Odrodzenie badań istotnie naukowych, a więc marksistowskich nad dynamiką rozwoju literatury jest warunkiem dźwignięcia naszego literaturoznawstwa z upadku.

*

* *

Dlaczego literaturoznawstwo tak przebudowane, marksistowskie, interpretujące literaturę ideologicznie, klasowo, z punktu widzenia mas walczących o wyzwolenie i nowy ustrój — rzeczywiście współbuduje socjalizm, toruje drogę nowej literaturze, literaturze, której lud potrzebuje? Dlaczego jest istotnie zdolne pomagać w walce o realizm socjalistyczny? Literaturoznawstwo marksistowskie wymaga wszechstronnej znajomości faktów literackich, nie eliminuje — w przeciwieństwie np. do burżuazyjnego formalizmu — żadnego zakresu problematyki badawczej. Docenia zatem wiele osiągnięć i zdobyczy nauki w przeszłości. Istotną rzeczą jest jednak, iż wskazuje trafnie na czynniki **decydujące** istotnie zarówno o rozwoju historycznym literatury jak i sensie, i funkcji społecznej dzieła. Wskazuje, iż te same czynniki w ostatecznej instancji decydują o rozwoju literatury, które rozstrzygają walki społeczne o wyzwolenie mas, o postęp, o lepsze życie, o godność człowieka. Ukazuje związek literatury z życiem społecznym, z jego walkami, z ich uczestnikami. Uczy przeto jak i dziś wiązać literaturę powstającą i jak ożywić i związać postępową tradycję literacką z ogólnospołecznym dziełem wyzwolenia człowieka z ucisku klasowego.

Ta nauka o literaturze jest zdolna przeto torować drogę nowatorstwu literackiemu. Literatura, na którą liczy lud, ludzie pracy, socjaliści naszej epoki ma już swoje doświadczenia w skali światowej, ma świetny dorobek literatury radzieckiej, ma swoją teorię, estetykę realizmu socjalistycznego. Realizmu, który umiałby ukazać prawdę artystyczną naszej epoki, sprostać rzeczywiście problemom naszego wieku, problemom budownictwa socjalistycznego.

Stefan Żółkiewski

ALEKSANDER PUSZKIN Przełożył ADAM WAŻYK

EUGENIUSZ ONIEGIN

Rozdział drugi

O rus!
Horacy
O Ruś!

I

Urocze było to pustkowie,
Gdzie się Oniegin szczerze nudził;
Tam mógłby sławić was, bogowie,
Kto chce po sielsku żyć bez ludzi.
Od wiatru dobrze wzgórzem kryta
Siedziba pańska tuż nad rzeką
Stała w zaciszu. Niedaleko
Pstrzyły się łąki, łany żyta
Wschodziły złotem jaśniejące,
Widniały wioski; tam i sam
Stada pasały się na łące,
A za kratami rdzawych bram
Zaplatał gąszcze park zdziczały,
W nim — driady zamyślone stały.

II

Dwór był solidnie budowany,
Jak dwór budować nam wypada;
Czcigodne i zaciszne ściany

Chwaliły mądry gust pradziada.
Wysokie stropy i brokaty
Porozpinane w wielkiej sieni,
W ramach carowie rozwieszeni,
Piec kaflowany i pstrokaty.
Dziś to podobać się przestało,
Czemu doprawdy nie wiem sam;
I Eugeniusza bardzo mało
Obszedł ten staroświecki kram,
Bo mój przyjaciel ziewał stale,
Czy stare miał czy modne sale.

III

W tej samej izbie się umieścił,
Gdzie do niedawna stryj hreczkosiej,
Zbijając muchy lat czterdzieści,
Patrzył przez okno, klął gosposię.
Dwie szafy, stół — prostota szczera,
Podłoga dębem wykładana,
Kroplą inkaustu nieskalana.
Oniegin szafy pootwierał
I taki znalazł tam inwentarz:
Nalewki i jabłeczny sok,
Księgę rozchodów i kalendarz
Na tysiąc ośmset ósmy rok;
Stryj się od zajęć nie odrywał,
Innych więc książek nie czytywał.

IV

Oniegin, pan rozległych włości,
Dla zbicia czasu, na początek
Umyślił sobie w samotności
Nowy wprowadzić tu porządek.
Mędrzec na puszczy — zniósł niewolę,
Zmienił pańszczyzny dawnej brzemię
Na lekki czynsz i orząc ziemię
Niewolnik błogosławił dolę.
Ale widziało się sąsiadom,
Że na straszliwy pomysł wpadł,
Ten się uśmiechnął, ów się nadął,
I z obliczenia przyszłych strat
Wynieśli wyrok ostateczny,
Że dziwak z niego niebezpieczny.

V

Z początku chętnie zaglądali
Do dworu, lecz gospodarz znikał,
Ledwie na szosie gdzieś w oddali
Zaturkotała stara bryka;
Od tylnej sieni po kryjomu
Dońskiego źrebca siodłać kazał —
Zbyt ciężka była to obraza,
By miał kto bywać w takim domu.
„Nasz sąsiad gbur, dostaje bzika,
Farmazon, ciągle tylko sam
Czerwone wino duszkiem łyka,
Nie ucałuje rączek dam,
Nieokrzesany w mowie młodzik —
Nie zna waćpanów ni dobrodzik."

VI

W tym czasie niespodzianie osiadł
W pobliskim dworze nowy dziedzic
I znowu mógł niejeden sąsiad
Surowy sąd swój wypowiedzieć.
Nazywał się Włodzimierz Leński,
W rozkwicie dni młodości pierwszej
Podziwiał Kanta, pisał wiersze
I duch w nim mieszkał getyngeński.
Tylko co wrócił z Niemiec mglistych,
Przywiózł tamtejszych nauk plon —
Marzeń wolności, snów strzelistych,
Entuzjazm i dziwaczny ton,
Słowa goniące pod obłoki
I aż do ramion krucze loki.

VII

Nietknięty zimnym wyuzdaniem
Wielkiego świata, sercem płacił
Za każdy ciepły uśmiech panien
I za życzliwą dłoń przyjaciół;
Miły prostaczek, co po cichu
Słodką nadzieją kołysany
Wybiegał myślą w niezaznany
Świat pełen gwaru i przepychu,
Niepokój serca jakże gładko
Uciszał, jakże błogo śnił!
Cel życia kusił go zagadką:

Próbował, nie żałując sił,
Rozwiązać ją — a nuż się uda,
I skrycie podejrzewał cuda.

VIII

Wierzył, że losem przeznaczona
Dusza się zejdzie z nim bliźniacza,
Że oddaleniem udręczona
Czeka na niego i rozpacza;
Że każdy, kto mu bliski sercem,
Da się za niego skuć w kajdany,
Za jego cześć — na sygnał dany
Nie cofnie ręki, tnąc oszczercę;
Że jest jakoby poczet święty
Druhów ludzkości pośród nas —
Do nieśmiertelnych dzieł poczęty,
Że kiedyś, gdy nadejdzie czas,
Światłem nas wielkim opromieni
I świat szczęśliwie nam odmieni.

IX

Umiłowanie dobrej sprawy,
Współczucie, święte oburzenie,
Słodka pokusa przyszłej sławy
Wprawiała krew w młodzieńcze wrzenie.
Z tej samej ziemi w świat wyruszył,
Gdzie śpiewał Goethe, marzył Schiller,
Pod ich niebami stroił lirę,
Płomień z ich iskry uniósł w duszy.
Szczęśliwiec, bo nie sponiewierał
Kunsztu najdostojniejszych muz;
Do wzniosłych uczuć słów dobierał,
Godnie do pieśni swojej wniósł
Dziewiczych marzeń ostre wzloty
I delikatnej wdzięk prostoty.

X

Śpiewał i pieśń miłością poił,
A pieśń to była tak świetlana,
Jak prostodusznej myśl dziewoi,
Jak sen młodzianka, jak Dyjana
Idąca przez niebiosa czyste,
Bogini westchnień, wzruszeń tajnych;
Śpiewał swój żal u dróg rozstajnych,

I smętne coś i dale mgliste,
I romantyczne róże śpiewał,
I wędrowania swego kres
W odległych krajach, gdzie przelewał
Śród ciszy strugi żywych łez;
Śpiewał poblakłe życia kwiecie
Bez mała w osiemnastym lecie.

XI

Któż mógł te dary w głuszy wiejskiej
Ocenić poza Eugeniuszem?
Od braci-ziomków stronił Leński
Niezachwycony animuszem
Sąsiedzkiej uczty i rozmowy.
Stateczny dyskurs prowadzili
O żniwach, psiarni, o familii —
I oczywiście w tej domowej
Gawędzie ani błyśnie swada
Uczucia, ani myśli gra,
Wena poezji ni ogłada,
Ani dowcipu lotna skra;
A jeszcze bardziej niezdarzony
Dyskurs prowadzą miłe żony.

XII

Bogaty, piękny Leński wszędzie
Uchodzić mógł za konkurenta;
Choć pół Rosjanin, gdzie przybędzie,
Tam wszyscy rają mu dziewczęta;
Na wsi to zwyczaj już codzienny:
Gość wszedł—po pierwszym, drugim słowie
Z boku zatrąca ktoś w rozmowie
O nudny, przykry stan beżżenny;
Dunia nalewa z samowara,
„Pilnuj go, Duniu", szepcze ktoś,
Niebawem zjawia się gitara
I musi słuchać sąsiad-gość,
Jak Dunia piszczy (ocal Boże!):
„Pójdź do mnie, czekam
w złotym dworze"!

XIII

A młody Leński jadąc w gości
Ani tam śnił o zaręczynach,
Wyglądał tylko sposobności,

By poznać bliżej Oniegina.
Jak potok różni się od głazu,
Od prozy — wiersz, lód od płomienia,
Tak różne dwa usposobienia
Zeszły się w dwóch sąsiadach. Zrazu
Nudzili się aż polubili,
I odtąd w pole albo w las
Samowtór dzień po dniu jeździli.
Tak, gdy leniwie płynie czas,
Ja sam to wyznać się ośmielę,
Z nudów — gotowi przyjaciele.

XIV

Nie bywa śród nas przyjaźń szczera;
Przesądy tępiąc i słabostki,
W innych widzimy same zera,
A siebie — mamy za jednostki;
Każdy bryluje i w zapędzie
Pogardy gra Napoleona;
Drwiąc sobie z uczuć chce z miliona
Dwunogów ślepe mieć narzędzie.
Oniegin, trzeba przyznać, bardziej
Miarkował się, choć poznał świat —
I choć na ogół ludźmi gardził,
Gdy kto już w łaskę jego wpadł,
Wtedy szanował i rozumiał,
Serca wymowę cenić umiał.

XV

Z uśmiechem słuchał i spoglądał:
Egzaltowany styl poety
I umysł jeszcze chwiejny w sądach,
I w oczach wieczny blask podniety —
Wszystko to było mu nowiną;
Strzegł się, by słowem jadowitym
Nie struć młodzieńca, myśląc przy tym:
Te uniesienia same zginą,
Więc po co gasić zapał świeży?
I tak go czeka próba lat;
Na razie niechaj sobie wierzy
W ten ponoć doskonały świat;
Niech żyje w błędzie czy w ułudzie —
Młodości żar młodemu ujdzie.

XVI

O wszystkim mieli zdania sprzeczne
I wszystko do dyskusji wiodło:
Plemienne pakty średniowieczne,
Postępy nauk, zło i dobro,
Z dawna pleniące się przesądy
I tajemniczy byt za grobem,
I los, i życie — tym sposobem
Wszystko wpadało pod ich sądy.
A gdy poeta w spór burzliwy
Nagle Osjańską wtrącał pieśń,
Tamten, nad podziw pobłażliwy,
Pozwalał się na Północ nieść;
Chociaż zrozumieć mógł przeciętnie
Trzy po trzy, słuchał bardzo chętnie.

XVII

Świat namiętności był przedmiotem,
Który najbardziej ich zaprzątał.
Oniegin trzeźwo mówiąc o tem
Nieraz westchnienie jakieś wplątał,
Jakby przemycał gorzkie żale.
Szczęśliwi, którzy nie sterani
Po burzach dotrą do przystani;
Szczęśliwy, kto ich nie zna wcale,
Lub kto rozłąką miłość studzi,
Obmową — gniew, kto nie zna mąk
Zazdrości, kogo w miarę nudzi
I żona, i przyjaciół krąg,
Kto ustrzegł dziadów swych kapitał —
Przewrotnych kart o zysk nie pytał.

XVIII

Kiedy rozsądek nas zaciągnie
Po stu oporach do przystani,
Gdy w sercu się dopalą ognie
I śmiać będziemy się z tyranii
Namiętnych uczuć, z gwałtowności
Dawnych porywów i nawrotów,
Niejeden z nas posłuchać gotów
Języka cudzych namiętności,
I wtedy dziwne mu się wyda,
Że czuje żywszy serca ruch;
Tak stary wojak inwalida

Zwykle nastawia chętny słuch,
Kiedy do chaty wąsal młody
Przyniesie z pola swe przygody.

IXX

Nawzajem — młodość gadatliwa
Z wszystkiego się gotowa zwierzyć —
Z miłości, z gniewów, nie ukrywa
Radosnych ani smutnych przeżyć.
Oniegin grając inwalidę
Wyraz powagi sobie nadał,
Kiedy poeta się spowiadał.
Wylewnych słów nie tłumił wstydem,
Poczciwej duszy każdy kątek
Chętnie odsłaniał aż do dna.
I tak młodości czuły wątek
Poznał Oniegin w ciągu dnia —
Powieść ze wzruszeń układaną,
A nam od dawna dobrze znaną.

XX

Ach, kochał tak, jak nie sądzono
Nikomu kochać dziś kobiety,
Jak tylko jeszcze mógł szaloną
Miłością kochać duch poety:
I zawsze jedno upragnienie,
Jedna tęsknota nieodmienna
I troska jedna i codzienna,
I nic — ziębiące oddalenie,
I nic — rozłąki długie lata,
I nic — składany muzom dar,
I nic — obcego urok świata,
Nauki trud, zabawy gwar —
Odmienić nie mógł nikt i niczym
Duszy ogrzanej snem dziewiczym.

XXI

Jeszcze chłopięciem, zanim zdążył
Poznać męskiego serca bóle,
Olśniony wśród zabawy krążył —
Olgę oczami gonił czule.
Tam, gdzie życzliwy cień w dąbrowie
Czeka na dzieci, swawolili,
I ślubne wianki dla nich wili

Zgodni sąsiedzi — ich ojcowie.
Pod rodzicielskim okiem skrycie
Tam się jej czar niewinny snuł
I w leśne tuląc się poszycie
Kwitła, jak kwitnie pośród ziół
Konwalia, której ani zdoła
Wypatrzyć motyl albo pszczoła.

XXII

Ona to, Olga, darowała
Pierwszy uroczy sen poecie
I o niej myśl zaczarowała
Młodzieńcze tony w jego flecie.
Żegnajcie, złote lata zabaw!
Polubił gęste gajów cienie,
Zacisze, noc, osamotnienie,
I rozmiłował się w powabach
Księżyca, lampy sfer wysokiej,
Tej, która pośród nocne mgły
Śledziła nieraz nasze kroki
I naszych serc osłodę — łzy...
A teraz, gdy nas noc ogarnia,
Świeci nam jako mdła latarnia.

XXIII

Zawsze wesoła jak rumiany
Poranek, skromna należycie,
Miła jak całus ukochanej
I prawa — jak poetów życie;
Oczy — błękity spod jej powiek,
Lniane jej loki, uśmiech słodki,
Głos, ruchy, wdzięk kibici wiotkiej
I... weźcie romans jakikolwiek,
A da wam portret jej dokładny
Wymalowany właśnie tak!
Kiedyś lubiłem go, bo ładny,
Ale odmienił mi się smak.
Mam, czytelniku, radę prostą,
Zajmiemy się jej starszą siostrą.

XXIV

Na imię było jej Tatiana...
Zwyczajne imię w mej powieści,
Chociaż to śmiałość niesłychana,

Przyświecać będzie czułej treści.
I cóż? Tatiana — wcale ładnie,
Ale w tym dźwięku, każdy przyzna,
Odzywa się staroświecczyzna,
Imię się prosi do czeladnej.
Bo gustu, prawda to najszczersza,
Nam i nazwaniom naszym brak,
(Nie mówmy już o wdzięku wiersza),
I Oświecenia cały smak
Dał nam korzyści tak niewiele,
Bo same tylko ceregiele.

XXV

A zatem zwano ją Tatianą.
Nikt by nie poznał, że to siostra:
Ani świeżością lic rumianą,
Ani urodą jej nie sprosta.
Milcząca, bojaźliwa, dzika,
Rośnie jak obce dziecko w domu,
Nie lubi zwierzyć się nikomu,
Jak leśna sarna z oczu znika;
Ani u ojca ni u matki
Nie umie się dopraszać łask,
Śród dzieci — stroni od gromadki,
Odstrasza ją wesoły wrzask,
A często cały dzień u okna
Przesiedzi cicha i samotna.

XXVI

Zaduma, przyjaciółka miła,
Wierna od wczesnych dni Tatianie,
Światem marzenia uświetniła
Przewlekłe wiejskie próżnowanie.
W dzieciństwie Tania moja smutna
Nie brała w wątłe palce igły,
Barwnym jedwabnym ściegiem nigdy
Nie próbowała wyszyć płótna.
W dziewczątku żądza panowania
Rodzi się od najmłodszych lat:
Do posłuszeństwa lalkę skłania,
Udziela jej statecznych rad,
Jako osobie niedojrzałej —
Powtarza mamy swej morały.

XXVII

A Tania nawet w owe lata
Nigdy nie brała lalki w ręce,
Pogłosek, mód wielkiego świata
Nie omawiała. Gry dziecięce
Były jej obce. Jakże mocniej
Sidłały młodą wyobraźnię
Straszne powieści, groźne baśnie
Bajane zimą w ciszy nocnej.
Gdy na głos niani do zabawy
Dziewczęta ustawione w rząd
Goniły z Olgą przez murawy,
Tania się zaszywała w kąt;
Przykrzyły jej się dźwięczne śmiechy,
Gwarne, ulotne ich uciechy.

XXVIII

Lubiła stawać na balkonie,
Nim wschód zabłyśnie ranną zorzą,
Ledwie na bladym nieboskłonie
Gwiazd korowody się zatrwożą,
I krawędź ziemi się zapłoni,
I zwiastun świtu, wietrzyk chłodzi,
I nowy dzień stopniowo wschodzi.
A zimą, kiedy w nocnej toni
Pół ziemi grąży się na dłużej
I drzemie dłużej świata spód,
A górą księżyc się zachmurzy
I nie nadąży gnuśny wschód,
Ona, jak zwykle, spać nie może
I świeci świecę o tej porze.

XXIX

Romanse polubiła Tania;
Wciąż je czytała zachwycona,
Wszystko dokoła jej przysłaniał
Wymysł Rousseau i Richardsona.
Ojciec jej, poczciwości człowiek,
Przeżytek wieku minionego,
Nie widział w książkach nic zdrożnego;
Nad drukiem sam nie trudził powiek
I nie dbał, jaki tam do rana
Pod jaśkiem córki drzemie tom.
Pusta igraszka, dzieciom dana,

Od której się nie spali dom.
A jego żona, ta bez mała
Za Richardsonem przepadała.

XXX

O tak! Wielbiła Richardsona,
Nie przeto, żeby miała czasem
Poczytać, żeby Grandisona
Miała porównać z Lovelasem;
Ale mówiła jej przed laty
O nich moskiewska jej kuzynka,
Wyrocznia — księżna Augustynka.
W tym czasie szły dopiero swaty
Z jej przyszłym mężem, nie z wyboru,
Bo serce jej kto inny skradł,
Dla zalet ducha, dla poloru —
W jej oczach znacznie więcej wart;
Ów Grandison był znanym frantem,
Karciarzem, gwardyi sierżantem.

XXXI

Jak on, umiała cenić modę
I przestrzegała jej starannie.
Aż nie pytając o jej zgodę
Wesele wyprawiono pannie
I, aby wyrwać ją z rozpaczy,
Przezorny mąż czym prędzej na wieś
Postarał się małżonkę zawieźć,
Wprowadził ją, Bóg wiedzieć raczy
Pomiędzy kogo; ile szlochu,
Ile tam było groźnych scen;
Chciała się rozwieść, aż po trochu
Wrócił apetyt, zdrowy sen.
Przyzwyczajenie nam jest dane
Po to, by szczęścia mieć zamianę.

XXXII

Przyzwyczajenie było ulgą,
Reszty dokonać miało życie
Na gospodarstwie, niezadługo
Wielkie przynosząc jej odkrycie.
Była to sztuka tajemnicza
Rządzenia mężem samowładnie,

Niech tylko sekret ten odgadnie,
A wszystko pójdzie w ruch jak z bicza.
Popędza w polu do roboty
I każe chłopom golić łeb,
Chodzi do łaźni co soboty,
Prowadzi księgi, piecze chleb,
Dziewuchy bije, grzyby soli,
Nie pyta męża czy pozwoli.

XXXIII

W albumach panien, w czułym liście
Dawniej się krwią podpisywano,
Ciągnęła słówka jedwabiście,
Praskowię Niną nazywała:
Ciasno się obciskała w stanie,
Przez nos mówiła N rosyjskie
Jak N francuskie, później wszystkie
Gorsety, album, listy panien,
Fochy, wspomnienia o kuzynce
Przepadły, zniknął śpiewny ton
I znowu jest na imię Nince
Akułka; śladem innych żon
Każe na zimę czy na lato
Szlafrok i czepek podszyć watą.

XXXIV

Mąż pobłażliwy nie do wiary
Żadnego jej nie bronił kroku,
Kochał ją, ufał jej bez miary,
Sam zresztą jadł i pił w szlafroku.
Życie płynęło mu spokojnie;
Czasem pod wieczór się schodzili
Sąsiedzi, przyjaciele mili;
Ani im w głowie ceremonie,
Żalom i kwasom dadzą folgę,
Trochę pośmieją się i wnet
Do samowara pchnie się Olgę;
Czas na gawędzie prędko zszedł,
Ledwie podjedli spać już pora
I rozjeżdżają się ze dwora.

XXXV

Poczciwe staroświeckie gusty
Przetrwały w praktykach rodziny;
W tym domu, kiedy szły zapusty,

Smażyło się rosyjskie bliny;
Pościli raz i drugi w roku;
Lubili świątki i niedziele,
Wróżby, korowód, karuzele;
Na Świętą Trójcę, gdy w natłoku
Lud słuchający modłów ziewa,
Łezki ronili wstając wczas;
I jak powietrza płucom trzeba,
Tak był potrzebny w domu kwas,
I ten był pierwszy do talerzy,
Komu z urzędu się należy.

XXXVI

I tak starzeli się oboje.
A że nikt nie zna swej godziny,
Śmierci otwarły się podwoje
I mąż wziął nowe zaślubiny.
Umarł na krótko przed obiadem,
Sąsiedzi, żona, córki obie
Opłakiwali go w żałobie.
Poczciwym, zacnym był sąsiadem
I tam gdzie legł, zwyczajem starym
Nagrobny ociosano głaz,
I napis głosi: D m i t r y Ł a r i n
S k r u s z o n y g r z e s z n i k w ł a-
s c e z g a s ł,
B r y g a d i e r, w B o ż y m d z i ś
o r d y n k u,
N i e c h a j z a ż y w a t u s p o c z y n k u.

XXXVII

Do swych penatów powróciwszy
Leński odwiedził grób sąsiada:
Tu poczuł w sercu żal najtkliwszy,
Wzdychał i sam do siebie gadał;
Długo wpatrywał się w mogiłę;
„Poor Yorick! — szeptał jak w udręce —
On mnie w dzieciństwie brał na ręce,
Jego medalem się bawiłem,
A był to medal łyczakowski!
On Olgę, dobrze o tym wiem,
Dla mnie przeznaczył, pełen troski,
Czy sam nacieszy się tym dniem...“
To w szczerym smutku i żałobie
Leński wypisał wiersz na grobie.

XXXVIII

Uczcił też prochy rodzicielskie
Obchodząc rzewne to ustronie,
Ze łzami w oczach wiersze sielskie
Nakreślił... Tak to na zagonie
Wschodzą, dojrzeją, już się kładą
Z tajemnej woli przeznaczenia
Przelotne ludzkie pokolenia,
I nowe kwapią się tym śladem...
Tak nasz znikomy ród wypiera
Pradziadów pod mogilny głaz,
Rośnie i kłębi się, i wzbiera...
Przyjdzie i na nas, przyjdzie czas,
Przeminą nasze piękne lata.
Wnukowie wyprą nas ze świata!

XXXIX

Tymczasem, komu żyć ochota,
Niech się wyszumi, przyjaciele!
Wierzcie mi — nędzę nędz żywota
Znam i nie stoję o nią wiele.
Złudzenia dawno się rozchwiały,
Ale są chwile, co nadzieją
Poruszą serce i rozgrzeją:
Chcę żyć i pisać bez pochwały,
Korci mnie tylko, by zostawić
Ledwie uchwytny jaki ślad,
Smutny swój los bodaj rozsławić,
Nim trzeba będzie żegnać świat,
By, jak przyjaciel mój, przytomnie
Choć jeden dźwięk poświadczył o mnie.

XL

I może serce czyjeś spotka;
I taka będzie moja chwała,
Że z łaski losów moja zwrotka
Od wód letejskich ocalała;
I może (miła to podnieta!)
Jakiś prostaczek pospolity
Wskaże mój portret znakomity
I powie: to ci był Poeta!
Więc tobie dzięki me najszczersze,
O, miłośniku cichych muz,
Ty, co ulotne moje wiersze
Wnukom w podarku będziesz niósł,
Ty, co wspaniałomyślną dłonią
Otrzepiesz laur nad starczą skronią.

przełożył **Adam Ważyk**

W ŚRÓD KSIĄŻEK

STANISŁAW JERZY LEC: *Nowe wiersze.* Książka i Wiedza, 1950, str. 48.

Stanisław Jerzy Lec należy do tych nielicznych poetów, wywodzących się literacko z okresu dwudziestolecia, którzy przeszli dużą i zasadniczą ewolucję ideologiczną. Książki jego wydane w tym czasie: „Zoo", „Barwy", „Satyry patetyczne" i wiele wierszy drukowanych w prasie demokratyczno-postępowej, które poeta mógł ogłosić w tomiku dopiero po wojnie, wskazywały nie tylko na chęć przeciwstawienia się klasie, z której wyszedł, ale już na świadomą drogę rewolucyjnego pisarza. Oczywiście poezja jego, mieszcząc się w nurtach poetyckich dwudziestolecia, kryła w sobie pewne naleciałości estetyki mieszczańskiej, od której jednak odcinała go coraz bardziej wyraźna pod względem ideologicznym tematyka. Po wojnie Lec wydaje „Notatnik Polowy", jedyny dotychczas tom wierszy o partyzantce AL-u, oraz dwa tomy poetyckich satyr: „Spacer cynika", będący wyborem wierszy przedwojennych i „Życie jest fraszką" — satyry i fraszki napisane już po wojnie. O ile tom pierwszy przyniósł wiersze satyryczne ostro przeciwstawiające się przedwojennym próbom faszyzacji kraju, wskazujące jednocześnie na groźbę hitlerowskiego najazdu, to tom drugi przyniósł utwory, które walczyły z obskurantyzmem nie wyplenionym do gruntu z naszego społeczeństwa.

„Nowe wiersze" Stanisława Jerzego Leca na tle dorobku tego poety stanowią ciekawy materiał do analizy krytycznej. Zaskakuje tematyka niemal całkowicie inna od wszystkich poprzednich książek Leca. Większość wierszy zamieszczonych w książce stanowią wiersze „wiedeńskie" tj. opisujące Wiedeń albo Austrię. Ponadto mamy tu kilka wierszy satyrycznych i kilka ściślej politycznych. Zresztą wszystkie te wiersze są polityczne, tylko że ostrość widzenia politycznego nie we wszystkich utworach jest jednakowa. Nasuwa się wobec tego mnóstwo pytań i wątpliwości, które krytyk powinien rozsuplać. A więc, co oznaczają w ogólnym dorobku poety „Nowe wiersze"? Czy świadczą one o dalszym stopniu krystalizacji jego ideowego poglądu na świat?

Trudność oceny nowego tomiku Stanisława Jerzego Leca polega na niejednolitości zebranych tu wierszy. Wiersze nazwane przeze mnie „wiedeńskimi", powstałe z przeżyć „pod innym niebem", kontynuują jakiś artystowsko-wrażeniowy typ przedwojennej liryki mieszczańskiej. Można je nazwać poetyckim notatnikiem turystycznym, mimo że w miejscach opisywanych, z którymi wiążą go węzły rodzinne lub wspomnieniowe, autor czuje się jak w domu.

W wierszach „wiedeńskich" Lec łączy sentyment do świata mieszczańskiego z jednoczesnym spojrzeniem antymieszczańskiego satyryka, sentyment do spraw odchodzących, umierających — z podziwem i uznaniem dla przejawów nowości, często rozrywających kanony harmonijnego piękna przeżyciowych zabytków.

„Przez sal wypalonych półmrok
tłoczy się wiatrów reszta,
suszy bieliznę na sznurach
służbie, co w gmachu mieszka."

Przytoczone zakończenie wiersza „Nad kanałem Dunaju" jest typowe dla Leca. Zacytujmy jeszcze dla większej jasno-

ści fragment z wiersza „Rekonstrukcja tumu św. Szczepana“:

„Pożar przedmuchał wieżę
W wielki gotycki żużel.
Tutaj szeptałem: „Wierzę“,
kwitły kamienne róże.

Z obiadu powrócił monter,
zniknął w kamiennym tłumie,
Gdzieś z niewidzialnych pięter
gwiżdżą szlagier o tumie.“

Ciągle powtarza się takie właśnie kontrastowanie, takie burzenie co krok lirycznego „banału“ lub piękna należącego do przeszłości, takie zrywanie z bezruchem „poetycznej“ przeszłości mieszczańskiej, będącej punktem wyjściowym. W ten sposób liryk z satyrykiem dyskutują w wierszach wiedeńskich Leca. Austria, Wiedeń przeszłości, pełnej wdzięku lecz zamierającej urody, i warstwa Wiednia nowa, świeża — pochlapana wapnem i zmącona gwizdaniem robotnika — nakładają się na siebie tworząc obraz trochę niespokojny, a jednak przesycony sentymentem.

Mamy także w wierszach z Wiednia bezpośrednią satyrę antyfilisterską. Wytyka ona i tłusty barok Panu Bogu, i praczce wiedeńskiej „wytrzepywanie wiatru Union Jack“ z bielizny alianta, penetruje kawiarniany zielnik gości w wierszu „W kawiarni na ringu“. Jest to satyra antymieszczańska, ale właściwie uprawiana z mieszczańskich pozycji. Autor sam to sobie uświadamia:

„Trzeba by było ich
socjologicznie ułożyć
w chaosie moich doznań.“

W ostatniej książce Leca znajdujemy kilka pięknych utworów o czasach minionej wojny. Należą one do dłuższego szeregu wierszy o wojnie, napisanych przez poetów polskich. Do cyklu tych wierszy, które — jeśli nawet nie wymieniają słowa: pokój — to o pokój walczą, należy np. „Plac młodości“ Leca, „Alpów piękno“, „Wiatr głaszcze szczecinkę liszki“, „List do Stanisława Wygodzkiego“. Nawiasem chcę dodać, że wydobyte przeze mnie grupy wierszy rozrzucone są w zbiorku chaotycznie. Sądzę, że nieszczęśliwy układ tomiku zaciemnia linię myślową i ideową poety.

Z żołnierskiego doświadczenia wojny mamy jako echo „Notatnika polowego“ wiersze: „Piosenka byłego partyzanta“ i „Zrzut nocny“. Ale wymienione poprzednio wiersze związane z wojną wzbogacają się wobec tamtych motywów jakąś głęboko humanistyczną i moralną refleksją.

Dowodem słusznego, politycznego interpretowania wojny przez Leca jest jego wiersz „Rozmowa z Rozą Thälmann“, wiersz o problemie niemieckim.

„Rozmowa z Rozą Thälmann“ należy już zresztą do wierszy o wyraźnym obliczu politycznym, takich, jak świetny wiersz poświęcony robotnikom francuskim: „Człowiekowi o oczach łamistrajka“.

W tych wierszach St. J. Lec przezwycięża prawie całkowicie mieszczańskość (mimo że była to mieszczańskość skłócona wewnętrznie) poprzednich wierszy i okazuje się świadomym poetą rewolucyjnym:

„Gdy oni ręce złożą, staje czas
i woda tryskać przestaje ze źródeł,
nie rośnie światło, nie oddycha gaz,
ziemia zasklepia ciepłodajną rudę.

Gdy oni ręce złożą, wstaje strach,
wyciąga język z rotacyjnych maszyn
i sierścią luf porasta każdy gmach
na oddech pieśni o sztandarze naszym.“

Należy się spodziewać, że poeta wyszedłszy obronną ręką z nastrojów mie-

szczańsko-wiedeńskich i znalazłszy tak mocny wyraz dla swoich refleksji wojennych, nie straci nadal żywego kontaktu z rzeczywistością. Związanie z rzeczywistością jest zresztą konieczne dla jędrnej, rzeczowej poezji Leca. Sam poeta zdaje sobie z tego sprawę; nie wystarcza mu nastrojowo-opisowy liryzm pozbawiony humanistycznego związku z postępowym nurtem życia:

„Cóż mi krajobraz świata bez głosu człowieka,
gdzie deszczu łza jedynie w zmarszczki drzew zacieka.

— — — — — — — —

A ja okryty sierścią, piórami czy łuską,
chcę choćby oczu wroga krwią nabiegłych ludzką."

Toteż związanie tej poezji z rzeczywistością walki rewolucyjnej — to nie jest tylko życzenie krytyka, ale odczytanie tego, co się już w „Nowych wierszach" zapisało jako punkt dojścia — jest obowiązującym na przyszłość osiągnięciem. Tym bardziej obowiązujące wobec sprawności narzędzia poetyckiego Leca, wobec dojrzałości jego języka, który potrafi nazywać rzeczy po imieniu.

Anna Kamieńska

TADEUSZ KUBIAK: *Słowo pod żaglem.* Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, 1947, str. 72; *Żołnierze i Robotnicy,* Prasa Wojskowa, 1949, str. 30; *Człowiek jest blisko.* Książka i Wiedza, 1949, str. 78.

Pierwszy zbiór poezji Tadeusza Kubiaka wyrósł z tej samej postawy, którą zajmowało wielu młodych poetów po wojnie: koszmarne obrazy zniszczenia, pohańbienia człowieka górowały w tych wierszach i nie widać było sił wyzwalających z koszmaru. „Słowo pod żaglem" Kubiaka nawiązywało w stylu do rozmaitych poetów czasów przedwojennych. Te czy inne naśladownictwa były tu sprawą drugorzędną.

Decydowały tragiczne obrazy niedawnej przeszłości. Decydowała obserwacja, chociaż widziany świat pod wpływem ciężkich wzruszeń zmieniał się niekiedy w oczach poety w obraz tragicznej groteski. Jeśli jednak w twórczości Różewicza koszmarna groteska z gorzkim ironicznym wydźwiękiem przez długi czas stawała się niemal zasadniczym wyrazem wiersza, to Kubiak starał się oprócz tego dostrzec żywego człowieka, opowiadając o nim tonem powściągliwej, spokojnej narracji, co tym bardziej podkreślało dramatyczność wierszy. Surowe, proste i wzruszające zarazem są tego rodzaju wiersze, jak np. „Do ojca" albo „Przyjacielowi". Poeta podchwytuje ludową melodię często dla wydobycia kontrastu („Małgorzatka") nawiązuje do konwencji modlitwy, szuka na swój sposób formy, za pomocą której mógłby wyrazić współczucie dla ludzi zmaltretowanych, bitych i skatowanych. W dalszym rozwoju Kubiak zrozumiał, że taka postawa humanistyczna jest niedostateczna.

Druga książka Kubiaka „Żołnierze i robotnicy" wskazuje na wyraźną zmianę. Cały, dość zresztą szczupły, tomik składa się z dwóch utworów: 1) „Dwaj żołnierze", wiersz o przyjaźni bojowej polsko-radzieckiej i 2) „Narodziny Epoki" (nowej socjalistycznej epoki). Te próby poetyckiej gawędy określił sam poeta:

„Wyśpiewaj — poeto — walkę ludzi niezłomnych i twardych.
I ani słowa — poeto — dodać nie możesz, ni ująć.

Niech wiersz twój będzie tak prosty,
jak proste były rozkazy,
które uczyły pochodu, walki, znużenia, odwagi."

Niestety postaci dwóch żołnierzy narysowane są dość mgliście. Poeta dużo o nich mówi, a nie ukazuje ich właściwie w działaniu. Całość wiersza jest rozgadana. Zamiast wzruszenia powstaje ornamentyka wzruszenia, stałe „uładnianie" spraw wzniosłych, tragicznych i dramatycznych, co z czasem, zwłaszcza w tomie następnym zatrącać zacznie o swoistą manierę. Wiersz następny, mający mówić o narodzinach „Nowej Epoki", wnosi pewne elementy, które również następnie będą się powtarzać. To jakaś kosmiczność opisywanych zjawisk i płynąca stąd pewna hiperboliczność obrazów poetyckich.

Wydaje mi się, że zbyt duża ilość szczegółów i ornametów wszelkiego rodzaju gmatwa jednolitą linię obrazu poetyckiego i przesłania tym samym ideologiczną myśl utworów Kubiaka. Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń oba omawiane utwory świadczą o próbie wyjścia z kręgu poprzedniej książki. Poeta natrafił przy tym na przeszkody w swojej metodzie poetyckiej. Gorsze jest to, że nie wyczuwa się dostatecznego ładunku uczuciowego, że nawet obrazy poetyckie wydają się nie tyle zaobserwowane, czyli ukonkretnione w jakimś doświadczeniu, ile raczej wykoncypowane.

Trzecia książka Kubiaka „Człowiek jest blisko", nawiązuje do motywów obu poprzednich tomów. Jest dalszym etapem odejścia od tematyki wojennej oraz większego upolitycznienia poezji, szukania nowego wyrazu artystycznego.

W nowym tomie Kubiaka znajdujemy wiersze mówiące o czasach okupacji („Wyznanie wiary", „Martwa natura", „Nowa romantyczność", „Dziewczyna z jagniątkiem"), antymieszczańskie („Pisane w gniewie"), antyimperialistyczne („Dobry wieczór w Grecji"), satyryczne („O moich oczach"), o współzawodnictwie pracy („Turniej", „Agitacyjnym autem jadę", „Polska mówi"), wiersze osobisto-liryczne oraz poematy („Rzecz o trasie W—Z", i „But Generała" — Poemat o Generale Świerczewskim).

Ten w skrócie podany zakres tematyczny wskazuje na rozpiętość spraw, które porusza autor, oraz na dalszą jego ewolucję światopoglądową, która te właśnie tematy kazała mu wybrać.

Pisząc o tych wierszach krytycy chwalili i zarzucali im niejedno. Najistotniejsze nieporozumienia zdaniem moim polegały na tym, że nie zawsze umiano dostrzec postawę pisarza i jej niekonsekwencje. Humanizm Kubiaka kojarzy się raz ze stanowiskiem antykapitalistycznym i antyimperialistycznym, a wtedy powstają utwory jednoznaczne pod względem ideologicznym, a kiedy indziej—z pojęciami ewangelicznymi, abstrakcyjnymi jak wiara, miłość, nadzieja, kościół powszechny ludzi dobrych, nadejście światłości itd., a wtedy poeta nawiązuje do motywów średniowiecznej poezji religijnej, wprowadzając do utworu mechaniczne i biblijne słownictwo. Wtedy powstają utwory stylizowane, będące jakby spóźnionym echem postromantyzmu. Te „miecze srebrzyste", i „srebrne łodzie" nie pasują jakoś do zasadniczej postawy Kubiaka. Podobne naleciałości widzimy w obrazach przyrody. Kubiak raz po raz odrywa się od rodzimego krajobrazu. Nagle zjawiają się w jego wierszach echa łacińsko-amerykańskich poetów. Od nich właściwie pochodzą w „Profilach mieszczańskich" tego rodzaju obrazy jak:

„...I oczy
jeźdźców zabłysną nad grzbietem koni
przyjaźnią lśniące od dobrego słońca."

Cała zresztą sceneria poematu o Trasie W—Z ze względu na swoją kosmiczność także sprawia wrażenie bardzo efektownej — obcej dekoracji. A przecież w ten sposób ujęty krajobraz odrealnia rzeczywistość. To, co poeta chciał wyrazić, staje się dla naszego czytelnika mniej bliskie i mniej odczuwalne. Kto wie, może właśnie, że się tak wyrażę, brak wzruszeniowych obserwacji każe poecie wynajdywać formy bardziej zawiłe pod względem literackiego pomysłu, jak np. w wierszach „Martwa natura", „Żona dzieli jabłko", albo nawet w tak ciekawym wierszu jak „Dziewczyna z jagniątkiem", gdzie wychodząc z rzeźbiarskiego pomysłu poeta przechodzi pozornie w suchą ale niezwykle ekspresyjną narrację. Metoda ta zaczyna zawodzić już w wierszu „Ogólnopolski konkurs fryzjerski", w którym mieszczańska groteska przechodzi w tragiczny opis „włosów kobiet i dziewczyn deportowanych", w obozach zniszczenia. Jeśli jednak ten wiersz sprawia silne wrażenie ze względu na antymieszczańską ironię kontrastującą z opisem zgrozy okupacyjnej, to wiersz „Firma Odeon" jest już tylko i jedynie igraszką i dowcipem wyobraźni. Również wiersz „Turniej", będący rozwinięciem podobnego pomysłu z wiersza „Narodziny Epoki" trąci pewną sztucznością. Czyż nie lepiej byłoby ukazać po prostu współczesny konflikt zamiast przeciwstawiać turniejowi na gobelinie turniej współzawodnictwa pracy. Niekiedy poeta dodaje sztuczną pointę do wiersza, ażeby go uaktualizować, jak np. w pięknym wierszu „Monolog na festynie".

Tam, gdzie poeta nawiązuje do wielkich tradycji literackich jak np. w wierszu „Romantyczność", albo podchodzi do tematu bezpośrednio: „Tak długo", „Agitacyjnym autem jadę", „Polska mówi", powstają utwory sugestywne i twórcze również pod względem artystycznym.

Droga ideowa, jaką przebył Kubiak od pierwszego swego zbioru, twórcza i ruchliwa wyobraźnia, ambitne próby poszukiwania własnego wyrazu poetyckiego, własnego stylu pisarskiego kazały krytykowi dość ostro ustosunkować się do jego twórczości, ponieważ wierzy w to, że Kubiak po oczyszczeniu się z naleciałości ornamentacyjnych i stylizacji, głębiej wnikając w nową tematykę, potrafi stworzyć doprawdy wartościowe utwory. Tego rodzaju wiersze jak „Do ojca", „Esterka", „Nowa romantyczność", „Dziewczyna z jagniątkiem", „Monolog na festynie", „Polska mówi", zdanie to mogą w zupełności potwierdzić.

Jan Śpiewak

STANISŁAW ZIELIŃSKI: *Przed świtem.* Czytelnik, 1949, str. 187. *Dno miski.* Książka i Wiedza, 1949, str. 143.

W osobie Stanisława Zielińskiego, autora dwu jednocześnie niemal wydanych tomów prozy — „Przed świtem" i „Dno miski", wkracza do literatury polskiej obdarzony niewątpliwym talentem nowelista, bystry obserwator migawek z życia żołnierskiego i obozowego, debiutant umiejętnie władający piórem i już tym samym dobrze się zapowiadający pisarz. Stwierdzić to należy od razu na wstępie, by w toku dalszych uwag, często zdecydowanie krytycznych, nie spotkać się z zarzutem, że niezaprzeczone walory i możliwości, jakie autor ten reprezentuje, nie zostały, jako moment o znaczeniu zasadniczym, na samym wstępie zauważone i podkreślone.

Temat tych opowiadań to przeżycia obozowe i żołnierskie, ich problematyka —to problematyka prozy pierwszego okresu powojennego, pierwszego roku czy też paru lat: krytyka rzeczywistości polskiej, widziana oczyma żołnierza kampanii wrześniowej i jeńca; pod ko-

niec — jeńca, który przebył jeszcze okres wyzwolenia przez „aliantów", oraz rozczarowań w stosunku do nich i do londyńskiej polityki emigracyjnej. Wszystko to pokazane nader zręcznie i wypracowane literacko, ale wszystko nie przekraczające jakiegoś jak gdyby zaklętego kręgu. Chwilami wydaje się, że wrażenie to wynika z jednostronnego charakteru tematyki. Autor po prostu, jak gdyby nie żył przed tym momentem, w którym ubrano go w mundur, i przestał żyć, kiedy zeń mundur zdjęto. Nawet parę opowiadań z okresu przedwojennego ma za temat ćwiczenia wojskowe.

Głębsza analiza utworów Zielińskiego doprowadza jednak do wniosku, że nie chodzi wcale o to, iż temat — obozy i wojsko — jest wąski. Przeciwnie, jest to temat bardzo szeroki: wystarczy spojrzeć, jak wszechstronnie wykorzystuje go współczesna literatura radziecka. Można by mieć zresztą uzasadnione skrupuły, czyniąc autorowi zarzut z jednostronności tematycznej. Jest jasne i zrozumiałe, że operuje on przede wszystkim tym zasobem przeżyć i doświadczeń, jakie posiada, jaki przeważył i zaciążył na nim po sześciu latach życia żołnierza i jeńca. Inną sprawą natomiast jest sprawa sproblematyzowania materiału tematycznego przez pisarza. Ta problematyka przeżyć wojennych, jaką daje nam Zieliński w obu swoich książkach, jest problematyką, którą znamy już stosunkowo dobrze z pierwszego, powojennego okresu naszej prozy. W tym wypadku stwierdzić trzeba, że dociera ona do rąk czytelnika już w momencie, kiedy literatura nasza, jeżeli nie w osiągnięciach, to w każdym razie w stawianych sobie postulatach wkroczyła zdecydowanie w dalszy, kolejny etap swego rozwoju. W tym stanie rzeczy debiut Zielińskiego, biorąc pod uwagę zarówno jego podobieństwo do niektórych debiutów, jakie mieliśmy w latach 1945—48, jak i obecne osiągnięcia innych, młodych prozaików — jest debiutem w pewnym sensie spóźnionym.

Na czym polega owo spóźnienie i ów nowy etap, w który wkroczyła nasza literatura? Czy wyłącznie na tym, że większość ambitnych, młodych pisarzy sięga po tematy i zagadnienia dnia dzisiejszego? Niewątpliwie na tym także, na tym przede wszystkim. Mimo to nonsensem byłby sąd, że nie są nam dziś potrzebne dobre opowiadania z czasów wojny i okupacji, obraz kampanii wrześniowej, czy życia w obozie. Nowy etap w naszym życiu literackim polega bowiem w szerszym ujęciu nie tylko na sięganiu po nowe tematy, ale również na opracowywaniu dawnych — ujmowanych przez literaturę dotychczasową powierzchownie i od strony nieistotnej— w sposób nowy, głębszy, istotniejszy.

Spróbujmy zdać sobie sprawę, na czym ów sposób powinien polegać i dlaczego Zieliński w swych, skąd inąd niekiedy doskonałych szkicach, dążeniom tym nie zdołał sprostać.

Opowiadania Zielińskiego podzielić można z grubsza, podobnie jak czyni to zresztą sam autor w tomie „Przed świtem", na kilka grup tematycznych. Pierwsza zawierać będzie utwory o tematyce sięgającej okresu przedwojennego: wejdą tu rzeczy takie jak: „Defilada", „Warszawa-wieś", „Garnizon nad granicą", „Maison Wimplowa", wreszcie „Dragony", mimo iż rzecz dzieje się tu już podczas wrześniowej ucieczki. Drugą grupę wypełni w całości najdłuższy utwór Zielińskiego, rodzaj beletryzowanego pamiętnika z wojny 1939 r. pt. „We mgle wrześniowej" z tomu „Dno miski". Grupę trzecią, złożoną z największej liczby utworów, stworzą szkice i opowiadania z obozu jeńców, czwartą wreszcie — utwory, których akcja odbywa się w środowiskach żołnierzy i byłych jeńców polskich w Niemczech

i Włoszech po zakończeniu działań wojennych.

Grupując opowiadania Zielińskiego w powyższy sposób, należy zadać sobie pytanie, jak odbiła się w nich rzeczywistość każdego z rozróżnionych wyżej momentów historycznych.

Opowiadania z okresu przedwojennego cechuje niewątpliwy i zilustrowany wymownymi przykładami krytycyzm w stosunku do przedwojennej, polskiej rzeczywistości politycznej. Tematem opowiadania „Defilada" są manewry przedwrześniowej armii polskiej, treścią — wykazanie ich śmieszności, groteskowości, oczywistej zwłaszcza z późniejszej perspektywy wydarzeń wojennych. Opowiadanie pt. „Warszawawieś" daje — również na marginesie jakichś wojskowych ćwiczeń — jaskrawy obraz ciemnoty ludności na Kresach. „Garnizon nad granicą" uzupełnia poprzednie opowiadanie obrazem ciemnoty samych żołnierzy, starannie kultywowanej przy pomocy metod tępej sołdateski. „Maison Wimplowa" — to pełen świetnego dowcipu pamflet na romans Kasprzyckiego z Kajzerówną, obnażający haniebną bezideowość i nicość moralną kliki sanacyjnej. To samo unaocznia konterfekt sanacyjnego starosty w szkicu „Dragony".

Opowiadanie „We mgle wrześniowej" stanowi również na pewno cenną pozycję w naszej literaturze o walkach wrześniowych. Jest to wierna i rzetelna relacja o charakterze półpamiętnikarskim i jako taka może nawet nasuwać pewne analogie z „Wrześniem" Adolfa Rudnickiego, choć równie pouczające jest prześledzenie, jak zdecydowanie autor „Ucieczki z Jasnej Polany" góruje tu nad debiutantem techniką pisarską, umiejętnością syntetyzowania spostrzeżeń, plastycznego kreślenia sylwetek ludzkich.

Podkreślając jednakże niezaprzeczone ideowe i artystyczne wartości opowiadań Zielińskiego, jego nieprzeciętny zmysł obserwacyjny, poczucie humoru, żywość i barwność narracji, nie da się przemilczeć i braków, występujących już w opowiadaniach, o których była mowa, choć w nich mniej może widocznych — uderzających natomiast tym silniej, im bliżej jesteśmy tematyki współczesnej — korzeni dzisiejszych konfliktów i zagadnień.

Opowiadania jenieckie Zielińskiego — one przede wszystkim — uderzają nas ograniczonością swej problematyki. Czytając je, zaczynamy — zwiedzeni uprzednio talentem narracyjnym autora — patrzeć krytycznie na całość. Konstrukcja tych krótkich migawek polega zazwyczaj na zręcznym spointowaniu drobnych, niekiedy wymownych i życiowych, kiedy indziej jednak bardzo nieistotnych wydarzeń. Występujące w tych opowiadaniach postaci oficerów i żołnierzy po pewnym czasie zaczynają nużyć. Stwierdzamy, że są one — mimo żywości dialogów, jakie między sobą prowadzą — w gruncie rzeczy mało zindywidualizowane, niepociągające. Czy ich „niebohaterskość", brak głębszej myśli w ich poczynaniach i rozmowach wynika tylko z rodzaju podjętego tematu, płaskości obozowego życia? Myślę, że taki argument obiektywnie nie tłumaczyłby pisarza. Obiektywnie rzecz biorąc, pisarz dążący do realizmu winien wybierać z rzeczywistości takie momenty typowe, które pozwoliłyby mu ukazać to, co jest dla tej rzeczywistości najistotniejsze, ujawniające zasadniczy charakter jej konfliktów. Obiektywnie pisarza nie tłumaczy wąski zakres jego doświadczeń. Zresztą o zakresie tych doświadczeń nie rozstrzyga tylko szerokość pola zewnętrznej obserwacji. Zależnie od wyrobienia ideologicznego można z tego samego materiału wyciągać różne wnioski, te które wyciąga Zieliński nie zawsze wydają się na dzisiej-

szym etapie rozwoju naszej literatury wystarczające.

Przykładów na uzasadnienie tej tezy opowiadania Zielińskiego dostarczają wiele. Pomińmy błahość problematyki szkiców z obozu jeńców, choć — jak wiemy — fakt, że ludzie w oflagach idiocieli, wbrew temu, co można by sądzić na podstawie tych utworów („Sprawa honoru", „Brukiew", „Rękawiczka", „Dwie wiosny", „Dzień po dniu", „Anatol", „Sobotni wieczór", „Amer Picon") — nie stanowił w obozowej rzeczywistości problemu naczelnego. Izolacja obozów oficerskich nie była zupełna, a przez oflagowe społeczeństwo przebiegał w ciągu całej wojny ten sam wyraźny front walki, który stanowił treść rzeczywistości poza obozami. Weźmy opowiadania, których akcja dzieje się po wyzwoleniu, w okresie istnienia Polski Ludowej, jej realnej walki z faszyzmem i krystalizowania się realnych, pozytywnych wartości, w imię których walka ta się toczyła i toczy. Mniejsza o to, że w opowiadaniach tych, podobnie jak w większości utworów literatury pierwszego okresu naszej rewolucji kulturalnej, znajdujemy jedynie negatywy — ten sam wyszydzony i zdemaskowany świat, który widzieliśmy przed wrześniem, rzucony na tło nowych stosunków i wzbogacony nowymi elementami. Bardziej niepokojący wydaje się fakt, że Zielińskiemu z większym — jak sądzę — uzasadnieniem niż Borowskiemu w „Kamiennym świecie", można by tu postawić zarzut jakiegoś moralnego nihilizmu. Zieliński nie tylko nie potrafi bowiem przeciwstawić rzeczywistości, którą demaskuje i wyszydza, innego, równie prawdziwego i realnego świata, który z tamtym walczy, ale na domiar okazuje się zdecydowanie niewrażliwy wobec pewnych, określonych sytuacji, pozwalających mu na zarysowanie pozytywnego obrazu tego świata. Opowiadania takie jak „Osiemnaście Cameli", „Pamiątka", „Blizny" zarówno klimatem swym, jak siłą wyrazu, przypominają bardzo migawki Borowskiego. Ale u Borowskiego pod satyryczną pasją czuło się więcej tragicznego protestu pisarza. Jeśli Borowski drwił z czegoś wbrew sobie i czytelnikowi, to umiał to zawsze uczynić tak, że wywoływał w czytelniku — często ze szkodą dla samego siebie, jeśli czytelnik nie był dość subtelny — odruch sprzeciwu. Zieliński nie tylko przekonywa nas, że bezsens jest porządkiem jak gdyby naturalnym w świecie, który nam ukazuje (opowiadania „Mgła", „Walek"). Nie jest to przy tym prawdą, bo świat ów jest również światem toczącej się walki i reguły tej walki są ważniejsze, niż wydarzenia przypadkowe, na które Zieliński kładzie nacisk. Niekiedy usiłuje on bawić nas szyderstwem, drwiną postaci, tkwiących w obozie naszego wroga klasowego, drwiną stanowiącą ich oręż w walce.

I tu powiedzieć trzeba, że obiektywną genezą artystycznych braków w opowiadaniach Zielińskiego jest w ogóle *brak klasowego spojrzenia na przedstawianą rzeczywistość*, nieumiejętność dostrzeżenia i artystycznego uwydatnienia antagonistycznych cech klasowych i oblicza walki klasowej w świecie, który opisuje. Z tego zasadniczego źródła wynika fakt, że Zieliński, który za jeden z głównych celów zdaje się stawiać sobie krytykę bezmyślności i ciasnoty kasty wojskowej w Polsce sanacyjnej i na emigracji, sam w wielu wypadkach nie potrafi wyjść poza szyderczy i lekceważący stosunek do człowieka, cechujący tę kastę. Charakterystycznym przykładem są tu opowiadania „Warszawa-wieś" i „Garnizon nad granicą". Choć ich zasadniczą intencją jest oskarżenie systemu, który dopuścił do ciemnoty obywateli, metoda opowiadania polega na wyśmianiu ciemnoty, nie bu-

dząc sympatii dla ofiar systemu. To samo dotyczy opowiadań „Walek" i „Buty", będących współczesnymi trawestacjami anachronicznego już dziś w gruncie rzeczy problemu „Bartka zwycięzcy". Ów „Walek", który postanowił mścić się na Niemcach, mordując esesmanów, zostaje zasądzony przez trybunał amerykański, a potem ułaskawiony, by jako czterdziestodziewięciokrotny morderca zostać aktorem filmowym z łaski przedsiębiorcy z Hollywood — to zjawisko żałosne i żenujące w epoce, kiedy miliony Walków budują Polskę Ludową. W „Butach" Zieliński niesłusznie sprowadza problem volksdeutschów z armii Andersa do groteski. Żenujący jest też sierżant Kolczyk z opowiadania „Karabiny", który wraca z emigracji do Polski z pobudek raczej groteskowych niż ideowych. Zieliński dostrzegł pewien patos w postawie majora, który nie chciał pić wina w niemieckiej kantynie („Wino"), nie dostrzegł natomiast na przestrzeni obu swych książek ani jednej postaci reprezentującej w sposób pozytywny walkę z tym światem, którego nicość, jako pisarz, obnaża i wyszydza. Uległ przy tym najzupełniej klimatowi opisywanego środowiska. W tych, którzy się temu środowisku usiłują przeciwstawić, widzi w najlepszym razie ofiary („Walek", „Zmierzch"), nigdy świadomie i skutecznie walczących przeciwników. Uległ mu również w stylu swoich opowiadań, stylu nacechowanym przesadnie, zbyt daleko posuniętym, naturalistycznym „autentyzmem".

I tu chciałbym zwrócić uwagę na fakt, który musiał stać się nieuchronną konsekwencją tej ideologicznej niedojrzałości pisarza. Jest jasne, że ograniczając się do notowania tego, co przyniósł powszedni dzień jeńca oflagu, pisarz ów nie mógł ukazać nic więcej, niż zabawne dziwactwa i groteskowe konflikty człowieka uwięzionego za drutami społeczności jenieckiej. I biorąc rzecz z tego punktu widzenia Zieliński jest wiernym i uczciwym kronikarzem zdarzeń, które opisuje. Ale z punktu widzenia postulatów prawdziwego realizmu uparte trzymanie się tej perspektywy nie jest niczym usprawiedliwione, tak jak nie jest usprawiedliwiona ocena rzeczywistości tylko poprzez bohaterów opowiadania, niewychodzenie autora poza widnokrąg tych bohaterów, brak autorskiego komentarza, który by rozsądzał rzeczy tam, gdzie wiedza i doświadczenie bohaterów nie sięga.

Cała faktura opowiadań Zielińskiego oparta jest na odrzuceniu takiej interwencji autora, mądrzejszego od swych postaci. Jako autorskie porte-parole występuje ciągle jakiś niepozbawiony krytycyzmu w stosunku do tego, co widzi, ale też i niewiele dokoła siebie mogący zobaczyć narrator, oficer rezerwy, „autentyczny", ale odbierający czytelnikowi wszelką nadzieję przedarcia się poza zaczarowany krąg przeżyć przypadkowej, „przeciętnej" postaci żołnierza i jeńca. Ktoś powie, że postać taka jest w danej sytuacji typowa. Zgoda, ale jako postać oglądana przez autora od zewnątrz. Autor realista musi wiedzieć więcej o tego rodzaju postaci.

W przeciwnym razie postać jest może typowa, ale sytuacje, w jakich występuje nie są typowe, nie są ukazane w tej perspektywie, jaką daje autorowi jedynie przyznanie sobie samemu prawa sądzenia własnych postaci.

Ostatni z pięciu cyklów opowiadań w zbiorze „Przed świtem" nosi tytuł „Jak trudno wyzwolić się z kręgu własnych przeżyć". Nagłówkiem tym można by na pewno zaopatrzyć analizę twórczości wielu pisarzy, nie tylko Zielińskiego i nie zawsze wyłącznie debiutantów. W stosunku jednak do tego, co dał nam w swoim podwójnym debiucie Zieliński, nagłówek ów brzmi niemal jak west-

chnienie, które wydarło się pisarzowi „ab imo pectore", jak jego najtrafniejsza pisarska autocharakterystyka. Jest zrozumiałe, że autorowi, obdarzonemu— jak już podkreśliłem — nieprzeciętnym zmysłem obserwacji i cenną umiejętnością plastycznego odtwarzania szczegółów, trudno jest często oderwać się od tych szczegółów. Ale pisarz uzbrojony w teorię marksistowskiej wiedzy o literaturze wie, do czego w najlepszym razie, przy największym nawet talencie, doprowadzić go może takie notowanie zjawisk bez poprawnego odczytywania ich ideologicznej treści. Rodzi ono nie obraz realistyczny, lecz naturalistyczny. Zieliński dostrzega fakty, wskazuje na ich bezpośrednie przyczyny, ale nie sięga zazwyczaj do ich korzeni. Krytykując na przykład sanację, wyśmiewa objawy zła, co z dzisiejszej perspektywy nie jest trudne, ale nie ukazuje nigdzie klasowej i ideowej genezy zjawiska. To samo dotyczy opowiadań, których akcja dzieje się po wojnie; nie dają one, mimo zręczności, z jaką są często napisane, pełnego obrazu walki, której pewne objawy ilustrują.

Swój barwny, choć niepełny i jednostronny zbiór opowiadań z lat wojennych, Zieliński zamknął wprawdzie w dwóch książkach, ale należy je traktować raczej jako jedną całość, zrodził je bowiem jeden i ten sam czas, jeden i ten sam rodzaj doświadczeń. Nie wiem, co rozstrzygnęło o podziale materiału pomiędzy dwa wydawnictwa, bardziej celowe byłoby chyba łączne ich wydanie.

Należy żywić nadzieję, że w następnej książce Zieliński wykorzystując naprawdę duże pisarskie możliwości, pokona zwycięsko braki swego debiutu: nadzieję, że bez względu na to, jaki podejmie temat, potrafi dostrzec w nim pełne oblicze tych realnych konfliktów, którymi nabrzmiewa każda rzeczywistość, jaką zapragnie odzwierciedlić pisarz żyjący w społeczeństwie antagonistycznym.

Ryszard Matuszewski

STANISŁAW KOWALEWSKI: *Odzyskany świat.* Książka i Wiedza. Warszawa 1949, str. 150 i 2 nlb.

Prosta droga. Książka i Wiedza. Warszawa 1950, str. 192 i 5 nlb.

I

Stanisław Kowalewski jest autorem dwóch książek: tomu nowel okupacyjnych: „Ofiarowanie" oraz powieści z życia szkolnego za czasów sanacyjnych, zatytułowanej „Niedostatecznie".

Obecnie ukazały się dwa nowe zbiorki prozy Stanisława Kowalewskiego: „Odzyskany świat" i „Prosta droga". Oba tomiki są, jak napomykają już tytuły, poświęcone tematyce współczesnej, są wyrazem poszukiwania przez pisarza owej „prostej drogi", która by go najbardziej zbliżyła do współczesności.

„Prosta droga"... Otóż w pewnym ośrodku przemysłowym na ziemiach zachodnich kopalnie wygrywają „walkę o duszę" młodego literata: literat „poznawszy się z terenem" nie wraca po miesiącu do Warszawy, jak zamierzał na początku, lecz postanawia zostać na stałe w owym ośrodku górniczym i prowadzić robotę świetlicową, do której brakło tam ludzi. Ta praca da mu tematy do jego twórczości. Po przeczytaniu powieści Kowalewskiego czytelnik nie jest przekonany, czy gra warta była świeczki i czy kopalnie tak wiele zyskają przez to, że zatrzymują owego literata. Akcja jest naiwna, sprawa pozyskania literatów i artystów dla rozwoju kultury na terenie całego kraju, poza głównymi ośrodkami — niezmiernie uproszczona. Nie wiadomo skąd autor powziął przekonanie, że ta droga litera-

ta do prawdy życia pracy jest taka prosta, nie wiadomo też dlaczego obraz „dziejów duszy“ pewnego niedoświadczonego literata uważał za rzecz tak bardzo istotną.

Zamiast obrazu codziennej pracy i walki górników Kowalewski daje opis wycieczki młodego literata do kopalni; „Literat z Warszawy chce nas poznać— powiedział... *Podszedłem do nich, ściskałem ich ręce.* Chwilę nie mogłem otworzyć ust. Bałem się zacząć, wystąpić wobec tych ludzi z pierwszym lepszym zdawkowym frazesem. Patrzyli na mnie czujnie, lecz chyba życzliwie. Myślę, że zrozumieli to moje milczenie. — Wtedy zacząłem mówić — teraz tego nie powtórzę, to były *jakieś słowa* wypowiedziane pod ciśnieniem wielkiego wzruszenia.“ (str. 84). I po paru stroniczkach: „Więc byłem wśród górników, byłem w kopalni. To radosne *odwiedziny.* Jakże się cieszyłem, gdy zrozumiałem, że i oni się cieszą z mego przybycia. *Każdemu z nich mogłem uścisnąć rękę,* zamienić choć parę skąpych słów“ (str. 86). — Komu bohater, ów młody, szukający nowej drogi literat, zwierza się z tych wzruszeń? Otóż ni mniej ni więcej, tylko szukającej przygód żonie adwokata, z dochodów męża wojażującej po „kurortach“. Tak ją scharakteryzował na wstępie sam bohater — wobec tego wiara młodego literata, że u pani Ireny znajdzie oddźwięk dla swojej wewnętrznej walki o sztukę socjalistyczną poświęconą sprawie człowieka pracy, ta wiara jest co najmniej nieuzasadniona. Romans z wojażującą damą zajmuje zresztą w powieści miejsce równie ważne, jak sprawa trudności i osiągnięć w organizacji pracy na ziemiach zachodnich.

Dodajmy do tego, że Kowalewski jest obarczony niejednym upodobaniem z dziedzictwa naturalizmu. Lubi „rozrabiać“ motywy okrucieństwa w naturze ludzkiej. Stąd scena znęcania się inwalidów nad szczurem w „Prostej drodze“. Stąd też okrucieństwa w założeniu noweli „Mistrz“ w zbiorze „Odzyskany świat“.

W postaci nowego bohatera, człowieka pracy — razi u Kowalewskiego schematyzm. Jaskrawo rzuca się to w oczy w „Prostej drodze“, nawet w najciekawszej pośród ostatnich nowel Kowalewskiego pozycji — w opowiadaniu „Walka klas“ z tomu „Odzyskany świat“.

Autor nie jest jeszcze w stanie stworzyć naturalnej, posiadającej indywidualne rysy, postaci dyrektora-robotnika, oddanego pracy (Olcha), postaci młodego działacza partyjnego, oświatowca (Buzek), postaci starego komunisty, długoletniego więźnia politycznego (dr Malewski).

Trzeba zaznaczyć, że nie tylko w tej nowej dla siebie tematyce popadał Kowalewski w schematyzowanie ludzi. Również i postaci jego nowel okupacyjnych są w istocie mało zindywidualizowane i odwołują się do gotowych wyobrażeń czytelnika o typach ludzkich. Ludzi Kowalewskiego czytelnik nie zapamiętuje.

„Niepamięć“ należy do częściej spotykanego u Kowalewskiego gatunku opowiadań — opowiadań sanatoryjnych. Autor wykazuje w nich pewną znajomość spraw tego środowiska i wraca dość często do tej tematyki. Np. tłem opowiadania „Mgła“ jest sanatorium dla gruźlików, a w „Prostej drodze“ znów spotykamy to towarzystwo z „Choucas“, również nowela ze starszego tomu „Ofiarowanie“, zatytułowana „Marcyś“, porusza ten sam szpitalny temat. Nowele sanatoryjne Kowalewskiego, jeśli idzie o obserwacje chorych, nie wykraczają poza ogólniki.

Krok naprzód na drodze pisarza stanowi nowela „Mgła“. Bohaterem jej jest apolityczny uczciwy obywatel, który pod naciskiem wydarzeń przechodzi do czynnego stanowiska wobec reakcji.

Tomik kończy się opowiadaniem „Walka klas". Jest to pozycja zwracająca na siebie największą uwagę w zbiorze. Zagadnienie poruszone w tym opowiadaniu jest tak żywotne, że sam wybór skłania do wyciągnięcia jak najlepszych wniosków o pisarzu i drodze jego rozwoju. Gdyż zdolność dojrzenia w rzeczywistości tego, co w niej jest istotnie ważne, węzłowe i palące — to pierwszorzędna zaleta pisarza. A „Walka klas" Kowalewskiego rzeczywiście odkryła przed czytelnikiem walkę, jaka toczy się w przemyśle farmaceutycznym — walkę o jak najszybszy i najszerszy rozwój państwowych wytwórni leków. Intrygi prywatnych wytwórców docierają bardzo wysoko i w wielu wypadkach powodują straty w produkcji, złe rozprowadzenie fabrykatów. Oto jest temat noweli Kowalewskiego; że trafnie wybrany — dowodzą tego fakty nadużyć i procesów w przemyśle farmaceutycznym oraz skuteczna walka z nimi. Stąd dodatnia ocena, z jaką powszechnie spotkało się opowiadanie drukowane najpierw w tygodniku literackim, stąd żywy odzew społeczeństwa, listy robotników.

Dziś czytając to opowiadanie w tomiku, musimy postawić autorowi surowsze wymagania. Zapytamy więc, czy autor skorzystał z tematu, aby przedstawić całą ostrość wybranego problemu społecznego, aby wydobyć żywą grę świadomości ludzi walczących o dobro społeczne z jednej strony, o przestępczy zysk z drugiej? Trzeba stwierdzić, że autor nie potrafił wyzyskać wielkich możliwości swego tematu. Postaciom brak życia. Opowieść jest schematyczna, a co dziwniejsze — bez ostrza. Sztucznie dodany wątek kryminalny z postacią podziemia nie ratuje braku napięcia dramatycznego.

W kompozycji noweli jest dużo niezręczności. Czytelnik spostrzega brak uzasadnienia szeregu przyjazdów i odjazdów autora, jego wizyt u tego lub innego kierownika fabrycznego i partyjnego, i jego „oddaleń" z terenu akcji.

Lepiej byłoby również, aby wniosek o walce klas, toczącej się na pozornie spokojnym terenie codzienności gospodarczej, nasuwał się sam przez się czytelnikowi, wypływał z tekstu. Autor niepotrzebnie wkłada „morał" w usta Malewicza.

Opowiadanie zasługuje na uwagę jako poważna próba poruszenia aktualnej problematyki i słusznie zostało umieszczone w tomie jako podsumowanie drogi autora.

Niektóre słabsze strony pisarstwa Kowalewskiego łączą się z zasadniczym nieporozumieniem, ciążącym na wielu innych próbach przedstawienia nowego socjalistycznego człowieka.

Jeśli pisarz socjalistyczny ma ukazywać człowieka pracy, to dlatego, i w ten sposób, i w tym celu — aby pogłębić dotychczasową wiedzę o człowieku, która opierała się na zacieśnieniu, która dawała obraz fałszywy, wąski lub płytki, przypadkowy lub wykrzywiony. Idzie więc o pełniejszy obraz społeczeństwa, na które w przeważającej części składają się ludzie pracujący, a nie pasożyty, emeryci lub psychopaci. Portret człowieka pracy ma nam ukazać głębiej niż dotychczas — *człowieka*. Otóż o tym zdają się zapominać niektórzy pisarze, fotografujący robotników i życie przemysłowe. Nie umieją oni dotychczas zbliżyć się do człowieka w robotniku. Zdobycie tej umiejętności jest najbliższym zadaniem, jest warunkiem powstania u nas literatury realizmu socjalistycznego.

Janina Preger

T E A T R

Festiwal Sztuk Radzieckich, pomimo braków i błędów, jakie niejednokrotnie słusznie wytykano inscenizacjom poszczególnych sztuk, wykazał, że wyzwalanie się sceny polskiej spod supremacji teatru mieszczańskiego jest procesem daleko już zaawansowanym, i że zainteresowanie najszerszych mas teatrem konfliktów socjalistycznych przemogło stare nawyki. W ten sposób Festival Sztuk Radzieckich stał się kuźnią doświadczeń na etapie drogi do realizmu socjalistycznego i wspaniałą szkołą społecznego myślenia oraz rozumienia otaczającego świata. I nawet w dziedzinie stylu gry aktora zdobył sobie znaczenie momentu zwrotnego, a to przez wskazanie aktorowi innych, właściwszych dróg odtwarzania człowieka niż dotychczasowe tradycyjno-mieszczańskie.

Czy wolno jednak wysnuć z pomyślnego przebiegu i ideowych wyników Festiwalu wniosek, że ubiegły rok stał się definitywnie rokiem przełomu w teatrze polskim? Czy wolno — jak to uczynił podpisany w „Teatrze" — twierdzić z całą pewnością, że „w Polsce Ludowej teatr w 1949 r. wszedł wreszcie w krok społeczeństwa idącego do socjalizmu" i powtórzyć z naciskiem „rok przełomu"?

Jeżeli nie myliłem się, jeżeli z tez o przewrocie w teatrze w dziedzinie ideologicznego kształtowania repertuaru, uzdrawiających reform organizacyjnych, pomyślnych sygnałów w zakresie twórczości rodzimej i wreszcie przewrotu w teatrze świetlicowym, wyciągnąłem prawidłowe wnioski — w takim razie w pierwszych miesiącach bieżącego roku staliśmy się świadkami pewnych objawów zastoju i zahamowań, a w każdym razie zwolnienia tempa. Że po uroczystym dniu świątecznym muszą powrócić powszednie dni robocze — było jasne dla każdego, kto rozumuje trzeźwo i ocenia realnie teatralne siły i zamiary. Ale, że to osłabienie pulsu życia teatru polskiego w okresie pofestiwalowym dałoby się najlepiej określić wyrazem ze słownika sportowego: spuchnięcie — ten objaw niepokoi, dezorientuje i ostrzega.

Droga teatru polskiego to droga od Szaniawskiego i Zawieyskiego do Kruczkowskiego „Niemców" i do coraz śmielszych prób dramatu społecznego, droga teatru w Polsce, to droga od „Króla" do Festiwalu Sztuk Radzieckich. Ta droga obowiązuje.

Nowy teatr, nowy temat

Najlepszym w pierwszym kwartale 1950 r. osiągnięciem teatru polskiego była prapremiera „Brygady szlifierza Karhana" Wacława Kani, sztuka wystawiona w świeżo założonym Teatrze Nowym w Łodzi.

„Brygada szlifierza Karhana" z dwóch przyczyn zasługuje na szczególną uwagę: z powodu metody, z jaką przygotował jej wystawienie Teatr Nowy i z powodu pozycji, jaką ona sama reprezentuje we współczesnej postępowej dramaturgii.

Zasadniczym tematem sztuki Kani jest próba pokazania w teatrze nowego socjalistycznego stosunku robotnika do jego pracy, jest ukazanie źródeł i istoty współzawodnictwa, jest — do pewnego stopnia — zobrazowanie życia kolektywu fabrycznego. W tym zakresie sztuka Kani najlepiej ilustruje ten etap, który wyraża się pierwszymi chronolo-

gicznie triumfami współzawodnictwa, ten etap, w którym na plan ważny wysuwają się jakby sportowe elementy współzawodnictwa. Podkreśla je chwilami nieco histeryczna gra młodych aktorów. Skoro jednak współzawodnictwo pracy więcej ma wspólnego z rywalizacją dwóch uczonych niż z wyścigiem dwóch biegaczy, uganiających o sekundę rekordu, okupioną napięciem sił i woli do maksimum — budzi się u widza niepokój, i to właśnie wówczas, gdy sam Kania daje się pociągać zewnętrznym efektom i zamienia obraz współzawodnictwa starego Karhana z synem w rozgrywkę zawodniczą. To jest teatralnie zrobione z brawurą, ale narusza nieco prawdziwą treść współzawodnictwa, które jest obliczoną, wyrównaną walką o zwycięstwo długofalowe, o trwałość akcji współzawodnictwa i jej sukcesów.

Aktorzy Teatru Nowego doczekali się gorących słów uznania z ust Prezydenta Bieruta, teatr ich odznaczony został Orderem Sztandaru Pracy. To pierwsze tego typu w Polsce wyróżnienie zespołowe uzasadnione było przede wszystkim metodą, jaką obrali konsekwentnie aktorzy, jakiej trzymali się realizatorzy i jaka — udowodniła to konfrontacja sceniczna — najkrótszą i najprostszą drogą wiodła do artystycznego i ideowego sukcesu.

Była to metoda, polegająca na dokładniejszych, niż to kiedykolwiek bywało dotychczas, studiach aktora w terenie i na wniknięciu aktora w środowisko i cechy charakterystyczne jednostki z tego środowiska robotniczego. Reżyseria i aktorzy Teatru Nowego na wiele tygodni powiązali się ściśle z pracą fabryczną i robotnikami, i usiłowali zżyć się z robotniczą pracą. Czy ten sposób postępowania przyniósł w konsekwencji naturalizm zamiast realizmu i rozproszenie w szczegółach, zamiast celowej syntezy? Wynikiem było bardzo rzetelne i prawdziwe wykonanie sceniczne, troska o prawdę stylu życia i stylu pracy i to zarówno w grze aktorskiej (zwłaszcza J. Pilarskiego, K. Dejmka i G. Gutkiewicza) jak reżyserii (J. Merunowicz i J. Warmiński). Z właściwych ram przedstawienia wyłamał się nieco Łapiński, który zagrał bardzo żywo i z temperamentem, ale nie robotnika-tradycjonalistę, lecz drobnomieszczanina, siedzącego nad własnym warsztatem i nad zahukanymi czeladnikami.

„Karhan" przeszedł triumfalnie przez scenę łódzką i pokazany został z powodzeniem w Warszawie. „Sztuka o nowym człowieku w nowym teatrze" odniosła najpiękniejszy triumf, o jakim mogli marzyć łodzianie. Tym bardziej wydaje się dziwne, że teatry w innych miastach tak ociężale i powściągliwie biorą „Karhana" na swój warsztat.

Na razie tylko Miejskie Teatry Dramatyczne w Krakowie poszły śladem Teatru Nowego, uprzedzając liczne, gorące i nie zastraszone realnymi trudnościami, starania świetlic o prawo grania sztuki Kani. Lidia Zamkow dała w Krakowie widowisko bardziej zawodowe niż śmiała improwizacja Merunowicza, Jastrzębski nie dorównał Pilarskiemu, chociaż bardzo chciał utrzymać się w jego typie, Macherski był bliższy robotniczej prawdy Fikejsa niż Łapiński.

Teatr Nowy wystawił tymczasem „Makara Dubrowę" Kornijczuka, sztukę nie bez wad, świetnie zawęźloną lecz niedbale rozplątaną, w każdym jednak razie wartościową sztukę o nowoczesnych socjalistycznych górnikach. I znowu młody zespół usiłował wrosnąć w odtwarzany świat, nauczyć się praktycznie problematyki górniczej i życia górniczego. A więc już nie jest to zryw poetycki lecz system.

Pod znakiem jubileuszów

Wiadomość z gazet: „Mistrz Ludwik Solski rozpoczął swój jubileuszowy 75 rok pracy scenicznej od występów w Teatrze Miejskim w Gliwicach, w komedii Fredry „Pan Jowialski". Na pierwszym przedstawieniu, które było przeznaczone dla miejscowych przodowników pracy, publiczność robotnicza, przez powstanie z miejsc i długo nie milknące oklaski, złożyła hołd znakomitemu artyście."

Tak wszedł Solski w nowy sezon swej fenomenalnej żywotności, olśniewającej widzów wielu większych i nawet małych miast, bo Solski nie waha się występować na prowincji olsztyńskiej czy bydgoskiej, trafił też do Cieszyna i do Trzyńca na czeskim Śląsku. Zdumiewające siły witalne Solskiego, są żywą legendą heroicznego okresu aktorstwa polskiego i osobliwością w skali światowej. Trudno do nich przykładać normalną miarę i ocenę.

Karol Adwentowicz z całym zespołem łódzkiego Teatru Powszechnego dał jedno przedstawienie „Niemców" w Warszawie w dzień jubileuszu 55-lecia swej pracy scenicznej. Patrząc na płowe wąsy i lnianą czuprynę Adwentowicza-Sonnenbrucha, żałowaliśmy, że artysta nie obrał innej roli w celu przypomnienia swej indywidualności. Uwiodła go postać ze sztuki Kruczkowskiego, ale ta rola dyskusyjna, oparta w przewadze na elementach racjonalistycznego dialogu, nie szła w parze z wielkim talentem Adwentowicza. O ileż wymowniejszy był artysta w innych swoich powojennych kreacjach — jako Prospero w „Burzy", Kobus w „Nadziei", kapitan Berseniew w „Przełomie", ba, nawet jako Burmistrz miasteczka Stylmond w popularnej swego czasu sztuce „Obrona Częstochowy" Maeterlincka.

W wydanej na jubileusz broszurze „Ku czci Karola Adwentowicza" teatrolodzy i przyjaciele jubilata słusznie położyli nacisk na powiązania Adwentowicza z teatrem romantycznym, z teatrem realistycznym, wreszcie nawet z udatnymi wycieczkami artysty w krainę komedii.

I jeszcze jeden jubileusz przypadł Warszawie: 50-lecie pracy scenicznej Mieczysławy Ćwiklińskiej, czołowej aktorki w mieszczańskiej bulwarowej komedio-farsie, zwłaszcza francuskiej proweniencji, ale zarazem znakomitej w rolach fredrowskich i w wielkim komediowym repertuarze.

Wiedziona trafną intuicją Ćwiklińska wybrała na swój jubileusz rolę pani Dulskiej. Zdawałoby się, że tytułowa postać tej „tragi-farsy kołtuńskiej", jak ją widziała w komedii o Dulskich Zapolska, nie leży, a w każdym razie niezupełnie leży w granicach talentu Ćwiklińskiej, posługującej się przede wszystkim atutami dobrodusznego komizmu. Okazało się, że jako Dulska przedzierzgnęła się Ćwiklińska mistrzowsko z aktorki o skłonnościach do groteski i pogodnej krotochwili w postać z teatru realistycznego, trzymającą mocno na wodzy swe upodobania i grającą głowę rodu Dulskich powściągliwie i według koncepcji przenoszącej Dulskich z przedmiejskiej kamieniczki do posesji przy pryncypalnej ulicy.

To podniesienie socjalne Dulskich i utypizowanie ich na szczeblu nie drobnomieszczańskiego magla, lecz secesyjnego salonu średniej brużuazji, wydaje się bardzo słuszne i w przedstawieniu Teatru Nowego zostało dość konsekwentnie przeprowadzone.

Partnerką obu jubilatów była Irena Eichlerówna. Ruth w „Niemcach" i Hanka w „Moralności pani Dulskiej". Po długiej przerwie Eichlerówna gra znowu na scenach polskich, po dawnemu fascynując i skłócając krytyków.

Jest to zrozumiałe, skoro w grze Eichlerówny krzyżuje się sporo sprzecz-

nych elementów, od skłonności wyraźnie formalistycznych, aż po wielkie akcenty realizmu, wprowadzające Eichlerównę między najwybitniejszych aktorów współczesnego pokolenia. Formalistyczne skłonności mogą się stać manierą (ta zwycięża w „Fedrze") lub narzucić artystce styl i rodzaj gry, niezgodny z utworem i partnerami (tak było w „Lekkomyślnej siostrze"). Wielkie koncepcje realistyczne pozwoliły jej odnieść wspaniały triumf aktorski zarówno w roli Ruth, jak w roli Hanki.

W obu wypadkach artystka z całą świadomością przeprowadziła swe role aż do finału, który miał w skrócie odsłonić pełną osobowość odtwarzanej postaci; i w obu wypadkach koncepcja jej gry okazała się odkrywcza. Końcowe słowa Ruth przed odejściem w ciemność Ravensbrücku brzmiały nie tylko rozpaczą człowieka, który rozumie, że idzie na śmierć: objaśniały zarazem osobowość Ruth, tak jak ją pojęła Eichlerówna — osobowość kobiety, którą rozwój duchowy doprowadził do świadomego poświęcenia się walce społecznej. Podobnie tłumacząco i podkreślająco brzmiała przejmująca, bynajmniej nie patetyczna, tyrada końcowa Hanki. Z naturalizmu Zapolskiej wyrosła tu nieledwie zapowiedź rewolucji i zmiecenia Dulskich z powierzchni ich kamienicy, wróżba przy tym tak podana, że zdawała się wyrastać najbardziej organicznie z całej treści sztuki. Takie osiągnięcia i takie kreacje nie są częste w teatrze.

Przy wszystkich swoich manieryzmach, a nawet dziwactwach jest więc Eichlerówna niezwykle wartościowym zjawiskiem w teatrze polskim i zasługuje na troskliwą opiekę. Jakże interesująco i pogłębiając sens postaci, mogłaby na przykład zagrać Barbarę Cylejską w sztuce Juliusza Haya „Bóg, cesarz i chłop"! Autor pomyślał tę cesarzową ze schyłku średniowiecza jako kobietę o skomplikowanych, sprzecznych częściowo instynktach, jako „czarownicę", a zarazem rozumną towarzyszkę trudów panowania i kłopotów pieniężnych Zygmunta Luksemburskiego. Sądzę, że Eichlerówna umiałaby tym wszystkim ambicjom autorskim dać pełny wyraz.

Nowy dramat węgierski

A tymczasem reżyser „Boga, cesarza i chłopa" — Leon Schiller w Teatrze Polskim — obrał niewłaściwą linię inscenizacyjnego przepychu i nawet operowego blichtru tam, gdzie wystarczyłoby raczej kameralne podanie tekstu i myśli węgierskiego autora. Wśród surm bojowych, szczęku oręża, kościelnych zawodzeń i świeckich pień mnichów, pośród najbardziej jaskrawej palety barw aktorskiej gry i statystowania, wśród zewnętrznej i częściowo mechanicznie powtarzającej słowa tekstu, gry postaci czołowych i tłoku statystów — gubił się wielki myślowy ładunek sztuki, gubiła się precyzja dialogów, gubiła się tak ważna u Haya zasadnicza myśl polityczna. Górę brały straszące kukły kardynałów w fioletach i wystraszone kukły spiskujących dworzan cesarskich; teatralne przebrania szczelnie przykryły humanistyczną prawdę. Tu tkwił błąd Schillera, który fałszywie odczytał treść i sens sztuki Haya, który fasadę wziął za wnętrze domu, a tło historyczne za plan pierwszy spraw.

Byłoby jednak niesprawiedliwością tylko Schillera obciążać winą za porażkę teatru ze sztuką Haya; również aktorzy dali się bez oporu uwieść zewnętrznym akcesoriom i ozdóbkom, grali na kanwie min, grymasów i zamaszystych gestów, nie zadając sobie trudu bardziej pogłębionego uwypuklenia wszystkich wartości i zawartości tekstu. Co w tych warunkach ocaliło

Haya w Teatrze Polskim i co sprawiło, że mimo wszystko nie było to przedstawienie bez reszty chybione? Kilka czynników — przede wszystkim sam autor, którego mądra koncepcja ideologiczna i sceniczna przebijała się czasem przez nadmiar szczegółów i powierzchowne plany gry, a także lwi pazur Schillera, który w paru odsłonach zdrapał skorupę narzuconej przez drugiego Schillera operowości i stworzył majestatyczne obrazy, pełne treści dekoracyjnej, a przecież nie przytłaczające dzieła autora. Zasługa to wreszcie tych paru aktorów (Ciecierski, Buszyński), którzy swe role pojęli po ludzku i naturalnie, bez wtłoczeń w teatralne stroje i zbroje.

Hay stał się dla nas odkryciem nowego, postępowego teatru węgierskiego, który do niedawna przytłaczany był i dławiony przez mieszczańską komediową szmirę budapeszteńską, naśladującą c. k. wzory wiedeńskie. Odkryciem nie jedynym. Równocześnie bowiem z „Bogiem, cesarzem i chłopem" w Teatrze Polskim pokazano nam — prawo serii! — w jego kameralnej filii postępową, antyfaszystowską sztukę innego węgierskiego autora, Aleksandra Gergely.

Sztuka ta, „Rycerze i bohaterowie" („Sprawa Pawła Eszteraga"), ma wiele danych, upoważniających do nazwania jej wybitnym dziełem dramatycznym: dobrze postawiony problem, mocne osadzenie go w rzeczywistości społecznej i politycznej, sprawny dialog. Zawiódł autora talent konstrukcyjny; zawikłany w szczegóły walki faszystowskiego majora sądu wojskowego (Węgry 1938) z uwięzionym komunistą, nie bardzo wiedział, jak zakończyć tak świetnie rozpoczętą i doprowadzoną do półmetka sztukę. Z tym wszystkim jednak namiętny, a przemyślany atak Gergely'ego na mieszczańsko - liberalny oportunizm i kapitulanctwo przed faszyzmem w okresie rządów Horthy'ego, ma swą wielką wartość. W Polsce brak dotychczas sztuki, która by się z dramatem Gergely'ego równała pod względem jasności wyrazu ideologicznego i artystycznego w walce z faszyzmem.

Przedstawienie stało się zasłużonym sukcesem Ludwika Réné, w którym witamy rzetelny i godny troskliwej opieki talent reżyserski — oraz sukcesem całego zespołu aktorskiego z Janem Świderskim i Władysławem Godikiem na czele. Godik, jako zaszczuty własnym tchórzostwem i naganką czasów faszystowskich, mały człowieczek mieszczański, którego stać było na męstwo w obliczu wroga, ale który okazał się zdolną do wielu podłości kanalią, ze strachu o dobrobyt — dał wnikliwą analizę oportunisty. Świderski pokazał, że utalentowany aktor, nawet gdy się specjalizuje w rolach degeneratów, potrafi pokazać różne fazy, stopnie i rodzaje wykrzywień psychiki ludzkiej. Jego Major był całkiem innym rodzajem psychopaty niż Baron w „Na dnie".

Sztuka Haya, dalej sztuka Gergely'ego, a w perspektywie sztuka Ewy Mandi „Powszedni bohaterowie" — węgierski odpowiednik „Brygady szlifierza Karhana", którą po „Makarze Dubrowie" zamierza podobno grać łódzki Teatr Nowy... „Odkryliśmy" zatem teatr węgierski, jak zaczynamy „odkrywać" teatr czechosłowacki. Pora byłaby sięgnąć i do rumuńskiego, i do bułgarskiego repertuaru, gdzie także znaleźć można wartościowe społecznie i artystycznie utwory.

W innych teatrach

Bocznymi drzwiami — choć z pierwszej jakości repertuarem teatralnym — powrócił pomiędzy żywych Teatr Narodowy.

„Jegor Bułyczow" porwał widza drapieżnością i wymową społeczną sztuki,

wzruszył wysokim poziomem gry zespołowej — z Krasnowieckim i Perzanowską na czele — zachwycił scenografią Daszewskiego. Zawiódł „Świętoszek“ pozbawiony koncepcji reżyserskiej, bez stylu gry starszych i bez polotu młodszych sił aktorskich — zawiódł mimo paru dopracowanych aktorsko scen i pięknych kostiumów Daszewskiego. Naprawili wrażenie „Krakowiacy i górale“ Bogusławskiego, w wypróbowanej inscenizacji Leona Schillera, najbardziej artystyczne widowisko ludowe w teatrze polskim.

Szczęśliwe wskrzeszanie sztuk Bogusławskiego w odpowiedniej adaptacji i ich powodzenie, to problem wymagający osobnego rozpatrzenia. Droga bowiem, jaką przebyć muszą oryginalne utwory Bogusławskiego, zanim mogą liczyć na sukces w teatrze Polski Ludowej, nie jest ani łatwa, ani krótka. Przebył ją — chociaż nie do końca — „Henryk VI na łowach“ w inscenizacji wrocławskiego Teatru Dolnośląskiego, przebyli ją w brawurowej galopadzie „Krakowiacy i górale“, zestrojeni przez Schillera. Ale — jak to czasem bywa — rozpędzony zwycięzca wybiegł poza metę. W „Krakowiakach i góralach“ nie brak wstawek i naddatków o treści spornej, wątpliwej i po trochu anachronicznej. Aktualizacja to robota, której nie wolno przerywać.

Teatr Narodowy wygrywa atut Bogusławskiego — Teatr Kameralny dogrywa „Męża i żonę“ Fredry w stylu salonowej francuskiej komedii, Teatr Rozmaitości sięgnął, niewiele myśląc, po niezawodnego „Mazepę“, w którym Jerzy Leszczyński przypomniał swój talent, Igor Śmiałowski udowodnił, że może grać nie tylko operetkowych amantów, Adam Hanuszkiewicz uczłowieczył anielskiego Zbigniewa, a Zofia Rysiówna z talentem choć nadaremnie usiłowała przekonać do cielesności archanielską Amelię.

Przy okazji znowu zapisano sporo papieru na temat samej tragedii. Pochwał wyrzeczono moc, nowych myśli — cóż się dziwić — rzucono niewiele. A jak należy grać „Mazepę“ pozostało nadal tajemnicą.

A w Teatrze Powszechnym pokazano w tandetnej dekoracji i w słabej obsadzie aktorskiej „Przyjaciół“ Andrzeja Uspieńskiego. „Przyjaciele“—to hymn ku czci radzieckiej moralności i jej bezapelacyjnego zwycięstwa w społeczności ludzi radzieckich. Ta prawość i prostota może się widzowi mieszczańskiemu, przyzwyczajonemu do rozwiązłości komedii bulwarowej lub do pogmatwań erotycznych, doprowadzonych do absurdu — wydawać zbyt prosta i melodramatyczna. Może go też drażnić powściągliwość, z jaką na temat miłości fizycznej wypowiadają się radzieccy pisarze. Jest dla nas co najmniej obojętne, co myśli i czego pragnie w teatrze widz mieszczański; ale jeśli zapoznajemy się w sztuce z dziewczyną, do której dwu przyjaciół zapałało od pierwszego wejrzenia miłością na całe życie — wówczas nie wolno roli tej dziewczyny oddać w ręce aktorki niedoświadczonej, nie wolno też ludzi dorosłych i zajmujących odpowiedzialne stanowiska pokazywać jako szlachetną, lecz mocno jeszcze niedojrzałą, niedowarzoną młodzież.

A polski repertuar współczesny? Oprócz „Niemców“ Kruczkowskiego, które przekroczyły liczbę 150 przedstawień, przesunęła się tylko „Zapora“ Janusza Teodora Dybowskiego, najlepsza sztuka w dorobku pracowitego autora, która też doczekała się słusznej uwagi krytyków.

Dybowski ma zasługi pionierskie: pierwszy właściwie z dramatopisarzy polskich dostrzegł klasowy podział wsi i wyszedł poza opłotki „chłopa-piasta“ z wyobrażeń Wyspiańskiego, czy też

biologicznych chłopów „jako takich" ze sztuk Rostworowskiego i Zegadłowicza. Pionierom można wiele wybaczyć. Toteż i w „Zaporze" pobłażliwie na ogół oceniono rozliczne błędy, naiwności, uproszczenia, fałszywe sformułowania i nawet nieodpowiedzialne wyskoki, a życzliwą uwagę zwrócono na te szczegóły, które sztuce Dybowskiego utorowały drogę do rozmaitych teatrów zawodowych i torują drogę do wielu teatrów świetlicowych: a więc na zręczny, satyryczny obraz bogaczy wiejskich i walki z nimi biedoty, a więc na dwuznaczną rolę mętnego chłopomana, wychowanego na ideologii kułackiej. Jeśli tedy „Zapora" spełni rolę rozbicia zapory, zasłuży sobie na wdzięczną pamięć.

Jeszcze parę zdań o lekkim, lecz nie z ciężaru gatunkowego, temacie: Warszawa wciąż nie ma teatru satyry. Warszawa ma teatry muzyczno-wodewilowe: Ludowy Teatr Muzyczny (farsowy sukces „Klubu kawalerów", z Mrozińskim i Bracką w rolach najbardziej rozśmieszających), Teatr Nowy („Volpone" pod rewię amerykańską, plany grania Nestroya), no i Syrenę, która miała uprawiać satyrę polityczną i społeczną, a przesunęła się skwapliwie w kierunku operetki i wodewilu (bezmyślna adaptacja jakiejś amerykańskiej bzdury pt. „Pan z milionami", zręczna finta Jurandota „Sprawa o Czardaszkę", zabawna farsowa produkcja Gozdawy i Stępnia: „Moja żona Penelopa" — w dwu wersjach — następnie „Przeminęło z herbem", ostatnio „Wodewil warszawski"). Co zrobić, by Warszawa miała śmiech na scenie nie tylko w wydaniu teatru komediowego?

Jest jeszcze w naszym życiu artystycznym wiele pozostałości mieszczańskiego myślenia i posługiwania się burżuazyjno - formalistycznymi kryteriami pojęć o sztuce. Przykładów można by podać wiele, przykładów niemal każdy tydzień dostarcza. Podniesienie wymagań ideowych, które nastąpiło w ostatnich tygodniach podczas dyskusji literackich i malarskich, powinno być bodźcem do zaostrzenia oręża krytyki i samokrytyki w teatrze i do dalszego wzmożenia czujności ideologicznej.

J. A. Szczepański

NA WIDNOKRĘGU

Zjazd Polonistów

Odbytego w Warszawie w dniach 8 — 12 maja Zjazdu Polonistów nie można rozpatrywać jedynie na płaszczyźnie fachowo-polonistycznej. Zjazd ten był bowiem symptomem przemian dokonujących się w naszej nauce, przemian o tym zakresie i doniosłości, że o nich to na pierwszym miejscu wypada pisać z racji obrad polonistycznych.

Przede wszystkim Zjazd Polonistów stanowił jedno ze wstępnych — a jak jego przebieg ukazał, wyjątkowo ważnych — ogniw przygotowawczych do I Kongresu Nauki Polskiej, jaki ma się odbyć pod koniec 1950 roku. Cele Kon-

gresu Nauki są wielorakie: ma on dokonać przeglądu i oceny stanu prac naukowo-badawczych wszystkich dyscyplin wiedzy; ma rozpatrzyć strukturę istniejących towarzystw naukowych oraz ich przydatność wobec czekających naukę polską zadań; ma dokonać krytycznego przeglądu i oceny powojennego piśmiennictwa naukowego; ma ustalić i wydobyć postępową tradycję poszczególnych gałęzi wiedzy; ma wreszcie ustalić zasady i metody planowania badań naukowych w przyszłości.

Nie są to więc cele wyłącznie techniczno-organizacyjne, ale cele związane z samą treścią nauki, z nadaniem jej postępowego charakteru, ze ścisłym powiązaniem nauki z potrzebami Polski ludowej oraz wymaganiami planu 6-letniego. Cele zatem, które tylko wówczas zostaną spełnione, kiedy towarzyszyć im będzie proces przemian wśród samych uczonych, przemian w ich własnym warsztacie badawczym oraz rządzących nim metodach. Dopiero wypadkowa żądań zgłaszanych przez państwo ludowe oraz tego procesu przemian dać może i da na pewno przełom w nauce polskiej.

Wielokrotne wypowiedzi polityczne oraz każdemu dostępna obserwacja istniejącego stanu rzeczy dowodzą, że preliminaria tego przełomu najmniej są zaawansowane w naukach humanistycznych, że ciążenie idealistycznych metod badania naukowego oraz nałogi indywidualistyczno-liberalnych, nie włączających się w szerszy plan naukowy, sposobów pracy badawczej ciążą na tych naukach najbardziej.

Wśród dyscyplin, zmagających się z największymi trudnościami, miejsce, przez swoją doniosłość społeczną na pewne centralne, zajmują historia oraz historia literatury. I dlatego Zjazd Polonistów był tak ważki, ukazywał bowiem, jakie zmiany już się dokonały, a ponadto sumował w zastosowaniu do polonistyki postulaty i żądania, których główną areną będzie Kongres Nauki. Osiągnięte zdobycze Zjazdu są niezwykle cenne, a pod wieloma względami — przełomowe. Jakie fakty pozwalają na podobny wniosek?

Najpierw o przemianach już dokonanych, których świadectwo przyniosły obrady. Jednym z momentów akcentowanych mocno w dyskusjach i referatach zjazdowych było to, że przyjmowane przez naukę burżuazyjną jakieś zasadnicze różnice jakościowe pomiędzy tzw. naukową historią literatury a krytyką literacką oraz publicystyką są fikcją stworzoną właśnie przez tę naukę. Stworzoną po to, ażeby twierdzeniom o wyraźnie klasowym charakterze, nie różniącym się w swym układzie od tego, co w danej epoce głosili tzw. nienaukowi krytycy, przez wykopanie nieprzekraczalnego rzekomo rowu między nauką a praktyką nadać pozór obiektywnej naukowości. Program zjazdu był zbudowany na słusznym założeniu, że rowu takiego nigdy nie było naprawdę, a tym bardziej być go nie może w nauce postępowej i naprawdę związanej z życiem.

Założenie to wyraziło się w dwojaki sposób. Najpierw układ personalny sali. Zasiadali w niej prawie wszyscy profesorowie historii literatury polskiej w uniwersytetach, zasiadali docenci i asystenci, ale jeszcze liczniejszą grupę stanowili pochodzący ze wszystkich kuratoriów nauczyciele-poloniści. Liczna też była reprezentacja młodzieży polonistycznej tak uniwersyteckiej jak z Wyższych Szkół Pedagogicznych, a wolontariusze-krytycy, publicyści, pisarze przysłuchujący się obradom dopełniali wachlarza, o którym śmiało rzec można, że obejmował tak na sali jak w dyskusji wszystkie stany polonistyczne. Jeśli dodać ponadto, że trwające codziennie z niewielkimi przerwami 10 do 12 godzin obrady cierpiały raczej na nadmiar frekwencji niż na jej niedo-

wład, jeżeli wspomnieć, że ponad przewidziany komplet przybyło na zjazd około 100 osób (na pochwałę bardzo sprawnych organizatorów, z sekretarzem naczelnym Zjazdu J. Baculewskim na czele, przypomnieć trzeba, że wszyscy znaleźli hotel i wyżywienie) — świadczyć będą te fakty, że taka właśnie rekrutacja Zjazdu dowodziła, że onegdajsze przedziały są fikcją, a samym obradom odbierała charakter wyłącznie akademicki. Obserwacja sali uczyła ponadto, że postępową metodologię i nowy typ polonisty rozumie i pragnie realizować przede wszystkim młodzież, i jej wkład w atmosferę obrad był niemniej ważny od zderzających się na trybunie twierdzeń dojrzałych polonistów.

Program obrad uwzględniał bardzo silnie praktyczne potrzeby i zadania polonistyki. Zjazd obradował w czterech sekcjach: historii literatury, teorii literatury, organizacji badań polonistycznych oraz dydaktyki języka polskiego w szkole. Z natury rzeczy program najobszerniejszy miała do przepracowania i przedyskutowania sekcja historii literatury, ale takie fakty, jak zapełniająca pierwszy dzień obrad dyskusja nad referatem wiceministra E. Krassowskiej „Reforma uniwersyteckich studiów polonistycznych", jak wysunięcie na obrady plenarne referatów przynależnych zasadniczo do sekcji dydaktyki (J. Z. Jakubowski „Naukowe podstawy programu historii literatury na stopniu licealnym" oraz Z. Libera „Znaczenie wychowawcze nauczania literatury w dobie budowania podstaw socjalizmu") dowodziły, że zjazd nie tylko spiera się o metody, ale schodzi do konkretów tak doniosłych dla każdego nauczyciela.

Centrum wszakże tak ideologiczne jak merytoryczne obrad stanowiła wielka dyskusja tocząca się na sekcjach historii literatury i teorii literatury, dyskusja wiążąca się ponadto ściśle z takimi referatami, jak w drugim dniu zjazdu St. Żółkiewskiego „Aktualny etap walki o marksistowską wiedzę o literaturze w Polsce", w trzecim dniu tegoż referenta „Planowanie badań polonistycznych" oraz J. Krzyżanowskiego „Podstawowe postulaty organizacji pracy w dziedzinie nauki o literaturze polskiej", w ostatnim zaś połączony z koreferatem Z. J. Jakubowskiego referat R. Pollaka „Periodyzacja historii literatury polskiej". W sumie wygłoszono na zjeździe 27 referatów, liczba spotykana tylko w naprawdę wielkich manifestacjach naukowych. Wraz ze stenogramem dyskusji przyniesie je specjalna księga zjazdowa, a przed ukazaniem się tej księgi nadzwyczajny zeszyt Pamiętnika Literackiego, podający główne referaty oraz najważniejsze wystąpienia dyskusyjne.

Dyskusja ta określała całą dynamikę ideologiczną Zjazdu — nie uczestnicząc w sekcji teorii literatury, nie mogę niestety podać jej odbicia w tej właśnie sekcji. Więc jedynie to, co każdemu uczestnikowi obrad wiadomo, że po referatach sprawozdawczych na temat stanu badań i potrzeb teorii literatury (M. R. Mayenowa), wiersza polskiego (M. Dłuska), teorii gatunków literackich (S. Skwarczyńska), najbardziej dyskutowanym referatem była nowa próba interpretacji „Dynamiki przełomu literackiego" (tytuł odczytu) zgłoszona przez J. Kotta. Dlatego również wspomniana dyskusja stanowiła centrum Zjazdu Polonistów, albowiem w niej się koncentrowały w odniesieniu do polonistyki ogólne zadania Kongresu Nauki: ocena krytyczna stanu istniejącego, wydobycie postępowej tradycji nauki, planowanie w imię postępowych metod badania oraz związków nauki z życiem.

Podłożem dyskusji obok wymienionych już referatów o charakterze ogólnym były oceny stanu badań nad poszczególnymi epokami literatury, a tak-

że dotyczące ich postulaty badawczo-edytorskie. Następujący referenci przeprowadzili to zadanie wobec następujących epok: średniowiecze i renesans — J. Krzyżanowski; reformacja — Ł. Kurdybacha; kontrreformacja — J. Dürr-Durski i K. Budzyk; oświecenie — T. Mikulski; romantyzm — K. Wyka. pozytywizm — J. Kulczycka i J. Baculewski; imperializm — K. Wyka. W tym łańcuchu brak było trzech ogniw; referatu o osiągnięciach radzieckich w dziedzinie metodologii oraz praktyki badań historyczno-literackich (zastępowały go częściowo wystąpienia dyskusyjne St Żółkiewskiego); oddzielnego referatu o dwudziestoleciu i literaturze powojennej (wypełniały częściowo tę lukę głosy dyskusyjne R. Matuszewskiego i J. Kotta). Należałoby również w przyszłości wydzielać literaturę w kraju i ujmować ją w odrębnym referacie, by — jak mówił podpisany w referacie o romantyzmnie — nie trwała nadal wobec ogromnego obszaru tej literatury ta sytuacja, że badacze jak ów mickiewiczowski rybak tylko z brzegu nawiedzają dno owego morza.

Wszystkie wymienione referaty oceniać można tylko w ścisłym związku z dyskusją, bo wedle tego związku narastała dynamika zjazdu. Referenci nie we wszystkich epokach stwierdzali identyczny co do nasilenia ilościowego i jakościowego stan. Z wyraźnie białymi plamami na mapie badań (np. podłoże społeczne reformacji, literatura w kraju, preromantyzm, pomniejsi pisarze doby imperializmu) sąsiadują na tej mapie miejsca wyraźnie forytowane przez badania dotychczasowe (np. wielcy romantycy, Wyspiański). Mimo tych różnic trzy główne tezy występowały we wszystkich przeglądach. Pierwsza z nich to podkreślenie zasług i osiągnięć edytorsko-wydawniczych dotychczasowych badaczy, bez których w wielu wypadkach stan materialny wiedzy o danych problemach byłby równy zeru. Dla przykładu wymieniamy zasługi Aleksandra Brücknera wobec literatury reformacji oraz baroku polskiego, Karola Badeckiego wobec literatury mieszczańskiej czy Juliusza Kleinera w stosunku do tekstów Słowackiego. Z podkreśleniem tych osiągnięć łączyła się troska o dalsze utrwalanie podstawowych materiałów bądź drogą normalnych edycji naukowych, bądź przez przemyślaną akcję mikrofilmu. Przerażające cyfry przepadłych bezpowrotnie w drugiej wojnie światowej a nie wyzyskanych naukowo rękopisów, takie przypomnienia jak zatrata Biblii Królowej Zofii, nadawały tym postulatom aktualność, zwłaszcza nadawały w dniach, w jakich toczyły się obrady Zjazdu — w dniach wzmożonej walki o pokój, w której specjalną deklaracją, podpisaną przez prezydium, zjazd zamanifestował swój udział.

Ta pierwsza teza nie budziła większej dyskusji również i wtedy, kiedy przechodziła ona w zagadnienie planowania przyszłych badań, w konieczność kolektywnej pracy nad nową syntezą literacką, w potrzebę równoczesnego prowadzenia wszelkiego typu badań historyczno-literackich, tak nawet rozległych i obliczonych na długie lata, jak bibliografia zawartości literackiej czasopism polskich, przy jednoczesnym wysunięciu na plan pierwszy w najbliższym okresie takich badań, których szybkiego ukończenia domaga się wzgląd społeczny. Są nimi nowe podręczniki szkolne i uniwersyteckie.

Szeroki plan w tej mierze, połączony z wieloma innowacjami, jak np. stworzenie na wzór radziecki aspirantury naukowej, celem szybszego i prawidłowego wykształcenia nowych kadr naukowych, plan przedstawiony przez St. Żółkiewskiego nie spotkał się z żadnym sprzeciwem. Konieczność zerwania z chałupniczo-indywidualistycznym systemem pracy naukowej, konieczność uzgadniania

wyników badań nie tylko w ich stadium materiałowym lecz także interpretacyjnym, została w ten sposób potwierdzona przez zjazd. Także występujące w dyskusji głosy, że badacze literatury nie dokonają nowej syntezy, póki historycy gospodarczy i polityczni nie dostarczą im odpowiednich opracowań pomocniczych, głosy mogące doprowadzić do odkładania badań interpretacyjnych *ad calendas graecas*, spotkały się ze stanowczym oporem.

Zresztą w kwestii zespołowej pracy naukowej sam zjazd był wymownym argumentem. Organizowało go zasłużone lecz dzisiaj ledwo wegetujące na skutek nieprzystosowania swoich założeń organizacyjnych do obecnych zadań wiedzy o literaturze Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza oraz nawet dwóch lat istnienia nie mający za sobą, lecz do tych zadań przystosowany, Instytut Badań Literackich. I jeżeli zjazd mógł podsumować i ujawnić tyle dokonanych już przemian w polonistyce uniwersyteckiej, jeżeli mógł ujawnić postaci i nazwiska młodych badaczy, przysposobionych do samodzielnej i postępowej pracy naukowej, jest w tym niewątpliwa zdobycz ideologiczna i organizacyjna komórki badawczej tego nowoczesnego typu, jaką jest Instytut Badań Literackich.

Walka ideologiczna rozgorzała wokół drugiej i trzeciej tezy referatów. Drugą bowiem było dokładne oddzielenie tego, co w dotychczasowym dorobku intepretacyjnym naszej historii literatury daje się włączyć do syntezy literackiej, od tego, co na skutek fałszywych i idealistycznych założeń tradycyjnego eklektyzmu metodologicznego wejść absolutnie nie może w skład postępowej tradycji wiedzy polonistycznej. Nie sposób w krótkim sprawozdaniu wskazywać, jak na poszczególnych odcinkach, w odniesieniu do poszczególnych badaczy granica ta przebiegała. Jedno w niej było wszakże widoczne: w tych epokach, w jakich z racji swojego charakteru literatura danego okresu najbardziej się nadawała do roztrząsań idealistycznych, intuicjonistycznych i formalistycznych (kontrreformacja, romantyzm, Młoda Polska), granica ta najbardziej się cofała na niekorzyść dotychczasowych osiągnięć. Szczególnie się cofała, w takim określeniu swego przebiegu nie napotykając prawie wcale na opór ze strony obrońców polonistyki tradycyjnej, jeżeli chodzi o literaturę doby imperializmu.

Trzecia teza wspólna dotyczyła ogólnej koncepcji głównych epok literackich i związanego z tym zagadnienia ich periodyzacji. Tutaj argumenty referentów były najsilniejsze i wykazywały, że żadna z dotąd stosowanych metod pojmowania dynamiki literackiej nie jest zdolna dotrzeć do istotnych wyznaczników tej dynamiki, zadanie zaś takie w sposób naukowo poprawny, wzbogacający wiedzę o danej epoce, ustalający jej prawdziwe związki z klasowym układem i walką klasową owego okresu, spełnia jedynie marksistowskie pojęcie rozwoju literackiego. Szczególnie frapujące wyniki w świetle dyskusji zjazdowej uzyskiwał przy tym ujęciu stosunek polskiego oświecenia do romantyzmu, a tezę, że nowoczesna literatura polska rozpoczyna się już w epoce stanisławowskiej, potwierdzał, jakkolwiek tylko klasowe ujęcie dynamiki procesów literackich umożliwia dojście do tej odkrywczej tezy, np. J. Kleiner, przyjmując tym samym jedno z zasadniczych twierdzeń marksistowskiej oceny polkiego rozwoju literackiego, chociaż on to właśnie w innych momentach dyskusji pragnął od interpretacji klasowej zwolnić arcydzieła, pozostawiając jej jedynie szarą brać literacką.

Wokół tych dwóch tez ostatnich skupiła się większość dyskusji pomiędzy marksistowskimi oraz znajdującymi się

na drodze do marksizmu badaczami i krytykami z jednej strony, a częściowymi lub całkowitymi obrońcami idealistyczno-tradycyjnego porządku badań historyczno-literackich. Dyskusja ta dała wynik nie budzący żadnej wątpliwości. Zanim go określimy, przypomnijmy zasadnicze ogniwa sporu. Obrońcy przypominali, że niejedno z twierdzeń podawanych jako nowość interpretacyjna znajdzie się u dawniejszych badaczy. Otrzymywali odpowiedź, że być może tak, ale w tekstach i wydawnictwach, do których z trudem dociera fachowiec w środowiskach uniwersyteckich, a zatem w takich tekstach, które nie posiadają skuteczności społecznej i pedagogicznej, a ponadto są tylko sporadyczne i ograniczone horyzontem klasowym badacza. Obrońcy dowodzili, że marksistowski klucz interpretacyjny dobrze otwiera dzieła o wyraźnej problematyce społecznej, ale wobec innych jest bezsilny. Z trybuny padały odpowiedzi zaimprowizowane, dające podstawową interpretację „Trenów" czy „Balladyny". Obrońcy twierdzili, że marksistowska metoda badań literackich zubaża rzekomo literaturę, skoro takie np. zjawiska jak mistyka Towiańskiego ocenia ujemnie. Następowała odpowiedź ustalająca, że mistycyzm może być wsteczny i może mieć akcenty na swój czas postępowe, że Towiański to nie „Boska komedia", zależnie bowiem od momentu historycznego oceniać należy myślenie mistyczne, następowała zatem odpowiedź wskazująca, że i tutaj marksista wie, jak postępować.

Oto wybrane przykłady z dyskusji. Ich rezultat stanowi o doniosłości zjazdu, a rezultat ten został osiągnięty już w kulminacyjnym momencie obrad, a mianowicie w dyskusji po referacie na temat romantyzmu. Ze wszystkich odbytych podczas zjazdu sporów ten był niewątpliwie najciekawszy. Do tego bowiem, czwartego popołudnia obrad, dynamika zjazdu wyraźnie narastała, a dyskusja owa ostatecznie podsumowała sens sporów z dni poprzednich i ujawniła ich wynik.

Wynik ten, że marksistowskiej metodzie badań literackich nie została przeciwstawiona żadna inna metoda równie całkowita i zdolna do interpretacji i oceny wszelkich zjawisk wchodzących w skład historii literatury, zdolna ponadto w sposób twórczy i nowatorski wzbogacić wiedzę o nich, umiejąca owartościowiać i wyzyskać zdobycze badań dotąd prowadzonych. Obrońcy polonistyki tradycyjnej albo pragnęli wyznaczyć granicę, pokąd marksizm może sięgać, a gdzie rzekomo staje się bezpłodny naukowo, albo też wskazywali na te rezultaty cząstkowe, jakie już dawniej były wiadome, albo wreszcie starali się metody idealistyczne pozostawić obok metodologii marksistowskiej w stanie permanentnego kompromisu. W każdym więc wypadku zajmowali stanowisko defensywne.

Głównym bodaj osiągnięciem Zjazdu Polonistów był przeto na materiale rzeczowym, na materiale badań dotychczasowych, w rozległej i prawdziwie naukowej dyskusji przeprowadzony dowód, że takiego kompromisu nie ma, jak doskonale dowodzili w dyskusji M. Kierczyńska i J. Kott.

Zjazd Polonistów nie był bowiem sielanką naukową zmierzającą do tego, by po wymianie argumentów „uzgodnić" stanowiska sprzeczne i w spokoju rozejść się do domów. Był twardo nieraz toczonym etapem walki o marksistowską wiedzę o literaturze w Polsce i mieli słuszność ci w dyskusji, którzy podkreślali, że tak brzmiący tytuł odczytu Stefana Żółkiewskiego nie mówił o sprawach rozgrywających się gdzieś poza salą, lecz właśnie w jej murach, właśnie wśród padających w niej argumentów i twierdzeń.

Zjazd Polonistów zadania stawiane przez Kongres Nauki przed podobną ma-

nifestacją naukową — nadzieje takiego związania w planach i metodach badań polonistyki z potrzebami Polski ludowej, że służyć będzie ona moralnej i ideologicznej budowie człowieka nadchodzącej epoki socjalizmu — rozwiązał w sposób na pewno pozytywny, a pod wieloma względami — przełomowy. Lecz to dopiero początek. Przyjść po nim musi praca, praca i jeszcze raz wytężona praca całej postępowej polonistyki, bo zadania zostały dopiero postawione, braki i błędy ustalone, a do zapełnienia luk i wykonania zadań droga jeszcze daleka i żmudna.

Kazimierz Wyka

Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury za rok 1949

Coroczne przyznawanie Nagród Stalinowskich jest nie tylko świętem literatury radzieckiej lecz również wielkim i radosnym wydarzeniem dla całego narodu radzieckiego. W ZSRR literatura jest sprawą narodową: sukcesy pisarzy naród radziecki zalicza do s w o i c h osiągnięć, uważa je za zwycięski etap walki o komunizm. „Każdy udały utwór można porównać z wygraną bitwą lub z wielkim sukcesem na odcinku gospodarczym" — pisał w swoim czasie Andrzej Żdanow.

Ogłoszenie Nagród Stalinowskich za rok 1949 nastąpiło z początkiem marca br. Na 122 nagrody w dziedzinie literatury i sztuki przyznano 34 nagrody za najcelniejsze utwory literackie wydane w r. 1949. Najwięcej nagród (16) przyznano w dziale artystycznej prozy, poza tym nagrodzono 9 poetów, 4 dramaturgów, 5 krytyków i historyków literatury. Do dziedziny literackiej należy również zaliczyć wyróżnione scenariusze 5 filmów fabularnych, które objęte są nagrodami zespołowymi, z wyliczeniem realizatorów nagrodzonych filmów.

Wśród nagrodzonych pisarzy, obok przedstawicieli starszego pokolenia, widzimy młodych autorów; obok przedstawicieli literatury rosyjskiej widnieją nazwiska poetów narodowych literatur radzieckich.

Nagrodę I stopnia w dziedzinie prozy artystycznej otrzymał zeszłoroczny laureat Nagrody Stalinowskiej *S. Babajewski* za powieść *„Swiet nad ziemloj"* („Światło nad ziemią"), będącą dalszym ciągiem nagrodzonej w zeszłym roku powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy". Postaci „Kawalera Złotej Gwiazdy" spotykamy w nagrodzonej obecnie powieści — na nowym etapie rozwojowym kubańskiej wsi kołchozowej, już nie na tle i wokół zagadnień poszczególnych kołchozów, lecz w ramach zagadnień całego powiatu, przy czym osiowe zagadnienie zeszłorocznej powieści — sprawa budowy rozgałęzionej sieci energetycznej, sprawa zdecydowanej zmiany i poprawy warunków materialnych — rozszerzone zostały o sprawę rozwoju nowego człowieka. Babajewski ujawnił i zgłębił potężne źródło „Światła nad ziemią" — wzrost socjalistycznej świadomości ludzi radzieckich, twórców nowego życia. Autor powieści przedstawił ofiarną walkę o wprzęgnięcie energii elektrycznej w służbę gospodarki i społeczeństwa radzieckiego, o realizację wzniosłej idei przeobrażenia przyrody. Babajewski ujął postaci bohaterów w dynamice omówionej walki, w procesie rozwiązywania pilnych zadań społeczno-gospodarczych. Dzięki temu autor mógł uwypuklić nowe cechy radzieckiego człowie-

ka, rodzące się i krzepnące w ogniu tej walki. Cechy te to: partyjno-ideologiczny stop bogatych i różnorodnych pierwiastków psychiki radzieckiej, to jedność myśli, uczuć i czynów ludzi radzieckich, to najściślejsza, organiczna więź interesów indywidualnych z dobrem powszechnym. W związku z przesunięciem osiowego zagadnienia powieści, z rozszerzeniem jej ram, w „Świetle nad ziemią" dokonało się również przesunięcie postaci głównego bohatera. W „Kawalerze Złotej Gwiazdy" główną postacią był Siergiej Tutarinow, w „Świetle nad ziemią" na pierwszy plan wysuwa się postać sekretarza rejonowego Komitetu Partii, Mikołaja Kondratiewa. Kondratiew to typ taktownego, uważnego i wnikliwego wychowawcy partyjnego, przywódcy i organizatora najważniejszych poczynań w rejonie, człowiek żelaznej woli i niewzruszonych zasad, stary bolszewik zahartowany w walce rewolucyjnej. Zachowanie się i postępowanie Kondratiewa wypływa z jego bolszewickiej partyjności: jest on surowy dla siebie i dla innych, bezkompromisowo i bezwzględnie zwalcza wszelkie przeszkody stojące na drodze społeczeństwa radzieckiego do komunizmu. Młody budowniczy komunizmu, kawaler Złotej Gwiazdy, Tutarinow, mimo wybitnych zdolności, mimo bohaterskiej postawy na froncie i po powrocie do pracy pokojowej, mimo dobrych, realnych pomysłów w dziedzinie elektryfikacji rejonu i przeobrażenia przyrody, budzi w Kondratiewie pewien niepokój.

Kondratiew zauważył bowiem u młodego, mało doświadczonego zapaleńca, Tutarinowa, pewne upojenie się powodzeniem życiowym. Rozpoczyna walkę z Tutarinowem błądzącym o — Tutarinowa świadomego swych błędów i przywar, zwalczającego je po bolszewicku, samokrytycznie, dojrzałego przywódcę i wychowawcę mas. (Tutarinow jest przewodniczącym komitetu wykonawczego rejonowej Rady Delegatów.) Po decydującej rozmowie Tutarinowa z kochającym go ojcowską miłością Kondratiewem walka ta przenosi się w głąb duszy Siergieja. Przebudowa psychiki bohatera, dojrzewanie charakteru Tutarinowa dokonywa się nie drogą oderwanych refleksji i rozmyślań, lecz zachodzi jako naturalny proces rozwojowy w bezpośrednim związku z realnymi sprawami społecznymi, z konkretnymi sytuacjami. Narodziny nowego charakteru, walka o wysokie zalety moralne budowniczych komunizmu — stanowią więc główny temat powieści „Światło nad ziemią", są także zasadniczym motywem konstrukcji postaci drugoplanowych. Realia powieści: opisy życia wsi kołchozowej mające wartość dokumentarną oraz przepiękne opisy przyrody potwierdzają — ustaloną już w „Kawalerze Złotej Gwiazdy" — ocenę talentu pisarskiego Babajewskiego.

Problemami radzieckiej wsi zajmują się inne nagrodzone powieści: *W. Ilienkowa „Bolszaja doroga"* („Gościniec"), *G. Medynskiego* (Pokrowskiego) *„Maria"*.

„Gościniec" Ilienkowa porusza zagadnienie nowej radzieckiej inteligencji wyrastającej ze środowiska kołchozowego chłopstwa. Autor przedstawia życie wsi, jej mieszkańców — w warunkach pokojowego budownictwa przedwojennego i w sytuacji powstałej wskutek wybuchu wojny. Najpełniejsza jest postać przewodniczącego kołchozu inteligenta-samouka Mikołaja Diegtierewa. Odtworzenie przez autora postaci radzieckiego inteligenta, zobrazowanie poziomu intelektualnego szeregowych obywateli radzieckich — dają artystycznie prawdziwy wyraz zjawisku masowości i upowszechnienia kultury radzieckiej.

„Maria" Medynskiego to jedna z naj-

pełniejszych i najpiękniejszych postaci radzieckiej kobiety wiejskiej z okresu Wielkiej Wojny w Obronie Ojczyzny. Prosta, szeregowa kołchoźnica dzielnie stawia czoło przeciwnościom życia. Ze stoickim spokojem przyjmuje wiadomość o śmierci syna na froncie, potem męża, znosi dzielnie brzemię ciężkiej pracy fizycznej, wytrwale i energicznie wprawia się w trudne obowiązki pracy z chwilą wyboru jej na przewodniczącą kołchozu. Maria znajduje czas na usynowienie obcego dziecka, wychodzi zwycięsko z konfliktu z mężem, który nie może znieść myśli o podporządkowaniu się własnej żonie, przewodniczącej kołchozu.

Postaci radzieckich kobiet wiejskich występują również w innych nagrodzonych powieściach.

Tu należy wymienić piękną opowieść *Wiery Panowej „Jasnyj biereg"* („Jasny brzeg") oraz poemat *A. Jaszyna* (Popowa) pt. *„Alena Fomina"*.

W. Panowa, autorka „Towarzyszy podróży" i „Krużylichy" — właściwie biorąc — nie ograniczyła się do przedstawienia tylko postaci bohaterskich kobiet, przedstawiła bowiem w swojej powieści całą galerię ludzi radzieckiej wsi. Rzecz dzieje się w sowchozie „Jasny Brzeg" w r. 1946, w roku posuchy. Bohaterzy opowieści, ludzie przeważnie młodzi, rosną i dojrzewają ideologicznie w patriotycznej, twórczej pracy. Panowa maluje życie prostych, szeregowych ludzi radzieckich, opowiada zajmująco o powszednim dniu pracy, pełnym radości i goryczy, osiągnięć i trudności. Opowieść Panowej — to pełny obraz dnia dzisiejszego Kraju Rad, to prawdziwe i dogłębne odtworzenie oblicza radzieckiego człowieka, tworzącego w sposób prosty i naturalny — wielkie, wzniosłe dzieło.

W pracy swojej, w postępowaniu — ludzie popełniają niekiedy błędy, na własnych błędach i omyłkach uczą się, idą ciągle naprzód, dążą do komunizmu. Dyrektor sowchozu, szlachetny, dzielny i energiczny Korostielow wskutek lekkomyślnego postępku (sprzedaż do kołchozu rasowej krowy wbrew przepisom i bez zezwolenia przełożonych) popada w konflikt z władzami państwowymi, partyjnymi, z otoczeniem i — z własnym sumieniem. Istotę postępku pochopnego dyrektora sowchozu — mimo niewątpliwie dobrych intencji i czystych pobudek — stanowi naruszenie zasad socjalistycznej gospodarki planowej. Mocno przeżywa Korostielow przykrość płynącą z powszechnego potępienia, „ostra nagana" pomogła mu jednak zrozumieć popełniony błąd i znaleźć właściwy nurt. Do jasnego brzegu komunizmu płyną niemal wszystkie postaci opowieści Panowej. Szczególnie bohaterskie są postaci kobiece; postać początkującej nauczycielki Mariany, borykającej się z trudnościami nauczania i wychowania powierzonej sobie gromadki, dojarki Niuszy Własowej, postaci świetlanej, owianej romantyką pracy i szlachetną ambicją dokonania jakiegoś bohaterskiego wyczynu. Młodziutka Własowa rzeczywiście osiąga niebywałe rezultaty hodowlane. Oczywiście nie wszystkie postaci „Jasnego brzegu" mają jednakowo silne poczucie odpowiedzialności moralnej. Niektórzy dochodzą do tego drogą bolesnych przeżyć (cieśla Ałmazow) jeszcze inni (jak zootechnik Ikonnikow — suchy formalista i mały człowiek) — w ogóle drogi do komunizmu nie odnajdują, pozostają obcymi w społeczeństwie „Jasnego brzegu".

Bohaterka poematu *Jaszyna „Alena Fomina"* jest również prostą kobietą wiejską. Jako młoda dziewczyna była ona komsomolką i przodownicą pracy. Niedługo po wyjściu Aleny za mąż wybuchła wojna, która obarczyła bohaterkę poematu ciężkim brzemieniem:

mąż jej poszedł na front, poszli też inni. Alena ofiarną pracą zdobywa szacunek i zaufanie wsi: wybierają ją na przewodniczącą kołchozu. Dzielna kobieta umiejętnie i energicznie kieruje gospodarką spółdzielni. Właściwy konflikt w poemacie rozpoczyna się z chwilą powrotu z frontu b. przewodniczącego kołchozu Kozłowa. Inwalida wojenny, szukający spokoju po trudach i znojach frontowych, nie może zrozumieć przemian zaszłych w kołchozie podczas jego nieobecności, ciężko mu też podporządkować się Alenie, którą znał od dziecka. Zatarg, w którym dosłownie wszyscy popierają Fominę, nie ma jednak charakteru osobistego czy „prestiżowego". Idzie tu o coś znacznie poważniejszego: Alena zamierza zelektryfikować wieś, Kozłow zaś radzi czekać z tym do końca wojny. Dla niego szczytem osiągnięć jest uzyskanie przedwojennego poziomu produkcji rolniczej i przedwojennej stopy życiowej. Alena nie zadowala się tym: jest działaczem gospodarczym nowego typu, prze ciągle naprzód, coraz dalej i coraz wyżej. Głęboko przekonana o słuszności swego stanowiska, poparta przez ogół, Fomina nie godzi się na żadne ustępstwa. Surowa wobec siebie, wymaga też od innych maksimum dobrej woli i wysiłku. Dzięki taktownej interwencji rejonowego sekretarza partii, Michalewa, Fomina i Kozłow dochodzą do porozumienia i odtąd wspólnie pracują dla dobra swojego kołchozu. Także sprawa osobistych przeżyć i cierpień Aleny kończy się pomyślnie: wraca z partyzantki ukochany mąż. Piękny, wzruszający poemat Jaszyna jest pełen naturalnej, nie stylizowanej ludowości, tchnie świeżością i prawdą życiową. Bohaterka poematu jest wcieleniem wielkiej siły kobiet radzieckich.

Inne zagadnienie porusza autorka nagrodzonej powieści *„Na lesnoj połosie"* („W pasie leśnym") — *K. Lwowa.* Akcja opowieści, ujęta w krótkie rozdziały, stanowiące pewnego rodzaju nowele, toczy się w stepach obwodu stalingradzkiego — wokół zagadnienia stworzenia pasa lasów ochronnych. Młoda, pełna entuzjazmu i poświęcenia komsomołka Nastia Sizowa bierze udział w realizacji gigantycznego stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody, o czym od dawna marzyła.

Szeroki jest wachlarz zagadnień i spraw, nagrodzonych utworów literackich. Dają one z tego powodu znakomity przekrój życia radzieckiego i jego zwierciadła — literatury. Prócz omówionych problemów wsi, literatura radziecka poświęca oczywiście bardzo wiele miejsca osiowemu zagadnieniu: życiu i pracy klasy robotniczej. Odznaczona Nagrodą Stalinowską II stopnia powieść młodego pisarza syberyjskiego *A. Wołoszyna* pt. *„Ziemla Kuznieckaja"* przenosi nas na kopalnię „Kapitalną" w Zagłębiu Kuznieckim, wprowadza nas w zagadnienia nowatorstwa i racjonalizacji wydobycia węgla. Naczelny dyrektor kopalni Drobotow, dba co prawda o wykonanie, a nawet przekroczenie planów, lecz poza tym niewiele czyni dla postępu techniki wydobycia. W związku z tym praca w kopalni nie biegnie rytmicznie; okresy gorączkowego zrywu i gwałtownego „podganiania", przeplatane są okresami zastoju i bezplanowości. Inż. Rogow, zdolny fachowiec, nowator i zwolennik pracy planowej, propagator nowatorskiego pomysłu cyklicznego wydobycia — przeciwstawia chaotycznej pracy Drobotowa, jego nie partyjnemu podejściu do ludzi — partyjne kierownictwo pracą kopalni, socjalistyczny humanizm, życzliwą opiekę nad załogą. Po wielu perypetiach Rogow staje na czele kopalni, lecz jest to dopiero początek procesu dojrzewania Rogowa i całej załogi kopalni. Dzięki krytyce i samokrytyce prowadzi on nadal walkę o opanowa-

nie trudności drogą wykuwania kadr prawdziwych budowniczych komunizmu. Wołoszyn dał artystycznie przekonywający wyraz twórczy procesowi pracy, jego specyfice. Zawód górnika, jego ciężka praca i walka z przeżytkami techniki i metod wydobycia, udostępnione czytelnikowi niemal w sposób dokumentarny, stają mu się bliskie i drogie.

Wśród nagrodzonych książek mamy jeszcze dwie powieści, które w wysoce artystycznej formie zaznajamiają czytelnika z zagadnieniami radzieckiej rzeczywistości w innych zakątkach ZSRR. *Aleksander Czakowski* w powieści *„U nas uże utro“*... („Już mamy ranek“) opiewa narodziny nowego radzieckiego życia na ziemiach wyzwolonych spod jarzma japońskiej okupacji w Południowym Sachalinie. Bohaterem powieści jest zespół pracowników różnych przedsiębiorstw radzieckich na wyspie, któremu przoduje — w pionierskiej pracy i walce o zaszczepienie życia radzieckiego na ziemi zniszczonej i wyeksploatowanej przez japońskich okupantów — grupa komunistów - patriotów, doświadczonych budowniczych socjalizmu, pochodzących z różnych ośrodków budownictwa socjalistycznego w okresie stalinowskich pięciolatek. Książka Czachowskiego owiana jest twórczym, romantycznym patosem pracy pionierskiej.

Na Daleką Północ przenosi czytelnika powieść *Antoniny Koptiajewej „Iwan Iwanowicz“*: Bohater tytułowej powieści I. I. Arżanow jest nie tylko wybitnie zdolnym neurochirurgiem, niezmordowanym poszukiwaczem nowych dróg nauki i medycyny stosowanej, lecz również przodującym działaczem radzieckim, godnym przedstawicielem nowej radzieckiej inteligencji wychowanej przez partię bolszewicką. Postać dr. Arżanowa stanowi ideologicznie i artystycznie doskonały wyraz wewnętrznego bogactwa i aktywnej, płodnej twórczości, przy czym konstrukcja psychiki i działalności bohatera odznacza się wielką zwartością monolitu oraz całkowitą zgodnością i jednością interesów osobistych i społecznych. Arżanow pracuje na Dalekiej Północy wśród Jakutów i Ewenków, w głębokiej tajdze oraz na kopalniach złota w Uczachanie; pracuje z dala od ośrodków naukowych, odczuwa jednak pełne zadowolenie i szczęście dobrze spełnionego obowiązku społecznego. Arżanowa otacza miłość i poważanie społeczeństwa, co dodaje bodźca jego pracy naukowej i społecznej. Piękne i prawdziwe są również postaci pracowników Iwana Iwanowicza w szpitalu górniczym na kopalni Czażmińskiej: Jakuta, Nikity Burcewa, młodego felczera, oraz Wari Gromowej, również Jakutki, uczennicy Arżanowa, zakochanej bez wzajemności w swoim nauczycielu i przełożonym. Ciekawie, prawdziwie i plastycznie odmalowane jest w powieści życie i obyczaje ludów dalekiej północy, przedstawione są ich codzienne sprawy i troski.

Do bohaterskiej tematyki wojennej nawiązuje uzdolniony pisarz *E. Kazakiewicz* w nagrodzonej powieści *„Wiesna na Odere“* („Wiosna nad Odrą“) poświęconej ostatniemu etapowi wojny, a mianowicie opisowi zwycięskiego szlaku bojowego Armii Radzieckiej od granic Niemiec do Berlina. Galeria postaci radzieckich oficerów jak gen. Sizokryłow, mjr. Łubiencow, pułk. Płotnikow godnie reprezentuje Armię Radziecką. W poczuciu misji wyzwoleńczej Armii Radzieckiej i godności przedstawiciela Kraju Rad wobec wyzwalanych narodów Europy mężnieje i dojrzewa jedna z postaci powieści, kapitan Czochow. Organizator partyjny kompanii kpt. Czochowa, były górnik Zagłębia Donieckiego, sierżant Sliwienko, reprezentuje tę moralną siłę armii radziec-

kiej, która dopomogła niemieckiej klasie robotniczej oraz demokratycznym elementom narodu niemieckiego do uwolnienia się od miazmatów hitlerowskiej psychiki.

W dziedzinie powieści historycznej i pamiętnikarskiej Nagrodę Stalinowską otrzymał *F. Gładkow*, znakomity pisarz starszego pokolenia. Autor „Cementu" i „Energii" został nagrodzony za książkę pt. „Powiest' o dietstwie" („Opowieść o dzieciństwie"), która nie jest zwyczajnym opowiadaniem, lecz wielkim historycznym płótnem ze stosunkowo niedalekiej przeszłości narodu rosyjskiego, jest opowieścią o życiu i walce rosyjskiego chłopstwa w końcu ubiegłego stulecia. F. Gładkow jest wielkim znawcą historii swojego narodu, jego kultury, ekonomiki, obyczajów i zwyczajów. Stale podkreśla, że nienawiść i wrogość do obszarniczo - feudalnych wyzyskiwaczy nie tylko gromadziły się w sercach ludu, lecz również wybuchały jasnym płomieniem gniewu i buntu. Naturalny, nie sfałszowany folklor, przepiękne opisy przyrody uwypuklają artystyczne walory książki Gładkowa.

Najstarszy pisarz tadżycki *S. Ajni* otrzymał Nagrodę Stalinowską za książkę *„Buchara"*. Są to wspomnienia z mrocznych dziejów mieszkańców Buchary, cierpiących pod jarzmem obszarniczo - feudalnych emirów. Powieść *N. Rybaka „Pierejasławskaja Rada"* poświęcona jest zagadnieniu odwiecznej przyjaźni narodów rosyjskiego i ukraińskiego.

Powieść *K. Siedycha „Dauria"*, to wielki epos, obejmujący dzieje kilku zabajkalskich pokoleń kozackich w okresie od r. 1854 — 1922. Siedych z szerokim epickim rozmachem maluje dzieje uwłaszczenia kozaków oraz proces zróżnicowania społecznego i ostrą walkę klasową między kozackimi bogaczami a biedotą. Kończy powieść opis wojny domowej i zwycięskich walk kozackiej biedoty — zjednoczonej z zabajkalską klasą robotniczą — przeciwko bandom atamana Siemionowa, służalca angloamerykańskich i japońskich interwentów.

W dziedzinie literatury dziecięcej Nagrody Stalinowskie otrzymali *A. Musatow* za opowieść *„Stożary"*, której akcja rozgrywa się na kołchozowej wsi, tuż po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej. Głównym bohaterem opowieści jest śmiały, wytrwały chłopczyk Konszakow. Autor odtwarza swego małego bohatera w procesie wzrostu i formowania się jego psychiki w społecznie zdrowych warunkach radzieckiej wsi. Zagadnieniem wychowawczym w szkole rzemieślniczej zajmuje się *I. Wasilienko* w nagrodzonej opowieści *„Zwiezdoczka"* („Gwiazdeczka"). W dziale poezji nagrodzony został również zbiorek wierszy dla dzieci *„Stichi dietiam"* pióra *Agnieszki Barto*. Prócz tego nagrodzeni zostali: Azerbejdżanin *Rustam* za zbiorek poezji *„Dwa bierega"* („Dwa brzegi"), Gruzin *Griszaszwili* za tomik poezji, Tadżyk *M. Mirszakar* za poematy *„Zołotoj kiszłak"* (kiszłak = wieś tadżycka) oraz *„Niepokornyj Piandż"*. Z rosyjskich poetów nagrodzeni zostali: znany dobrze w Polsce *B. Dołmatowski* — za zbiorek poematów *„Słowo o zawtarszniem dnie"* („Słowo o dniu jutrzejszym") oraz *P. Komarow* za 3 cykle poezji. Poza tym nagrodzono poetów ukraińskich: *M. Rylskiego* — za znakomity przekład *Pana Tadeusza* i *St. Olejnika* za cykl wierszy satyrycznych.

W dziale dramaturgii Nagrodę Stalinowską I stopnia otrzymał autor „Optymistycznej tragedii" *W. Wiszniewski* za sztukę *„Niezabywajemyj 1919"* („Pamiętny rok 1919"). Zdaniem krytyków ta 4-aktowa sztuka, odtwarzająca heroizm Rewolucji Październikowej i wojny domowej, jest najdojrzalszym utworem

dramatycznym Wiszniewskiego. Poza tym nagrodzono *S. Michałkowa* za sztukę *„Ja choczu domoj"* („Chcę do domu") — tragedia dzieci radzieckich więzionych przez anglo-amerykańskich faszystów w obozach niemieckich. Drugą sztuką, za którą przypadła S. Michałkowowi nagroda Stalinowska *„Ilia Gołowin"*, poświęcona zagadnieniu walki z wpływami burżuazyjnej ideologii kosmopolitycznej kultury. Tym samym zagadnieniem zajmuje się nagrodzona sztuka *K. Simonowa „Czużaja tień"* („Obcy cień"). *B. Ławreniew* otrzymał Nagrodę Stalinowską za sztukę polityczną *„Gołos Amieriki"*. W dziedzinie krytyki i historii literatury nagrodzono następujących autorów: *W. Jermiłowa* za monografię: *„A. Czechow"* i *„Dramaturgia Czechowa"*, *S. Makaszyna* za monografię *„Sałtykow - Szczedrin"*, *J. Elsberga* za książkę *„A. I. Hercen. Życie i twórczość"*. Poza tym Nagrodę Stalinowską otrzymali: *E. Mozolkow* za znakomitą monografię o klasycznym poecie białoruskim *„Janko Kupała"*, oraz azerbejdżański historyk literatury *G. Husejnow* za pracę pt. *„Z dziejów społecznej i filozoficznej myśli Azerbejdżanu w XIX w."*.

Józef Spino

Tęsknota za bohaterem

Francuska literatura burżuazyjna nie stworzyła w okresie międzywojennym pozytywnego typu burżuja, przedstawiciela klasy, której ta literatura służyła. Faktem jest, że współczesna literatura mieszczańska wyidealizowała antymieszczańskie potrzeby, pragnienia i cele życiowe. Mieszczaństwo (jako typ działania i myślenia) zostało uznane przez mieszczańskich pisarzy jako stan upośledzenia moralnego i intelektualnego. W powieściach Gide'a, Céline'a, a także Duhamela, a także Jouhandeau, a także Mauriaka bohaterowie wyrywają się z kręgu mieszczańskich konwencyj, aby... właśnie po co? Będą nieszczęśliwi, potępieni i święci, zmarnują życie sobie i innym. Kiedy Barrès w „Deracinés" przedstawił wykolejeńców, to uczynił to po to, ażeby odstraszającym przykładem dać receptę na mieszczańskie szczęście, ażeby wzbudzić szacunek dla środowiska i mieszczańskich konwencyj. Współcześni losu swoich bohaterów nie tworzą dla przestrogi. Wyrywają ich ze środowiska, aby rzucić na pastwę niepokojów, namiętności i rozpaczy. Pragną ich przede wszystkim powiększyć. W dobrym i w złym, przede wszystkim w złym. Wydaje im się, że tylko w ten sposób mogą im dać wymiar pełnego człowieka. Gide gdzieś w swoim „Dzienniku" notuje komentarz współczesny do barresowskich „Deracinés". Powiada, że dopiero po wyzwoleniu się z mieszczańskiego środowiska rozpoczyna się l u d z k i e życie.

Immoralizm Gide'a w swojej tendencji jest całkowicie zgodny z moralizmem Mauriaka. Współcześni pisarze mieszczańscy potępiają mieszczaństwo tak samo w imię Chrystusa, jak i w imię Antychrysta. W imię niczego także.

Cóż znaczy ten bunt? Czyżby francuscy pisarze przygotowywali antymieszczańską rewolucję? Gdzie mają sprzymierzeńców w takim razie?

Kariera literacka Gide'a, Céline'a, Mauriaka jest wystarczająco jasną odpowiedzią. Stworzone przez tych pisarzy typy działania i myślenia uzyskały aprobatę środowiska, przeciwko któremu miały być wymierzone. Mieszczaństwo francuskie z entuzjazmem wskazywało

palcem na siebie jako na przedmiot obrzydzenia. Z entuzjazmem zgadzało się ze swoimi pisarzami, że każdy sposób wyzwalający z tego stanu upośledzenia, w którym było, jest dopuszczalny i każda droga ucieczki dozwolona. Z entuzjazmem przejęło się opinią, że lepiej być zboczeńcem niż mieszczuchem. Szanowany sklepikarz z Reims, aptekarz z Bordeaux, adwokat z Grenobli uznali zboczenie seksualne za wyższy szczebel społecznej hierarchii. Gorszyli się i podziwiali. Im bardziej się gorszyli, tym bardziej podziwiali. Aż wreszcie zatracili pojęcie podziwu bez zgorszenia. Coraz trudniej było epatować burżuja. Coraz częściej trzeba było na głowie stawać, żeby mu dogodzić.

Mieszczaństwo aprobowało bunt swoich pisarzy, zachęcało ich do literatury skandalicznej, kochało się w bohaterach negatywnych. Dlaczego? Czy tylko dla masochistycznej uciechy? A może tę przepaść obrzydzenia uważało za granicę swojego bezpieczeństwa?

Właśnie. Z tamtej strony, ze strony Gide'a, Céline'a i Mauriaka, ze strony Jouhandeau i Montherlanta nie grozi ani pożar bankowych safesów, ani rewolucja. Przeciwnie, pisarze ci ośmieszali pojęcie rewolucyjności. Drwina i obrzydzenie to czynniki doskonałe do rozładowywania gniewu i nienawiści. Burżuj aprobował „powiększanie" i wyzwalanie człowieka, byle by się to odbywało w wymiarach metafizycznych. Gniewu Boga nikt się tam już od dawna nie obawiał.

Francuska literatura okresu międzywojennego pod pozorem antymieszczańskiego buntu służyła doskonale burżuazji. Była precyzyjną dywersją polityczną. Pozornie sprzymierzona z obozem postępu realizowała kapitalistyczne cele. W chwilach decydujących nie zawiodła swojej klasy. Z nią razem opowiedziała się za Monachium, z nią razem stanęła po stronie Pétaina. Z nią razem znajduje się dzisiaj w obozie amerykańskiego imperializmu.

Lecz dzisiaj odmienne są burżuazyjne potrzeby. Sytuacja polityczna Francji współczesnej nie jest podobna do stanu, jaki istniał w okresie III Republiki. Obóz postępu jest dzisiaj potężny liczebnie, moralnie i intelektualnie. Nie na wiele się zdadzą na terenie literatury takie środki obronne jak dywersja. W walce, która się toczy, w walce na śmierć i życie idee Gide'a, Céline'a i Montherlanta nie zdadzą się na dymną zasłonę. Cóż może zasłonić dymek z papierosa? Najwyżej jakąś indywidualną nudę. W walce moralnej i intelektualnej burżuazja francuska potrzebuje pisarzy, którzy by jej przydali siły, którzy by nawet z niczego stworzyli pozytywny typ mieszczucha w literaturze. Chciałaby przewrócić porządek stawania się rzeczy i nie zmieniając polityczno-społecznych warunków chciałaby posiąść literaturę zdrową, moralną i silną. Te niemożliwe do zaspokojenia żądania są od trzech lat przedmiotem polemik i dyskusji mieszczańskich moralistów, filozofów i krytyków literatury.

Krytyka mieszczańska rozdziera szaty, przeciwstawiając dwa współczesne freski epoki: „Komunistów" Aragona i „Drogi wolności" Sartre'a. Zachodzi paradoks z punktu widzenia interesów mieszczaństwa. Siłę i zdrowie moralne czytelnik mieszczański może znaleźć u wrogiego sobie pisarza. Sartre przedstawia mieszczaństwo takie, jakim było i jest: w rozkładzie. Mieszczaństwo potrzebuje dzisiaj ujrzeć obraz człowieka zdrowego, aby zapragnąć nim być. Bodaj ujrzeć człowieka w przeciwniku politycznym. Roger Caillois, essayista jak najbardziej prawicowy, w trosce o powstanie pozytywnego bohatera mieszczańskiego wskazuje na wzory literatur, gdzie pozytywny bohater istnieje. Nie dostrzega, obłudnie nie usiłuje nawet dostrzec odmiennych warunków polityczno-społecznych, które

we Francji uniemożliwiają powstanie bohatera pozytywnego. Wskazuje na przykład literatury radzieckiej. Domaga się rozpowszechnienia we Francji współczesnej literatury ZSRR. Krytyk mieszczański uważa, że niewielkie będą dla jego klasy szkody polityczne w porównaniu z pożytkiem moralnym, jaki mieszczaństwo francuskie z literatury radzieckiej wyniesie. Ten sam krytyk w pamflecie na współczesną francuską literaturę mieszczańską „Wieża Babel" występuje szczegółowo przeciwko wszystkim dotychczas uznawanym za znaki doskonałości właściwościom francuskiej powieści. Piętnuje swoich pisarzy za kliniczność ukazywanych postaci i przedstawianych faktów, za drobiazgową analizę ludzkich sumień („Człowiek jest traktowany jak rzecz, a więc bez szacunku"), za pornografię, za przejaskrawianie wad ludzkich („Wielkość człowieka jest szersza i pełniejsza niż małość"), za niezrozumialstwo, za artystostwo, za wszystko. Caillois nie szczędzi francuskiej literaturze mieszczańskiej obelg i komunałów.

Burżuazja francuska w naiwności ducha, a właściwie w naiwności obłudy wyobraża sobie, że może mieć literaturę na obraz i podobieństwo swoich marzeń o sobie. Może mieć, ale będzie to tylko literatura fantastyczna. A ona, burżuazja, chciałaby, aby literatura stworzyła jej obraz piękny i... podobny zarazem:

Pojęciem, które obecnie we Francji robi karierę, jest tytuł pamfletu Marcela Aymé „Komfort intelektualny". Aymé zdarł wiele zasłon, którymi mieszczaństwo maskowało dotychczas swoją wrażliwość i intelektualne ubóstwo. Ukazał rzeczywiste tęsknoty, rzeczywiste potrzeby tego świata, który zżarty przez wszystkie możliwe snobizmy marzy o takiej literaturze, która by mu pozwoliła nie wysilać się na samo — obrzydzenie, która nie kazałaby rozumieć tego, czego nie rozumie i kochać to, czego nienawidzi. Zmęczone, biedactwo, życiem, myśleniem i gorączką złota marzy o intelektualnym komforcie.

A pozytywnego bohatera mieszczańskiego jak nie ma w rzeczywistości, tak nie ma i w literaturze.

Zbigniew Bieńkowski

Niemiecka kronika kulturalna

22 marca 1950 r. na trzynastym plenarnym posiedzeniu Volkskammer Niemieckiej Republiki Demokratycznej uchwalona została ustawa kulturalna, mająca na celu „rozwój postępowej, demokratycznej kultury w narodzie niemieckim i dalszą poprawę warunków pracy i bytu inteligencji twórczej". Rozwojowi nauk i sztuk zapewniona została pomoc państwa. Polepszone zostały warunki bytu i pracy uczonych, artystów, techników, lekarzy i nauczycieli. Zwiększona została ilość stypendiów naukowych, ufundowanych zostało 48 corocznych nagród narodowych w dziedzinach: sztuki, literatury, nauki i techniki. Wprowadzono system odznaczeń dla zasłużonych nauczycieli i lekarzy. Zapewniono młodzieży robotniczej i chłopskiej dostęp do wyższych uczelni, rozszerzono zakres działalności Niemieckiej Akademii Nauk, wreszcie reaktywowano Niemiecką Akademię Sztuki. 24 marca 1950 r. na uroczystym posiedzeniu rządu i przedstawicieli życia kulturalnego w Berlinie, powołana została do życia „Deutsche Akademie der Künste", której pierwszymi członkami zostali: poeta Johannes R. Becher, dramaturg Bert Brecht, kompozytor Max

Butting, artysta-malarz Heinrich Ehmsen, kompozytor Hans Eisler, reżyser filmowy Erich Engel, kompozytor Ottmar Gerster, powieściopisarz Bernhard Kellermann, reżyser teatralny Wolfgang Langhoff, muzykolog Ernst Legal, artysta-malarz Max Lingner, powieściopisarz Hans Marchwitza, kompozytor Ernst Meyer, artystka dramatyczna Gerda Müller, artysta-malarz Otto Nagel, tancerka Gret Palucca, artysta-malarz Otto Pankok, powieściopisarka Anna Seghers, rzeźbiarz Gustav Seitz, architekt Heinrich Tessenow, artystka dramatyczna Helena Weigel i powieściopisarz Arnold Zweig. Ten ostatni wybrany został Prezydentem Akademii.

Zarówno w treści Ustawy Kulturalnej, jak w nazwiskach członków Niemieckiej Akademii Sztuki odbija się ta wielka przemiana nowych Niemiec, która wysuwa na czoło istotne wartości narodu niemieckiego. Mówił o tym na otwarciu Akademii Premier Otto Grotewohl, który podkreślił, że Akademia wyrosła z tych przemian demokratycznych, jakie zaszły w Republice i stąd Akademia rozwijać się może tylko w ścisłym związku z narodowym życiem kulturalnym i w ramach konstytucji Republiki. Zadaniem Akademii jest czuwanie nad rozwojem artystycznej twórczości narodowej. Ze strony Niemiec Zachodnich idzie fala nihilizmu. Pesymizm zachodnio-niemieckich autorów jest ostrzeżeniem dla wszystkich Niemców. — Jesteśmy — mówił Grotewohl — w centrum walki między siłami wojny a siłami pokoju, reakcji i postępu. Przed nami wyrasta możliwość urzeczywistnienia marzeń o trwałym pokoju, o świecie bez wyzysku, bez podległości narodowej, bez bezprawia. Od postawy ludzi sztuki zależy tu bardzo wiele. Oni dają bowiem impulsy narodowi, które mogą paraliżować wolę walki o lepszy świat, lub ją wzmagać.

Wspomniany przez Grotewohla nihilizm i pesymizm zachodnio-niemieckich artystów nie jest, rzecz prosta, przypadkowy. Wyrasta on z klimatu wytworzonego w Niemczech Zachodnich przez „propagandę kulturalną" mocarstw zachodnich. O propagowaniu Sartre'a, w ciągu ostatnich lat trzech, można by napisać ciekawe i pouczające studium kulturalno-obyczajowe. Propaganda ta dała wyniki. Na wielu uniwersytetach zachodnio-niemieckich stworzono katedry filozofii egzystencjalistycznej, a Martin Heidegger, głośny w latach weimarskich reprezentant filozofii egzystencjalistycznej, a w latach hitlerowskich konsekwentnie zasłużony bojownik nacjonalsocjalizmu, rozpoczął w marcu 1950 r. znów swą działalność „wychowawczą".

Wspomnieć również należy o cichej amerykańskiej giełdzie malarskiej w Niemczech, faworyzującej surrealistów, dadaistów, kubistów. To samo z rzeźbą.

Ponieważ olbrzymia większość artystów w Niemczech Zachodnich żyje w biedzie, a nawet nędzy, gusta skąpych mecenasów stają się decydujące. Na półkach księgarskich jest zalew książek tłumaczonych z angielskiego czy francuskiego; natomiast coraz mniej ukazuje się dzieł oryginalnych niemieckich, a i te w minimalnych nakładach (od trzech do siedmiu tysięcy). Publiczność zachodnio-niemiecka poczyna orientować się w literaturze współczesnej według „bestsellerów" amerykańskich. Przeglądowi literatury niemieckiej i tłumaczonej trzeba będzie poświęcić osobną kronikę. Tu zanotujmy tylko jeszcze, że równocześnie z republikańską „Deutsche Akademie der Künste" powstała tryzonezyjska „Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung", której prezydentem został kon-

serwatywny publicysta Rudolf Pechel, wydawca b. reakcyjnego miesięcznika „Deutsche Rundschau“ (gdzie m. in. drukuje swe „prace“ Felix Burdecki!). Członkami tej „Akademii“ są tacy „wybitni“ pisarze, jak Frank Thiess, czy Hans Leip (autor piosenki Lili Marlen). Siedziba Akademii ze względu na trudności zdobycia lokalu w którymś z miast zach.-niemieckich, nie została dotąd definitywnie ustalona.

Edmund Osmańczyk

Książki nadesłane

PROZA LITERACKA

Bohdan Czeszko — Początek edukacji. Opowiadania. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1949. Str. 134 + 1 nlb.

Georgij Gulia — Dobre miasto. Przekład z rosyjskiego T. Mongirda, przekład wierszy J. Litwiniuka. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 207 + 1 nlb.

Teodor Tomasz Jeż — Słowiański hercog. Powieść w czterech tomach na tle dziejów Słowiańszczyzny południowej. Oprac. prof. dr W. Doroszewski. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Tom I i II. Str. 504 + 2 nlb., tom III i IV — str. 512.

Wilhelm Mach — Rdza. Sp. Wyd.-Ośw, „Czytelnik", Warszawa, 1950. Biblioteka w prenumeracie. Str. 402.

Irena Przewłocka — Miasto w ogniu. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1949. Str. 215 + 1 nlb.

Aleksy Tołstoj — Piotr Pierwszy. Powieść, tom I. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 390 + 1 nlb.

Juliusz Żuławski — Skrzydło Dedala. Powieść. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1949. Str. 195.

POEZJA

Konstanty Ildefons Gałczyński — Ślubne obrączki. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1949. Str. 101 + 3 nlb.

Stanisław Jerzy Lec — Nowe wiersze. Sp. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 47 + 1 nlb.

Julian Tuwim — Pegaz dęba. Panopticum poetyckie. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Sr. 427 + 2 nlb.

NAUKA O LITERATURZE

Jan Berger — Przekłady Kasprowicza, część I — poezja niemiecka. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań, 1948. Str. 246 + 3 nlb.

Zygmunt Szweykowski — Pan Tadeusz. — Poemat humorystyczny. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań, 1949. Str. 77 + 2 nlb.

PUBLICYSTYKA

Dominique Desanti — Tito i jego agenci. Przekład z francuskiego M. Czerwińskiego i L. Kołakowskiego. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 142 + 1 nlb.

LITERATURA POPULARNO-NAUKOWA

Jan Borowski — Siły przyrody. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 154 + 1 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wacław Sieroszewski — Zamorski diabeł. Powieść. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Biblioteka w prenumeracie. Str. 236 + 1 nlb.

Borys Żitkow — Opowiadania prawdziwe. Przekład z rosyjskiego N. i K. I. Gałczyńskich. Sp. Wyd.-Ośw. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 122 + 1 nlb.

HISTORIA

Jan Parandowski — Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian. Wydanie piąte. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 351 + 1 nlb.

Władysław Pociecha — Królowa Bona. (1494 — 1557). Czasy i ludzie Odrodzenia. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań, 1949. Tom I — str. 322 + 2 nlb., tom II — str. 598 + 5 nlb.

Ziemia Lubuska. Praca zbiorowa pod red. M. Szczanieckiego i S. Zajchowskiej. Cykl: Ziemie Staropolski. Pod red. Z. Kaczmarczyka i Z. Wojciechowskiego. Tom III. Instytut Zachodni, Poznań, 1950. Str. 578 + 1 nlb. + 1 mapa.

Polacy - ewangelicy na Dolnym Śląsku w XIX wieku. Ich postawa narodowo - społeczna. Wybór z akt byłego centralnego archiwum ewangelickiego prowincji śląskiej we Wrocławiu. Cykl: Materiały do dziejów nowożytnych Ziem Zachodnich pod. red. prof. S. Wysłoucha. Instytut Zachodni Poznań — Wrocław, 1950. Str. XLVIII + 385 + 3 fotokopie + 1 mapa.

RÓŻNE

Lenin. Album z fotografiami. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik" w Warszawie i wydawn. „Orbis" w Pradze, 1950.

32 Rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej. Referat G. Malenkowa na uroczystym posiedzeniu Rady Moskiewskiej w dn. 6 listopada 1949 r. Teksty rosyjskie „Czytelnika" — zeszyt pierwszy. Sp. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 53 + 1 nlb.

TREŚĆ NUMERU

Str.

KOMUNIKATY 3

Mieczysław Jastrun: List do przyjaciół. W ruinach zamku Dziewin. Stary chłop. Pamięci Walentyny Chocimskiej 7

Stanisław Piętak: Do syna. Hymn o pokoju 11

Roman Hussarski: Rzeka. Wiersz o trzech mostach 13

Halina Burtan: Elementarz 15

Jarosław Iwaszkiewicz: Po koncercie 16

Jerzy Borejsza: Galina 29

Tadeusz Borowski: Muzyka w Herzenburgu 40

Stanisław Wygodzki: Aby żyć 57

Mirosław Kowalewski: Kampania znaczy walka 73

Barbara Rafałowska: Pałeczka A. Rudnickiego czyli o pięknej sztuce pisania 89

Aleksander Jackiewicz: Wiery Inber — droga do Leningradu . . . 95

Nazim Hikmet: O śmierci — przeł. **Ewa Fiszer** 101

Stefan Żołkiewski: Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce 104

Aleksander Puszkin: Eugeniusz Oniegin — przeł. **Adam Ważyk** . . 124

WŚRÓD KSIĄŻEK: Anna Kamieńska — „Nowe wiersze" Stanisława Jerzego Leca; **Jan Śpiewak** — Wiersze Tadeusza Kubiaka; **Ryszard Matuszewski** — Stanisław Zieliński „Przed świtem" i „Dno miski";**Janina Preger** — Stanisław Kowalewski „Odzyskany świat" i „Prosta droga". 139

TEATR: J. A. Szczepański 151

NA WIDNOKRĘGU: Kazimierz Wyka. Józef Spinc. Zbigniew Bieńkowski. Edmund Osmańczyk 158

KSIĄŻKI NADESŁANE 174

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: **Adam Ważyk**
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewn. 22
Cena zeszytu 120 zł. Prenumerata kwartalna 300 zł.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA 120 zł.